

F









BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA



ALOJZY FELIŃSKI

BARBARA  
RADZIWIŁŁÓWNA

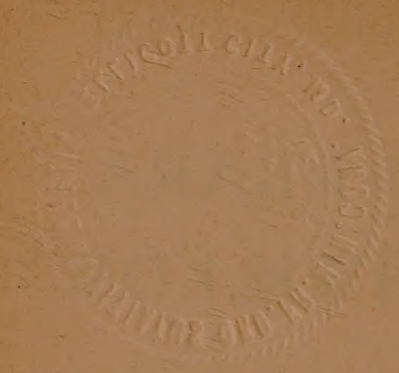
TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH



W A R S Z A W A

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

Printed in Poland



Tekst opracował według wydania z r. 1821  
Dr. Stefan Vrtel-Wierczyński

## O S O B Y:

ZYGMUNT AUGUST, król polski

BARBARA, jego żona, córka księcia Jerzego Radziwiłła,  
hetmana w. ks. lit.

BONA, jego matka, z domu Sforzów, księżąt medjolań-  
skich

IZABELA, jego siostra, wdowa po królu węgierskim,  
Janie Zapolyi

TARNOŃSKI JAN, hetman w. koronny

KMITA PIOTR, marszałek w. koronny, wojewoda i sta-  
rosta krakowski

BORATYŃSKI, marszałek sejmowy

POSEŁ, pierwszy sejmowy

POSEŁ, drugi sejmowy

DOWÓDCA straży zamkowej

ASYSTENCJA KRÓLEWSKA, SENATOROWIE, WO-  
DZOWIE, POSŁOWIE, STRAŻ TRONOWA.

*Scena w Krakowie, w zamku królewskim.*



## AKT PIERWSZY.

## SCENA I.

IZABELA, BORATYŃSKI.

BORATYŃSKI:

Szanowna Izabelo, trapiącemi wieści  
Nie radbym sercu twemu przyczyniać boleści,  
Ale hołd czystej prawdy winny moje usta  
Przyjaciółce Barbary i siostrze Augusta.  
Nacóżbym cię pochlebną miał uwodzić mową?  
Radziwiłłówna polską nie będzie królową.  
Sam odgłos, że w swych murach dziś ujrzy ją Kraków,  
Czułych na sławę króla oburza Polaków,  
Stygnie sejmu gorliwość, a niechętnych gwary  
Napełniają stolicę imieniem Barbary.  
Wieści z wieści się rodzą, trwoga trwogę wraża,  
Bliską i straszną burzą wszystko nam zagraża.

IZABELA:

Noweż jeszcze nieszczęścia niebo na mnie zsyła?  
Niewinnażby tę burzę na siebie wzruszyła?  
Tyżbyś jej nie odwrócił, albo nie uśmierzył?  
Nie, nie! Skoro sejm tobie ster obrad powierzył,  
O przeznaczeniach naszych jeszcze dobrze tuszę:  
Któż lepiej zna ode mnie twoją polską duszę,  
Twoje wysokie cnoty i męstwo niezłomne?

Niedawne są i zawsze będą mi przytomne  
Te czasy, kiedyś, tocząc za mnie boje krwawe,  
Ocalił syna matce i Jagiełłom sławę.  
Dopókim panowała wśród szczęścia i chwały,  
Tłumy przedniejszych Węgrów tron mój otaczały;  
Lecz kiedy, władzy losów uległszy surowej,  
Wdowa z szczęśliwej żony, tułaczka z królowej,  
Z synem jeszcze na rękę, łyzy niedołężnemi  
Błagałam o ratunek i niebios i ziemi, —  
Zostało mi, niestety, obrońców niewiele:  
Grono mężnych Polaków i ty na ich czele.  
Wszystko nam było sprzeczne. Miałeś w owej dobie  
Nietylko Ferdynanda oręż przeciw sobie,  
Lecz Rzym, Wiedeń, wojsk zdrady, rokosze hetmanów,  
I nad wszystko straszniejszą pomoc Ottomanów, —  
Przecież nie stracił serca. Dziś mniej przykre chwile  
Mamy i więcej wsparcia i przeszkód nietyłe.  
Jesteśmy wśród pokoju, na Ojczyzny łonie,  
Boratyński przy lasce i August na tronie!

BORATYŃSKI:

Stary żołnierz, mieć mogłem odwagę na wojnie,  
Ale burzliwym sejmem kierować spokojnie,  
Możnych przemocy, chytrych podstępom zagrozić,  
Tyle sprzecznych zdań, chęci i widoków zgodzić —  
Tak trudne obowiązki są nad moje siły.

IZABELA:

Kto kocha, jak ty, cnotę, komu naród miły,  
Kto szuka szczerze prawdy i nią chce się rządzić...

BORATYŃSKI:

Szukając szczerze prawdy, mogę jednak zbłądzić.  
Lecz duszy mojej podła uległość nie zmaże:  
Śmieję głowę na gromy Augusta narażę,  
Wytknę mu nierównego z Barbarą małżeństwa  
Nieprzyzwoitość, szkody i niebezpieczeństwa;

Wierny Ojczyźnie, prawom i Jagiełłów sławie,  
Ślepym żądzom powagę narodu zastawię,  
I, lubo w swych nadziejach Barbara zbyt śmiała  
Szanownej Izabeli względy pozyskała...

IZABELA:

Tak jest, tak, mam z nią przyjaźń, ta dla mnie jest chlubą.  
Młodości mojej była towarzyszką lubą  
I, dręczonej ciężarem stęsknionego bycia,  
Ona mi pierwsza uczuć dała słodycz życia.  
Wówczas, gdy car z potęgą Północy i Wschodu  
Niósł oręż na zagładę polskiego narodu,  
Ojciec jej, śpiesząc z wojskiem na granice Litwy  
Doświadczyć wątpliwego losu walnej bitwy,  
W oczach moich Zygmunta temi żegnał słowy:  
„Za kraj, za ciebie, mojej nie oszczędzę głowy,  
Nie dowiesz się z ust moich o Polaków klęsce,  
Lub nie ujrzysz mię, królu, lub ujrzysz zwycięzcę!  
Lecz ma córka jedyna, bez matki, bez braci,  
Niech w tobie znajdzie ojca, jeśli swego straci!”  
Niestety! Przewidziany cios jego nie minął:  
Poszedł, stoczył bój krwawy, zwyciężył i zginął.  
Brat, następca po bracie, spółnik jego sławy,  
Wrócił z smutnym tryumfem z tej chlubnej wyprawy.  
Nikt nie chciał widzieć wodza zwycięskich młodzieńców,  
Łupów z namiotu cara, ze krwi cara jeńców;  
Oczy Wilna całego zostały wlepione  
W tę, której ojcu naród był winien obronę.  
Jej młodość, jej uroda, jej łzy dodawały  
Naszej stracie boleści, tryumfowi chwały.  
Osłoniła żałobą, drżąca, zapłakana,  
Przed poważnym Zygmuntem padła na kolana.  
Łza litości zrosiła jego twarz sędziwą,  
Podniósł ją z łagodnością, cieszył nieszczęśliwą  
I chciał, by bohatera córka, Polsce miła,



Z jego własnymi tronu nieodstępna była.  
Wówczas ją poznał August; wówczas w niego wlała  
Ten płomień, którym dotąd serce jego pała,  
Wówczas i nasze złączył młodzieńcze umysły  
Związek słodszy nam codzień, codzień bardziej ścisły.  
Upojona przyjaźnią, w szczęśliwem ukryciu,  
Pędziłam z nią najdroższe chwile w mojem życiu.  
A dziś, gdy wystawioną widzę ją, niestety,  
Na zapalczywość gminu, na zdrajców sztylety,  
Ufającą w niewinność, w Augusta i we mnie,  
Jazbym opuścić mogła i zdradzić nikczemnie?  
Ty, mój obrońca, byłbyś jej nieprzyjacielem?

BORATYŃSKI:

Jestem, pani, praw stróżem i jej cnót czcicielem,  
Ale drzę, by z nią związki grobem się nie stały  
Świetnych nadziei Polski i Augusta chwały.

IZABELA:

Czyż obca, przeznaczona do berła w kolebce,  
Której pieszczoną młodość skaziły pochlebce,  
I duszę, niewolniczych państw zbytkami hardą,  
Ku swobodnym Polakom napoiły wzgardą,  
Tkliwej Polaków matki miejsce zajmie godniej  
I czuć może do kraju większą miłość od niej?  
W domu obrońców jego Barbara zrodzona,  
Wzięła ją ze krwi ojca, wzięła z matki łona.  
Ledwie zaczęła myśleć, już Polski wspomnienie  
Słodkie sprawiało w sercu niemowlęcem drżenie;  
Tę miłość, wychowaniem wzrastającą z laty,  
Najukochańszych osób podwoiły straty:  
Dwóch braci zgładził oręż, matkę żal po synach,  
I ojciec na zdobytych wkrótce legł wawrzynach.  
Pamięć ich uświęcając, jej dusza zboleła  
Na Ojczyznę się z całą czułością wylała.  
Mogłaż wstęp do jej serca znaleźć tronu pycha?

Dla Polski i dla męża Barbara oddycha.  
W mężu pokłada szczęścia Polski ufność całą,  
W szczęściu Polski cieszy się przyszlą męża chwałą.

BORATYŃSKI:

Pani, cnoty Barbary od ziomków są czczone,  
Lecz samże wzgląd na cnoty nadaje koronę?

IZABELA:

Wiem ja, że duma, próżność, zysk, bojaźń sąsiada,  
Wyborem żon dla królów pospolicie władą;  
Ależ te wzgłedy podle zniewolićby miały  
Mądrego króla, naród wolny i wspaniały?  
Przyznaj, że pierwszą dała koronę na świecie  
Mężczyźnie dzielność, cnota i piękność — kobiecie.  
Dziś, gdy los, czyli niebios opatrność nad nami,  
Księżniczkę miłą z rodu, świetną przymiotami,  
Przeznacza nam za swojej dobroci narzędzie,  
Czyż temu Boratyński sprzeciwiać się będzie?

BORATYŃSKI:

Uczynię, co być świętą powinnością mniemam;  
Prócz Boga, praw, Ojczyzny — na nic względu nie mam;  
Moje wam poświęcałem i poświęcę ramię,  
Lecz dla was przekonania mego nie złamię.  
Przebacz, jeśli mój upór serce twoje zrani.  
Otóż Barbara wchodzi — zostawiam cię, pani.

IZABELA:

Pewnie cię dobro kraju na jej stronę schyli.

## SCENA II.

IZABELA, BARBARA.

BARBARA:

Ach, po wieluż to latach i w jakiejże chwili  
Zjawiasz się utęsknionej, Izabelo droga!

Kiedy mię niespokojność otacza i trwoga,  
 Kiedy się przeznaczenia mego szala waży,  
 Niebo mię wraca twojej opiekuńczej straży.  
 Ach, ileż mię twój odjazd nabawił boleści!  
 Ileż później o tobie rozsiewane wieści  
 Powiększały drżącego serca niepokoje!  
 Ileż mi wycisnęły łez nieszczęścia twoje!

IZABELA: *Wchodzi z listem.*

Wierzaj mi, w losu mego przemianach ustawnych,  
 W gmachach królów, w pustyniach mem tułactwem  
[sławnych,  
 W pomyślności, w niedoli, w blasku i żałobie,  
 Wszystkie się myśli moje zwracały ku tobie.  
 Dziś odzyskuję, z wami nakoniec złączona,  
 Szczęście, które mi była wydarła korona.  
 Nic mnie już nie rozdzieli z tobą, z synem, z bratem:  
 Miejsce, gdzie wy jesteście, będzie dla mnie światem.  
 Lat kilka, którem w obcej krainie przeżyła,  
 Dały mi żywiej uczuć, jak Ojczyzna miła.  
 Dziś jej szczęście i moje będzie dopełnione,  
 Gdy na twych skroniach polską ujrzymy koronę.

BARBARA:

Co? Gdy w niespokojnościach, w udręczeniach, w trwodze,  
 Po niebezpieczeństw pełnej postępuję drodze,  
 Gdy wsparcia i pociechy szukam na twem łonie,  
 Ty mówisz mi o szczęściu, mówisz o koronie?...

IZABELA:

Tak, ufam w słuszność niebios i w cnotę rodaków:  
 Najgodniejszą korony dziś uwieńczy Kraków!  
 Skoroś pierwszy w Auguście rozniecila promień,  
 Błysnął był memu sercu ten nadziei płomień,  
 Lecz go rozproszył wkrótce rozsądek surowy.  
 Ojca mego z cesarzem wiedziałam umowy:  
 Już on miał od Elżbiety obietnicę ręki

Dla syna, który skrycie twe ubóstwiał wdzięki.  
Samam się tej miłości przeciwiać otwarcie,  
Chwiejącej się odwadze brata niosła wsparcie.  
Ileż razy gromiłam te łzy i wzdychania  
Uwieńczonego dzisiaj początku kochania!  
Wkrótceś ty moją trwogę poznała tajemną  
I przeciw Augustowi złączyła się ze mną.  
W dzień spełnienia wzajemnej królów obietnicy  
Gdy nas wszystkich powołał z Wilna do stolicy,  
Z sobą cię wzywającej odmawiając Bonie,  
Z żalem dworu zostałaś na swych krewnych łonie.  
Rozdział ten duszy mojej długie przyniósł smutki,  
Lecz szanowałam twego oporu pobudki;  
Zwłaszcza że, czytać w sercu Barbary nawykła,  
Już byłam twoje walki wewnętrzne przenikła.

BARBARA:

Sądz, jak niebezpieczeństwa były podwojone,  
Kiedym w tobie straciła pomoc i obronę.  
Z nieszczęśliwą skłonnością walczyłam usilnie,  
Lecz zostałam samotna i zostałam w Wilnie.  
Miejsce, gdzie pierwszy pocisk utkwiał w serce drżące,  
Przeciw mnie uzbrajało przypomnień tysiące;  
Opuszczonego miasta ten widok ponury,  
Te bezładne ogrody, te milczące mury,  
Wieść o związkach Augusta, jego oddalenie,  
Rozżarzały stłumionej miłości płomienie.  
Niedość na tem; zawzięty los chciał mojej zguby:  
Ledwo zaniósł przed ołtarz święte August śluby,  
Z łoną rozpaczającej wydarłszy się żony,  
Wraca objąć nad Litwą rząd mu powierzony.  
Na ten odgłos drzę, biegnę, ściskam stryja nogi  
I, zwierając się z moich udręczeń i trwogi,  
Błagam, by mię, w głąb kraju z swą posławszy żoną,  
Przed światem i Augustem chował utajoną.

Oddałam się, uciekam... W tak okropnym stanie  
 Dogodne moim smutkom znajduję mieszkanie:  
 W głębi lasów rozległych, dzikich i posępnych,  
 Na szumiącego Niemna brzegach niedostępnych,  
 Wznosi się gmach odwieczny, ogromny, ponury,  
 Wodą i wysokimi opasany mury.  
 W tym to grobie żyjących czas długi zamkniona,  
 Próżnom chciała ten pocisk wyrwać z mego łona.  
 Wśród błagań do Twórcy i zatrudnień dziennych,  
 I wieczorów przewlekłych, i nocy bezsennych,  
 Szukając pokoju i ulżenia rany  
 Ścigał zawsze i dręczył obraz ukochany.  
 Ileż razy odwaga w mej duszy omdlała,  
 Czuła potrzebę wsparcia i ciebie wzywała!

IZABELA:

Z tobą, z rodem, z ojczystym rozłączona krajem,  
 Częściej daleko do was wdychałam nawzajem.

BARBARA:

Wkrótce smutna wieść doszła i w nasze ustronie,  
 Że cierpienia skróciły wiek Augusta żonie.  
 Płakałam czulej, pięknej, łagodnej Elżbiety,  
 Wielkie z rodu, z cnót większe mającej zalety,  
 W obcy kraj z łona pieśczęt i blasku wyrwanej,  
 Kochającej Augusta, wzajem niekochanej,  
 Dni swoje w samotności ciągnącej żałości  
 I na koniec gasnącej w samej życia wiośnie.

IZABELA:

Czcila ją. Nad jej śmiercią, jak i ty, boleję.  
 Lecz ta śmierć twą ożywić musiała nadzieję.

BARBARA:

Na chwilę serca mego odsłonię ci skrytość:  
 Ośmielonej miłości ustąpiła litość,  
 Lecz rozważa na sroższą wydała katuszę  
 Tak długimi walkami zmordowaną duszę.

Tych śmiertelnych udręczeń spełniałam dwa lata,  
Gdym przed zamkiem ujrzała nagle twego brata.  
Na czele twego pułku, świetną stałą zbrojny,  
Z moim stryjem z północnej wówczas wracał wojny.  
Jakież uczułam w sobie na ten widok drżenie!...  
Zapłoniłam się, zbladłam... utraciłam tchnienie  
I zaledwie nieśmiało mogłam podnieść oko  
Na tę twarz, w mojem sercu wyrytą głęboko.  
Na jego czole, dumnem z pierwszego zwycięstwa,  
Widziałam świtający dla Polski wiek męstwa,  
A w uśmiechu łagodnym, co serce porywa,  
Szczęście przysłe rodaków czytałam, szczęśliwa.  
Ach, jakże trudną wówczas było dla mnie chwałą  
Odrzucić jego miłość, tak czystą i stałą!  
Bałam się i pragnęłam usłyszeć wyznanie...  
Usłyszałam... Powinność przemogła kochanie:  
Kilką słowy zniszczyłam nadzieje Augusta;  
Lecz mój wzrok, mój głos drżący, zdradził moje usta.  
Odtąd w rosnącej coraz miłości zapędzie  
Śledził mnie, szukał, ścigał i... znajdował wszędzie.  
Same trudności zapęd jego nateżały:  
Wkrótce na swoją stronę skłonił ród mój cały;  
Uzbroił się stryjowskim przeciw mnie rozkazem.  
Walczyłam z krwią, z przyjaźnią i miłością razem!  
Jeszcze mu przywodziłam na pamięć sto razy  
Ojczyznę, prawo, chwałę, Zygmunta zakazy,  
Jeszcze byłam gotowa (ty dasz temu wiarę)  
Z uczucia najdroższego uczynić ofiarę...  
Lecz nakoniec Augusta rozpacz i cierpienie,  
Śmierci nad głową jego rozpostarte cienie,  
Przyszłe sieroctwo Polski, przyszłe o tron boje,  
Łzy rodziców, jęk ludu i zgryzoty moje —  
Inną powinność drżącej wskazały Barbarze:  
Uległam... naszą wiarę przyjęły ołtarze.

IZABELA:

Jakaż ulgę ściganęj bronią zapalczywą  
Przyniósł mi wówczas odgłos, że jesteś szczęśliwą

BARBARA:

Śmierć Zygmunta, na którą płacze Polska cała,  
Nadto krótkie dni szczęścia mojego przerwała.  
Kiedy August, w najcięższej pograżon żałobie,  
Jechał oddawać smutną cześć na ojca grobie  
I z bojaźnią przyjmować panowania brzemię  
Po królu, co pół wieku naszą wsławiał ziemię —  
Drżąc o męża losy, pozostając w Wilnie,  
O tę go tylko łaskę błagałam usilnie,  
Żeby mnie nie otaczał blaskiem majestatu  
I szczęścia swej Barbary nie ogłaszał światu.  
Kiedy powrotu jego czekam niecierpliwa,  
Niespodziany mnie rozkaz do stolicy wzywa.  
Drżąc, żegnam drżących, wszystko nieszczęście mi wróży;  
Smutną mi wieść przynosi każdy krok podróży.  
Z trwogą do nieznanego przybliżam się miasta =  
Na widok jego murów przełęknięcie wzrasta.  
Wjeżdżam. Tłum ludu niemy otacza mię wkoło:  
Każde oko mnie śledzi, każde grozi czoło.  
Przez cóż mogłam zasłużyć na ziomków nienawiść?  
Jeśli w nich blask mój przyszedł wczesną rodzi zawiść,  
Zrzekam się go; żyć pragnę nieznanajoma światu,  
Mniej ziomkom nienawistna, miłsza twemu bratu.  
Ach, czyliż przyda szczęścia ten blask zazdroszczony  
Dla siostry Izabeli, dla Augusta żony?

IZABELA:

Tron ci nie przyda szczęścia, lecz nasze podwoi.  
Stałość równie dziś tobie, jak i nam, przystoi.  
Serce króla przyśpieszyć twój tryumf kazało,  
Dokona on szczęśliwie, co rozpoczął śmiało.  
Już Litwa Polsce cnoty ogłasza Barbary,



Czoło mężów popiera Augusta zamiary,  
Za nim jest wojsko, większa senatu połowa,  
Zebrzydowskiego stałość, kanclerza wymowa,  
Nadewszystko Tarnowski; mądra jego rada  
Działaniom tronu cechę dojrzałości nada.  
Naród praw swoich strzeże i przodków zwyczaj,  
Lecz kocha króla, pragnie spokojności kraju;  
Mężów, co mię wspierali na węgierskim tronie,  
Doświadczoną gorliwość i za tobą skłonię;  
Wodza ich, co przy zdaniu swem upornie stoi,  
Znam cnotę, a Barbara cnoty się nie boi.

Lecz, równie jak nadziei, przeszkód ci nie taję;  
Nowy związek w stolicy na króla powstaje,  
Podnieca go zapewne Wiednia pomoc skryta...  
Bona jest głową jego, a ramieniem Kmita.  
Mniej straszne są nikczemnych zwolenników tłumy,  
Bona jest najstraszniejszą!... Któż nie zna jej dumy?  
Wszyscy złotu jej służą, jej zemsty się boją,  
Jej zřeczność, jej... niestety, ona matką moją!  
Ale niebo za nami, nie trwóźmy się niczem!

### SCENA III.

BONA, BARBARA, IZABELA.

BONA: *(do Barbary)*

Tyżes tu z moją córką? Przed mojem obliczem?  
I jakimże się czołem narażasz zuchwale  
Na gniew twojej królowej i na matki żale?  
Ty, co z cieniów sieroctwa i ze smutków łona  
Do blasku względów moich nagle wyniesiona,  
W miejscu wdzięczności, podstęp knując przeniewierczy,  
W pierś, co cię ożywiła, wlałaś jad morderczy...  
Ty, podła zwodzicielko! Poddanko zuchwała,



Coś mego syna w miłość podejściem wplątała,  
 W miłość, co go w dniu jednym pozbawiła chwały,  
 Jaką lat kilku cnoty były mu zjednały!  
 W miłość nieszczęsną, której wieść serce rozdarła  
 Konającego ojca i grób mu otwarła!  
 Śmierci tej, która Polskę nabawia rozpaczą,  
 Która zasmuca trony, której ludy płaczą,  
 Tyś pragnęła! Ty jedna z tej śmierci się cieszysz,  
 Cel wzdychań twych i zbrodni, tron już osiąść śpieszysz.  
 Nie śpiesz się! Umarł Zygmunt, ale Bona żyje;  
 Ja to pasmo zdrad ciemnych przed światem odkryję!...  
 Te wątle ślepej dumy budowy obale,  
 Ciebie oddam zgryzotom i syna ocale.

BARBARA:

Nie, pani! Zgryzot serce nie dozna Barbary;  
 Nie ujdę prześladowań, lecz nie godnam kary!  
 Próżno się z wyrzutami zbrodni moich szerzysz,  
 Ja się do nich nie czuję i ty im nie wierzysz.  
 Los, tron i moje życie w rękach może Bony,  
 Lecz upodlić nie zdoła nikt Augusta żony.

(*odchodzi*)

BONA: (*do Izabeli*)

I tyż, coś się z miłości dla twej krwi wyzuła,  
 Na matki, brata, własną zniewagę nieczuła,  
 Śmiesz milczeniem Barbary dumę uzuchwalać?

IZABELA:

Śmiem, matko, nad niewinnej losem się użalać!  
 I onażby to mogła tronem się omamić,  
 Upodlić się podejściem, niewdzięcznością splamić?  
 Zasady jej są święte, szlachetne, niezmiennie...  
 A jej serce tak czyste, jak to światło dzienne!  
 Którejże córce króla, lub królowej świata  
 Śmielejbyś powierzyła szczęście mego brata?  
 Ach! Gdyby te łzy moje mogły... ale nie, nie!

Widzę twój wstręt na samo Barbary wspomnienie.  
Pozwól przynajmniej córce...

BONA: Idź, córko odrodna!  
Nie mająca cnót przodków, chwały ich niegodna!  
Umysł twój pospolity, słaby i spodlony,  
Nigdy mi się nie zdawał zdolnym do korony!  
Z niej słusznie dziś wyzuta, knuj zdradę nikczemną,  
I za swoją Barbarę, jeśli śmiesz, walcz ze mną!  
Precz mi z oczu!...

## SCENA IV.

BONA: (*sama*) O hańbo! O srogie męczarnie!  
Barbara z gróźb się moich urąga bezkarnie!  
Syn mię unika, córka na mnie się sprzysięga!  
Gdzież moja dawna chwała, znaczenie, potęga?  
Jaż to, co wśród powodzeń, tryumfów i cześci  
Dzieliłam tron z największym królem lat trzydzieści,  
Ja, com w sejmach, w obozach, w senacie, w kościele  
Postawiała stworzenia rąk moich na czele,  
I przez dary, przez postrach, przez tajemne wpływy,  
Jednem skinieniem wiodła ten naród burzliwy —  
Dziś, tracąc tyloletnich trudów korzyść całą,  
Mam cierpieć wyżej siebie Barbarę zuchwałą?  
Mam — niewolnica z matki, z królowej poddana,  
Wzgardzona w kraju własnym, w obcych zapomniana,  
Czołgając się prz. d. tymi, co drżeli przede mną,  
W smutkach i poniżeniu wlec starość nikczemną?  
Stać się miłości syna płochego igrzyskiem,  
Ofiarą nieprzyjaciół, świata pośmiewiskiem?...  
Ale czegoż się lękam? Nie jestemże Boną?  
Nie wolęż raczej umrzeć, niżli żyć wzgardzoną?  
Tak jest. Nim umrę jednak, wprzód swego dokażę:

Odepchnę ją od tronu, lub go krwią jej zmażę...  
 Jej śmierć... Monty... mój rodak... przy boku Barbary..  
 Zręczny, chciwy i pewien, że uniknie kary...

## SCENA V.

BONA, KMITA.

BONA:

Cóż więc, Kmito? Ów senat z narodu wyborem  
 Czegóż swoim na króla dokonał oporem?  
 Gdy wy czas drogi, krótkim przeznaczon obradom,  
 Poświęcacie namysłem, pogrożkom i zwadom,  
 On sprowadza Barbarę, mianuje swą żoną,  
 Mieści w zamku i wkrótce ozdobi koroną!  
 Nie król to jest niezgiętym, jak go sejm ogłasza, —  
 Śmiałym go uczyniła niedołężność wasza!  
 Czemuż krył przed Zygmuntem swą miłość z Barbarą?  
 Poślubioną jej czemuż nie chępił się wiarą?  
 Czyż ojciec, co go kochał, król, co mu pobłażał,  
 Więcej poszanowania i trwogi mu wrażał,  
 Niż senat, co rzymskiemu w swej równa się dumie,  
 Niż naród, który jeszcze wolnym się rozumie?  
 Wolnym! Pocóż brzmi w ustach to wolności hasło,  
 Gdy przywiązanie do niej w sercach już wygasło?  
 Wyrzeczcie się jej raczej! Straćcie w jednej chwili  
 Ten skarb, który przodkowie krwią swoją zdobyli!  
 Obranego monarchę uznajcie za pana,  
 Pozwólcie, niech wam jego króluje poddana!  
 Sam idź, klękaj z tą laską przy jej majestacie,  
 Z którąś niegdyś jej ojcu przodkował w senacie!  
 Idźcie i, czołem bijąc waszej pani nowej,  
 Stańcie się godni takiej, jak ona, królowej!  
 Niechaj krewnych Barbary i służalców zgraja,

Co kazi serce króla, pochlebstwy upaja,  
Otoczy tron i pierwsze posiedzie urzędy,  
A stary wódz u progu niech żebrze o względy!  
Nadzieje zasłużonych, te rozległe włości,  
Niech się staną zapłatą ulegań, podłości!  
Ów, co wyrocznią króla, dworu jest półbogiem,  
Wiecznym Bony i wszystkich przyjaciół jej wrogiem,  
Dumny Tarnowski niechaj rozkazuje Kmicie!

KMITA:

Nie, pani! Wolność dla mnie milsza jest nad życie!  
Wiem ja, że w tej tak ważnej dla narodu chwili,  
Jak ty, tak wszyscy na mnie oczy obrócili.  
Chwalebna twa gorliwość, lecz próżna obawa.  
Utrzymam godnie ludu i senatu prawa,  
Skrócę młodego króla przywłaszczoną władzę:  
Wszystkom wcześniej przewidział, wszystkiemu zaradzę.  
Milczy sejm, lecz pomocy skrycie mi użycza —  
Straszną burzę poprzedza ta cisza zwodnicza.  
Sam król popędliwością, ściąganiem Barbary,  
Jątrzy naród i wspiera gorliwych zamiary;  
Rzym zezwala na rozwód, lud rozvodu woła,  
Za rozwodem polskiego jest głowa kościoła,  
W senacie, w posłów izbie, w namiotach żołnierzy,  
Wysłańców orszak ducha zbawiennego szerzy.  
Wcześniej na przewidzianą gotując się wojnę,  
Ściągam skrycie z powiatów szlachty hufce zbrojne,  
Zwiększą je liczni dworów naszych wojownicy  
I mieszkańcy rządzonej przeze mnie stolicy.  
Wszyscy są wierni tobie, Ojczyźnie i sławie:  
Będą walczyć pode mną i w narodu sprawie.  
Dla oparcia się ślepym Augusta zapędem,  
Mającego poświęcić kraj młodości błędom,  
Jakież jest potężniejszy, jakież świętszy sposób  
Nad ten związek szanowny pierwszych w Polsce osób,

Przeciw sile, przy prawach obstających śmieie,  
 I własną króla matkę mających na czele?  
 Tak, pani, król niegodnej musi zrzec się żony,  
 Albo z tronu Jagiełłów zostanie strącony!...

BONA:

Matką jestem, mogłażbym chcieć upadku syna?  
 Za cóż go karać? Miłość — jego cała winą.  
 Wróci nad sercem swoim cnocie panowanie,  
 Jeżeli oddaloną Barbara zostanie.  
 Uwieźmy ją: ten zamysł uda się nam snadnie;  
 Niech ją przegrodzą Tatry, nim księżyc zapadnie!  
 Karol, władzący berłem zachodniego świata,  
 Przeznaczając królowi córkę swego brata,  
 Ukryje zwodzicielkę w swych państwach obszernych  
 I, jak cesarz, nagrodzi przyjaciół mu wiernych.  
 Ja podam środki, złoto trudności przełamie...  
 Uwożących zasłoni bohatera ramię.  
 Tak; ty sam przyjm na siebie tę ważną wyprawę:  
 Powróć króla Ojczyźnie, a królowi sławę!

KMITA:

Co? Ja!?... Pierwszy urzędnik, naczelnik senatu,  
 Stróż pokoju w stolicy, stróż praw majestatu,  
 Miałbym sam być przywódcą gwałtu i bezprawia?

BONA:

Nie jest praw gwałcicielem, kto Ojczyznę zbawia!  
 Sam okrytego chwałą nie narażaj czoła,  
 Jedno twoje skinienie wszystko sprawić zdoła.  
 Rycerze, poświęceni swojemu wodzowi.  
 Imię twe tając, rozkaz wypełnić gotowi.  
 Ta szlachta...

KMITA: Wszyscy wodza swojego są godni;  
 Polak nie jest zrodzonym do nikczemnej zbrodni!  
 Jeżeli Karol usług tak podłych wymaga,  
 Niech przez nie wiernków jego wsławi się odwaga.

Okazać ją dla ciebie ja będę miał pole  
W szeregach wojowników, w senatorów kole.

BONA:

Czyń, jak chcesz! Znam twą przyjaźń, spokojną być mogę;  
Trzebaż takim, jak Kmita, ukazywać drogę?...

(KMITA *odchodzi*)

BONA: (*sama*)

Potrzebną mi do czasu wspierajmy zuchwałość,  
Sama go w przepaść wtrąci nierozważna śmiałość.  
Wiem, że nie mnie, lecz własnej dogadza on dumie;  
Lecz Bona pysznych użyć i ukarać umie.  
Dziś płaszczyć mi się będzie ta dusza wyniosła...  
Idźmy austryjackiego wyrozumieć posła.  
Zgodne są w części z memi Karola zamiary:  
Pozbądźmy się kochanej od króla Barbary,  
Katarzynę ponurą osadźmy na tronie...  
Zczasem ona i cesarz służyć będą Bonie!...  
Lecz głaszczmy jego dumę, że przez córkę brata  
Mieć będzie wpływ do Polski, jak ma do pół świata.  
Tak każdy swój cel mając, niech memu dogadza  
I sam siebie uwodzi, myśląc, że mnie zdradza!

---

## AKT DRUGI.

## SCENA I.

AUGUST, MINISTROWIE, STRAŻ.

AUGUST: Wy, rządu naczelniki, wodze, senatory,  
Słudzy praw, swobód stróże, narodu podpory,  
Przez których głos i ramię August Polską włada,  
Spełnijcie, co uchwalił król i wielkorada!  
Ty... daj odpowiedź posłom północnego cara,  
Że mnie płonna sojuszów nie złudzi ofiara.  
Niechaj wprzód jęczący pod jarzmem poddaństwa  
Wróci Smoleńsk od mego oderwany państwa;  
Wówczas może mu nie być pokój odmówiony,  
Wówczas może krwi związek, nasze łącząc trony,  
Zbracić, pod słodkiem berłem naszej Katarzyny,  
Niepodległych Polaków z bitnymi Rusiny.  
Ty... przybyłym książętom z Rygi i Mitawy  
Króla i sejmu wyrok idź odnieś łaskawy:  
Mając wzgląd na ich ucisk, prośby i pokorę,  
Te kraje pod opiekę berła mego biore;  
Niech na imię Augusta, w pokoju i chwale,  
Wilhelm Inflanty rządzi, Gottard — Semigale,  
A odtąd je potęga moja ubezpieczy  
Od napaści zamorców i ścienników mieczy.  
Ty... Sieniawskiemu pošlij rozkaz państwa stanów,

Żeby wojskiem, strzegącym granic Ottomanów,  
Podłego wiarołomcę, lennika Stefana,  
Co zrzekł się ojców Boga, zdradził swego pana —  
Stracił z hołdującego nam Wołochów księstwa,  
A znanego Polakom z wierności i męstwa  
Wzniósł Aleksandra, świętą związał go przysięgą  
I od gromów Stambułu polską wsparł potęgą.  
Ty... idź, książąt, dzierzących Prusy i Pomorze,  
Obwieść, niechaj na moim dziś stawia się dworze,  
I w dniu, który, Augusta szczęściu poświęcony,  
Ma uwieńczyć koroną czoło jego żony,  
Swoim blaskiem świetności przyczyniając nowej,  
Niech razem z swoim królem złożą hołd królowej!  
Rozkazów tych zalecam rychłe wykonanie,  
Idźcie... Niech straż odejdzie... Tarnowski zostanie.

## SCENA II.

AUGUST, TARNOWSKI.

AUGUST:

Przyszedł na koniec moment, dla mnie upragniony,  
Gdy, ciężącą składając powagę korony,  
Mogę ciebie powitać po długim rozdziale  
I z przyjacielem serca mówić poufale.  
O ty, któryś mi dawał wzory i nauki  
Trudnej bojów, trudniejszej panowania sztuki,  
Ty, coś mię natchnął cnoty i sławy zapalem,  
Ty, którego po ojcu najwięcej kochałem —  
Ach, czemuż, gdym, dotknięty ciosy najsroższemi,  
Stracił, com najdroższego posiadał na ziemi,  
Gdy mię żal mój obarczył i berło dwóch ludów,  
Nie mogłeś wówczas dzielić moich łez i trudów!  
Chciałeś być, mimo wiekiem osłabione siły,



Gdzie nam niebezpieczeństwa największe groziły,  
 Gdzie Tatarzyn, Zygmunta śmiercią ośmielony,  
 Chciwe łupów i mordów rozpuszczał zagony.  
 Dopiero, wybawiwszy przełękłe Podole,  
 Wracasz o państwie radzić w prawodawczem kole.  
 Jakież tu opiekuńczy anioł ciebie zsyła!  
 Nigdy mi potrzebniejszą twa pomoc nie była.  
 Co mówię? Gdym już królem — i zawsze, i wszędzie  
 Obecność Tarnowskiego potrzebną mi będzie!  
 Nie, nic nas nie rozdzieli; mam jeszcze nadzieję,  
 Że świetne szczęścia Polski wróćą się koleje,  
 Gdy Ten, co się jej losem opiekuje w niebie,  
 Odjąwszy jej Zygmunta, zostawia mi ciebie.  
 Od twojej dziś mądrości wsparcia tron mój czeka:  
 Szczęściem królów jest przyjaźń wielkiego człowieka.  
 Prowadź serce Augusta, dla ciebie wylane,  
 Bądź mi ojcem, ja ojcem narodu zostanę!

TARNOWSKI:

Co, panie, twoja dusza mojej się udziela?  
 Jesteś królem i kochasz jeszcze przyjaciela!  
 Łzą radości napełniasz jeszcze starca oko,  
 Który już myślał, w żalu pogrążon głęboko,  
 Że jego całe szczęście i nadzieja cała  
 W grobie razem z Zygmuntem zamkniętą została.  
 O ty, osierociałych nadziejo jedyna,  
 Auguście, ty utrzymasz sławę jego syna!  
 Te wylania się twoje, te gorliwe chęci,  
 Te łzy, któremi składasz hołd ojca pamięci,  
 Wskazują w tobie duszę, królowania godną  
 I są rękojmią szczęścia Polski niezawodną.  
 Ach, nie ostygaj nigdy w tym świętym zapale,  
 I panuj tak chwalebnie, jak myślisz wspaniale!  
 Niechaj Król królów twoje przedsięwzięcia ziści  
 I długo da ci zbierać prac twoich korzyści!

Wszystko ci sprzyja: z sercem, zrodzonym do cnoty,  
Łączysz męstwo rycerza i króla przymioty;  
I oręż, i rząd w Litwie młodość twoją wślawił.  
Ojciec po długoletnich trudach ci zostawił  
Kraj rozszerzony, żyzny, ludniejszy, spokojny,  
Wojsko wierne, waleczne, nawykłe do wojny,  
I dziedzictwo ci droższe, niżli to oboje:  
Przywiązanie narodu i przykłady swoje.  
Dotąd po nim łzy ludu jeszcze płyną, panie!  
Osuszać je powinno twoje panowanie!  
A jeśli być nie może Zygmunt zapomniany,  
Niech pod tobą nie czuje Polska króla zmiany!  
Ten jest, panie, cel główny twojego zawodu!  
Poprzysiągłeś w obliczu Boga i narodu...

#### AUGUST:

Ach, jeszcze poprzysięgam tobie, przyjacielu,  
Że, mając tylko dobro Polaków na celu,  
Nie przestanę być nigdy wiernym twoim radom,  
Świętym państwa ustawom i ojca przykładom.

#### TARNOWSKI:

Wiem ja, że twoja dusza tkliwa i wspaniała  
Chęcią uszczęśliwienia ludu swego pała;  
Lecz jakże rzadko ciąga wytrwałość ją wieńczy!  
Na jakież wystawiony burze wiek młodzieńczy,  
Ileż ponęt zwodniczych ma najwyższa władza!...  
Jak często z drogi cnoty jeden błąd sprowadza!  
Ileż walk, trudów, cierpień, ofiar i przymusów  
Kosztuje piękny wieniec Trajanów, Tytusów!  
Ten, komu milijonów oddana opieka,  
Równie być winien cnotą wyższy nad człowieka,  
Musi często poświęcać narodu potrzebie  
Najdroższą skłonność serca i rzec się sam siebie;  
Miałabyś więc odwagę?...

AUGUST:

Tak jest, mam ją stałą:

Spełnię wszystko, co z moją zgodnem będzie chwałą,  
 Wszystko, czego by tylko kraj przez twoje usta  
 Słusznie dla szczęścia swego żądał od Augusta...  
 Lecz się nie boję... tak jest, tego się nie boję,  
 Żebyś ty mi wydzierać chciał Barbarę moję;  
 Ty, coś był dla jej wsparcia, pomocy, obrony,  
 Jak anioł pocieszyciel, od nas upragniony,  
 Którego od przesądów gminnych umysł wolny  
 Mój wybór i jej duszę sam cenić jest zdolny,  
 Któryś ją cieszył, wspierał w nieszczęściach, w żalobie...

TARNOWSKI:

Oddaję hołd jej cnocie, przymiotom, osobie.  
 Księżniczka, której mężny ród w dziejach się wslawił,  
 Której ojciec chwalebną śmiercią naród zbawił,  
 Chlubna siostry przyjaźnią i brata wyborem,  
 Jest zapewne płci swojej ozdobą i wzorem.

AUGUST:

Ach, znać ją, z nią żyć, myśli jej przenikać trzeba,  
 By wierzyć, jak do bóstwa zbliżyły ją nieba!  
 Ta postać, co zachwyca i zniewala razem,  
 Jeszcze słabym jej pięknej duszy jest obrazem.  
 Ten wzrok, ten głos, ten uśmiech i ta twarz czarowna  
 Jej dobroci anielskiej jeszcze nie wyrówna.  
 Gdziekolwiek zwróci jasne i łagodne czoło,  
 Ulgę, radość i szczęście rozlewa wokoło;  
 Sama urok kochania zdolna jest utrwalić,  
 Wznieść duszę, podbić rozum i serce zapalić.  
 Jej życia jest potrzebą cnoty miłość święta,  
 Namiętnością jest przyjaźń, jej głosem natchnięta.  
 Ufność bez granic, szczerłość i zbytek tkliwości  
 Są tej wyniosłej duszy niedoskonałości.  
 Gdyby mi dziś wybierać jeszcze było trzeba,  
 Gdyby pierwszy raz widzieć dały mi ją nieba —

Ty, co ją znasz, ty, pełen czci, cnotom jej winnej,  
Życzylżebyś mnie — żony, Polsce — matki innej?  
Cóż, gdy związki...

TARNOWSKI: Te związki?...

AUGUST:

Są prawe, są święte,

I z pasmem chyba moich dni będą przecięte!  
Nic nie zdoła do podłej zniewolić mnie zdrady:  
Łzy matki, wyrok sejmu, twoje nawet rady.  
Lecz ty, coś wlewał we mnie twą cnotę surową,  
Samżebyś mnie gorszącą skłaniał dziś namową,  
Abym tę, co, się dla mnie poświęciwszy cała,  
Swoj byt, swój los, swą sławę w ręce me oddała —  
Skazując na nieszczęście, rozpacz i sromotę,  
Za to karał, że w moją śmiała wierzyć cnotę?  
Byłżeby godzien twego szacunku i serca  
Król, gnębiący niewinność, i mąż przeniewierca?  
Ale nie!... Ufam twojej cnocie i przyjaźni;  
Ty pochwalisz mą stałość, zniszczysz me bojaźni,  
Ubezpieczysz niewinność, zwyciężysz przeszkody  
I pod stopy Barbary schylisz dwa narody!

TARNOWSKI:

Gorliwości mej, królu, doświadczysz w potrzebie;  
Nie lękaj się, bym ofiar wymagał od ciebie,  
Jakichby dobro ludu i Augusta chwała  
Niekoniecznie po sercu twojem wymagała;  
Mniej się jeszcze spodziewaj mego pobłażania!  
Barbara jest twą żoną, jest godną kochania,  
Gdyby jednak te związki być miały powodem  
Wojny ziomeków z ziomkami i króla z narodem,  
Gdyby ciebie Polacy znagłać mieli śmiałość...

AUGUST:

Wówczas bym władzą moją skarcił ich zuchwałość!  
Wówczas-bym ich nauczył, jakiej kary godni  
Poddani, którzy króla zmuszają do zbrodni.

A jeżeli się targnie na mnie broń ich śmiała,  
 Jeżeli trzeba będzie, aby krew się lała,  
 Któryż mocarz wzniósł oręż dla słuszniejszej sprawy?  
 Będę bronił Barbary, bronił mojej sławy,  
 Praw męża, praw monarchy, praw samego Boga.  
 Dosięgnie wiarołomców Jego pomsta sroga!  
 A jeżeli zwycięstwo zbrodni przeznaczone,  
 Wolę paść z ręki zdrajców, niż sam zdradzić żonę!

TARNOWSKI:

Królowa wchodzi... pozwól, ..

AUGUST:

Idź, idź na obrady:

Wyrozumiej unysły, uprzątnij zawady!

Tobie mojego szczęścia powierzam staranie.

### SCENA III.

AUGUST, BARBARA.

BARBARA:

Wszędy cię niespokojność moja ściga, panie!  
 Odtąd, jak drżącą w mury te wstąpiłam nogą,  
 Wszystko mię okropnością przeraża i trwogą.  
 Bezpieczniej szam na chwilę, gdy ciebie oglądam,  
 Ledwie cię stracę z oczu, znowu widzieć żądam.  
 Nawet, gdy zwracasz na mnie wzrok twój rozczulony,  
 Czarne przeczucia trują szczęście twojej żony:  
 Wszystko mi wróży bliską losów moich zmianę,  
 Wszystko, że się na zawsze z Augustem rozstanę.

Ale pocóż te lube miejsca opuszczałam,  
 W których pierwszy raz ciebie, Auguste, ujrzałam,  
 Gdzieśmy złączyli serca i jestestwa swoje,  
 I gdzie tak szczęśliwymi byliśmy oboje?  
 Tu, w którą stronę spojrzę, w którą zwrócę kroki,  
 Same zastrasające rażą mię widoki:

Wszędzie na nowych twarzach czytam smutek blady,  
Wszędzie się zmawiających spotykam gromady.  
Ród mój o mnie się lęka, tłum szpiegów mnie zważa,  
Tarnowski mię unika, Bona mi zagraża;  
Twa siostra, co chce moje ożywiać nadzieję,  
Uczy mię przez łzy częste, które skrycie leje,  
Że same okropności dla mnie przewidywa,  
Którym zabiec nie może jej przyjaźń gorliwa.  
O, ty najczulszy mężu! Ty kochanku drogi!  
Władco mojego losu, celu mojej trwogi!  
Nie odstępuj Barbary... ośmiel duszę moję!  
Ja nie życia, lecz ciebie utracić się boję.  
Jeżeli trzeba umrzeć, umrę niezachwiała,  
Lecz pozwól, bym na twoich rękach umierała!

AUGUST:

Co mówisz? Żyjmy raczej i żyjmy dla siebie!  
Jazbym cię nie obronił, jazbym przeżył ciebie?  
Lecz pocóż niepewności mękę jeszcze wznawiasz?  
Kocham cię i panuję, — a ty się obawiasz!  
Niech się przeciw nam ziemia i piekło sprzysięga,  
Żadna już nas rozłączyć nie zdoła potęga;  
Dzień ten niebezpieczeństwa będzie dniem radości,  
Tryumfem twojej cnoty, tryumfem miłości!  
Dziś twoje piękne czoło koroną ozdobię,  
Lub dam za ciebie życie, którem winien tobie.  
Dziś dwa narody będą świadkami twej chwały,  
Dziś o szczęściu Augusta świat się dowie cały.  
A jeśli dotąd Bona śmie grozić Barbarze,  
Jeśli cię nie chcą obcy uznawać mocarze,  
Jeśli cię sejm przeraża powagą surową —  
Jutro ukłkną wszyscy przed polską królową.

BARBARA:

Toż myślisz, że mnie może być miłą ta chwała,  
Którejbym z narażeniem dni twych nabywała?

Gdy niebo mi pozwala tve serce posiadać,  
 Nic już nie mogę zyskać, a wszystko postradać.  
 Zdołaż który z śmiertelnych, zdołająż niebianie  
 Pomnożyć moje szczęście i moje kochanie?  
 O, mężu, jeśli moje łzy cię zmiekczyć mogą,  
 Opuść ten zamysł, odwróć tę nawałność srogą  
 I pozwól, niechaj, w mojem szczęśliwa ukryciu,  
 Nie drzę o wszystko, co mam najdroższego w życiu!

AUGUST:

I jaż mógłbym ukrywać światu bez sromoty  
 Tyle doskonałości, powabów i cnoty?  
 Jażbym zniósł, żeby na tron nie była wzniesiona  
 Przyszła matka Jagiełłów i Jagiełły żona?

BARBARA:

Błagam cię więc, przynajmniej odłóż te zamysły!  
 Pozwól, niech czas wzburzone ostudzi umysły,  
 Niechaj mię naród pozna wprzód, nim da wyroki,  
 Czym warta z tobą dzielić ten stopień wysoki —  
 Niechaj pierwsze twojego panowania lata,  
 Odkrywając tę boską duszę w oczach świata,  
 Natchną lud, łaskawością twoją zwyciężony,  
 Że ta, którą ty kochasz, jest godną korony.

AUGUST:

Nie!... Dziś... umrzeć, lub stwierdzić trzeba nasze śluby!  
 Sama zwłoka byłaby krokiem do twej zguby.  
 Wkrótce mem uleganiem dumniejsi poddani  
 Jawny rokosz podniosą przeciw swojej pani;  
 Wkrótce, przed ich zuchwalstwem w cieniach się kryjącą,  
 Od tronu i od łoża mojego odtrąca,  
 Albo ich wściekłość... mogeż wspomnieć bez zadrzenia?

BARBARA:

Mężu! Niech wszystkie na mnie zwałą się cierpienia,  
 Niech naród na mnie samą zwróci miecz swój mściwy,  
 Ale niech August żyje, niech będzie szczęśliwy!



Jakież ludy mojego potrzebują życia?  
Skazana ciężar smutków dźwigać od powicia,  
Z odwagą przyjmę niebios wyroki surowe;  
Lecz zniosę, byś ty za mnie swą narażał głowę?  
Zniosę, by moje smutne losy tamowały  
Bieg świetny bohatera w samej wiosnie chwały,  
Którego dwa narody ojcem swoim głoszą,  
Który był ich obroną i ma być rozkoszą?  
Ach, opuść nieszczęśliwą!...

AUGUST: I samaż chcesz?

BARBARA: Panie!

Widzisz łzy moje... przebacz mi to obłąkanie!  
Nie opuszczaj mnie... gińmy, albo żyjmy z sobą!

## SCENA IV.

BONA, AUGUST.

BONA: (*do Barbary*)

Zostaw nas!

(*do Augusta*) Chcę na chwilę mówić sama z tobą.

(BARBARA *odchodzi*)

Zbliż się, synu, i matki posłuchaj cierpliwie!  
Szczerą i śmiałą mową może cię zadziwię,  
Nie przerywaj mi jednak, mając to na względzie,  
Że ten mój głos do ciebie ostatni już będzie.

Ledwieś objął na grobie ojca panowanie,  
Zaraz o twojej ku mnie przeświadczam się zmianie:  
Już od moich uścisków powoli odwykasz,  
Taisz mi swe zamysły, moich rad unikasz,  
Oburzasz się na mego znaczenia ostatki,  
Masz nawet w podejrzeniu przywiązanie matki.  
Co mówię? Pochlebnicy, chcąc twe serce skazić,  
Śmieli mnie za szkodliwą tobie wyobrazić.



Niewinna, nic nie powiem na obronę swoją,  
 Gardzę potwarzą, gniewu twego się nie boję;  
 Moich tobie dobrodziejstw nie będę wyrzucać,  
 Nacóż cię mam zawstydząć i siebie zasmucać?  
 Nic przychodzę tem bardziej łaski twojej żebrać:  
 I to, co dał twój ojciec, możesz mi odebrać.  
 Godniejsze ma pobudki kroku swego Bona:  
 Czy kochana od ciebie, czy nienawidzona —  
 Matką jestem; na tysiąc śmierci biegnę śmiała,  
 Bym w przepaść lecącego syna zatrzymała.  
 Lecz, jeśli twoja dusza, na głos prawdy głucha,  
 Z ust ci niemiłych rady zdrowej nie usłucha,  
 Wzięłam już przedsię zamiar i tego nie zmienię!  
 Nie będę dłużej patrzeć na syna zhańbienie.  
 Dziś o losie Barbary ma być wyrok dany,  
 Dziś usłyszą odpowiedź twoją państwa stany,  
 Która twoich przeznaczeń szalę ustanowi.  
 Długo tając twą miłość mnie i Zygmuntowi,  
 Sam poddanek niegodnąś wiecznych związków sądził  
 I, błędząc, sam przynajmniej czuleś to, żeś zbłądził.  
 Teraz mówisz, żeś zawarł śluby z nią tajemne.  
 Czy tak jest lub nie, w spory nie wchodzę daremne.  
 Łatwo się uwieść daje młodość nieostrożna;  
 Większy to błąd, lecz jeszcze poprawić go można.  
 Dziś dopiero twój upór występkiem się stanie —  
 Okropne jego skutki zważ i zadrzyj na nie!  
 Zakłęk i łez rodziców nie wspominam tobie;  
 Na matkę mało zważasz, a ojciec już w grobie.  
 Wymowniejsze od moich wystawia ci usta,  
 Ile krzywdzi ten związek Polskę i Augusta.  
 Wiesz, jak się nań sąsiedzkie oburzają trony,  
 Wiesz, że, krwią i przyjaźnią z nami połączony,  
 Cesarz chce z Izabelą dzielić tron zachodu,  
 Jeżeli ty Jagiełłów sam nie splamisz rodu.

Wiedz jeszcze (co mi teraz powierza tajemnie),  
Że córkę swego brata daje ci przeze mnie.  
Mamże ci świetność tego wystawiać małżeństwa?  
Znasz ją sam. Waż korzyści i niebezpieczeństwa.  
Smutnym ojca twojego naucz się przykładem,  
Jak straszna z tak potężnym nieprzyjaźń sąsiadem.  
Cóż on zyskał, ślubując pierwszej żonie wiarę,  
Że nad krewną cesarską przeniósł swą Barbarę?  
Postradał sprzymierzeńca, ściągnął na koronę  
Dwie wojny, austryjacką zemsta podżęgnione,  
Walczył odmiennem szczęściem i nierówną mocą  
Lat cztery nieprzerwanie, z Wschodem i z Północą.  
Okrył kwiatem swej młodzi utarczek plac krwawy,  
Stracił Smoleńsk i swojej nadwereżył sławy.  
Nakoniec z roztropności, z musu, czy z bojaźni,  
Którego sam obraził, sam błagał przyjaźni;  
I w murach Wiednia pokój wznawiając przerwany,  
Podwójnym związkiem Słowian połączył z Germany.  
Odtąd zaczął dopiero dni szczęścia i chwały,  
Które mu ojca ludu imię pozyskały.  
Lecz błędzisz, jeśli mniemasz, że podobna wina  
Równeby tylko klęski ściągnęła na syna:  
Zygmunta osłaniała dzieł i lat powaga,  
Twój wstęp do królowania baczności wymaga;  
Ojca tron był wzmocniony, twój się jeszcze chwieje;  
Za nim były zasługi, za tobą nadzieje.  
On zaślubił księżniczkę udzielnego państwa,  
Twoja Barbara w jarzmie zrodzona poddaństwa;  
Wówczas król Czech i Węgier był z krwi Jagiellonów,  
Dziś brat Cesarza obu posiadaczem tronów;  
Maksymilijan tylko był Germanów głową,  
Karol dziś nad Europy panuje połową;  
Państwo Niemców do szczytu potęgi się wzbiło,  
Polsce ziem, nieprzyjaciół, bezrządu przybyło.

Wnieś więc, jaka dziś czeka ją i ciebie dola,  
I wybieraj: opiekę, lub zemstę Karola.

AUGUST:

Cesarz łatwo przewidzieć mógł odpowiedź moję:  
Opieki jego nie chcę, zemsty się nie boję;  
Sojuszów i przyjaźni dochowam mu święcie,  
Lecz, jeśliby miał kiedy dumne przedsięwzięcie  
Mnie dawać prawa, naród zakłócać spokojny,  
Do odparcia napastnej gotów jestem wojny.

BONA:

Toż ci Rusinów, Szwedów i Tatarów mało?  
Jeszcze na bój z Germany narażasz się śmiało?  
W cóż ufasz? Przez małżeństwo, coś nowo skojarzył,  
Potężnym sprzymierzeńcem pewnieś kraj obdarzył?  
Nie! I owszem, z monarchów, dawniej Polsce chętnych,  
Zrobiłeś nieprzyjaciół, albo obojętnych.  
Związki te więc gorliwość ziomków ci zjednały?  
Nie! Przeciwno nim naród oburza się cały.  
Kryjesz się, nieszczęśliwy, w cieniach twego domu  
Od grożącego tobie w sali obrad gromu.  
Już się ofiary swobód ubiegają nowe,  
Kto z nich pierwszy, na miecz twój narażając głowę,  
Prawa Polaków, sławę Jagiełłów ocali,  
Zgładzi wstyd króla, klęski od kraju oddali.  
Jakże opór powszechny złamać będziesz zdolnym?  
Jak narzucisz królowę dwom narodom wolnym?  
Czy żelaza do tego użyjesz, czy złota,  
Podłości lub tyraństwa czeka cię sromota!  
Lecz na tyle walk, cierpień i zgryzot, niestety,  
Dla kogoż się narażasz?... Dla jednej kobiety!  
Dla niej poświęcasz swoje obowiązki, chwałę,  
Swoją ród, swych sprzymierzeńców, tron i państwo całe!  
I ten to August, sławą okryty zamłodu,

Syn największego z królów, nadzieja narodu,  
Co swą pamięć uświetnić miał w potomne lata,  
Stanie się hańbą tronu i pogardą świata?

AUGUST:

Jakże to? Gdybym zgwałcił najświętszą powinność,  
Stargał ślub, zdradził ufność, pogwałcił niewinność;  
Gdybym tę przენiewierstwem sam zgubił zbrodniczem,  
Której bronić przyrzekłem przed niebios obliczem;  
Gdybym, krzywoprzysięstwem podwójnem zhańbiony,  
Wyrzekł się kochającej i kochanej żony  
I zaraz inną kochać obiecywał śmiało,  
Przeciw którejby serce me się oburzało;  
Gdybym w zakamieniałych piersiach na zgryzotę  
Utlumił wstyd i czułość, i wiarę, i cnotę —  
Wówczas to byłbym godzien władać państwa stérem,  
Byłbym wielkim człowiekiem, byłbym bogatyrem?  
Niech zginie ta dworaków nauka obrzydła!  
Inne są w mojej duszy wyryte prawidła:  
Prawdziwie wielkim tylko być może król prawy,  
A nie splamić się zbrodnią jest wstępem do sławy.  
Nie zdradzę tej, co w moje oddała się ręce,  
Dla niej mój tron, spokójność i życie poświęcę!

BONA:

Nieprawne próżno prawem upoważniasz śluby,  
Za hasło bierzesz cnotę i z niej szukasz chluby.  
Miłość to, miłość, swemi uroki łudząca,  
Zaslepia twoją młodość i w przepaść cię wtrąca;  
Ona to cię pocieszać przyrzeka do zgonu,  
Ze wszystkich klęsk narodu, z nieszczęść wszystkich tronu.  
Ach, synu, i tyż ufasz w szczęścia tego trwałość,  
Które czczym omamieniem powierzać masz śmiałość?  
Zawszeż u nóg Barbary, czekając wyroku,  
Będziesz czytał zbawienie, albo śmierć w jej oku?

Czyż nie zadrżysz naówczas, gdy ten blask zwodniczy,  
Który ci w drodze życia sam dziś przewodniczy,  
Gasnąc nagle, na ciemnym obłąkań przestworze,  
Wskaże ci samo cierpienie, nieszczęście, zgryzot morze?

Obyś, za błąd przynajmniej sam ponosząc karę,  
Szczęśliwą przez ten związek uczynił Barbarę!  
Ale niestety! Synu, mimo twojej woli,  
Ty sam sprawcą i świadkiem byłbyś jej niedoli.  
Czyżby jej niespokojność szczęścia jej nie struła?  
Czyżby, ciebie kochając, mogła być nieczuła  
Na twoją hańbę jawną, na tajone smutki,  
Na straszne gniewu swoich, wzgardy obcych skutki,  
Na wyrzuty, na klęski, na krew swoich ziomeków  
I na los z niej się zrodzić mających potomków?  
Zawszeby, przełęczniona, widziała, niestety,  
Miecz twej głowie, jej piersiom grożące sztylety!  
Kto wie? Polak, w zapału ślepego zapędzie,  
Między nią i Ojczyzną czyż wahać się będzie?  
Wróć jej, wróć to, z któregoś ją wydarł, ustronie,  
A stokroć w niem szczęśliwszą będzie, niż na tronie.  
Los i dni jej ubezpiecz, zapomnij o wdziękach!...  
Wszystko jeszcze poprawisz, wszystko w twoich rękach.  
Skrusz więzy: Rzym nie przeczy, naród się domaga,  
Żona zezwoli, matka ze łzami cię błaga.  
Powszechną radość wróci jedno twoje słowo,  
Zaczniesz panować, Polska zakwitnie na nowo.

Jednego mi niebiosa dały tylko syna;  
W nim moja rozkosz, chwała, pociecha jedyna;  
Jakież, prócz jego szczęścia, znam szczęście, o Boże!  
On mi sam łzy wycisnął, sam je otrzeć może.  
Wzrok mój, który okryją wkrótce wieczne cienie,  
Oby jeszcze... Lecz widzę twoje rozrzewnienie...  
Idź, idź, głos cię narodu zmiękczy do ostatka,  
Samo niebo dokona, co zaczęła matka.

Niech wyrok twój uśmierzy wzburzone umysły:  
Pomnij, że dwóch państw losy od niego zawisły!

(AUGUST *wychodzi*)

Nie ufam ni synowi, ni stanom, ni Kmicie:  
Monty pewniejsze środki przygotuje skrycie.

## AKT TRZECI.

## SCENA I.

BARBARA, IZABELA.

BARBARA:

Co? On milczał? On swojej nie śmiał przyznać żony  
 I w zawieszeniu naród zostawił zdumiony?!  
 Widziałas?... Już więc nawet i wątpić nie mogę.  
 O smutku! O boleści!

IZABELA:

Uśmierz próżną trwogę;  
 Byłam świadkiem, jak srogą wytrzymał katuszę:  
 Milczał, ale twarz jego wydawała duszę.  
 Miałże wybuchnąć? Miałże, gromiąc ludu głosy,  
 Narażać na niepewność swej Barbary losy?  
 Czekał on, aż się burzy gwałtowność przesili.  
 Sejm trwa, August nie wrócił, i może w tej chwili...

BARBARA:

Czego się, nieszczęśliwa, mam spodziewać jeszcze?  
 Aż nadto się sprawdzają me przeczucia wieszczę.  
 Niestety! Już ta długa matki z nim rozmowa,  
 Ten tryumf odchodzącej i ostatnie słowa,  
 Ta, gdy mnie później żegnał, oziębłość Augusta,  
 Te wymowne wzdychania, te milczące usta,  
 Rokowały mi drżące... Lecz co widzę? Bona?  
 Zejdźmy...



## SCENA II.

BONA, BARBARA, IZABELA.

BONA: (*do Barbary*)

Czegoż ode mnie stronisz, przełknięona?  
Przystąp, mówić tu z tobą umyślnie przychodzę.  
Jeśli sama dać powód mogłam twojej trwodze  
I na wstępie, przez moją porywczosć niewczesną,  
Zadałam sercu twemu ranę zbyt bolesną,  
Już dosyć za to cierpię... Lecz któż nie przebaczy  
Królowej -- w pierwszym gniewie, i matce — w rozpaczycy?  
Wspomnij na porę, mojej pamięci tak lubą,  
Gdy byłeś mego serca rozkoszą i chlubą,  
Gdy, przyjmując starania przychylniej ci ręki,  
Pod mojem okiem w cnoty wzrastałaś i wdzięki.  
Kochałam cię, dziś nawet niekochać nie mogę.  
Nie, nie ty moją wzniecasz o Augusta trwogę.  
Gdyby i ród, i wybór jednomyślnych głosów  
Losów Polski do jego nie przywiązał losów,  
Gdyby mniej oburzała naród jego winą —  
Chciałabym ci poruczyć szczęście mego syna,  
Chciałabym ci być matką.

BARBARA: Co mówisz, królowo!  
I z twojegoż to serca to wychodzi słowo?  
O nieba!

BONA: Więcej powiem, daj królowej wiarę:  
Dzisiaj gotowam przyjąć za córkę Barbarę,  
Ale wprzód doświadczyć chce troskliwość moja,  
Czy ty prawdziwie kochasz mego syna.

BARBARA: Kto? Ja?

BONA:

Tak, ty sama. Mogłażbym żądać po kim innym  
Tej miłości, tak mało znanej duszom gminnym,  
Tej miłości najżywszej, szlachetnej, wylanej,

Co żyje tylko szczęściem osoby kochanej,  
 Co poświęceń się samych piękną żądzą płonie,  
 Rozkosz czuje w ofiarach, tryumf czuje w zgonie?  
 Czy tak Augusta kochasz? Dziś masz porę, dowiedz!  
 Szalę przeznaczeń twoja przeważy odpowiedź.  
 Słuchaj! Dwór, Izabela, mąż przed twojem okiem  
 Smutny stan rzeczy ciemnym zakrywa obłokiem.  
 Okropność jego całą ja tobie odsłonię:  
 Ledwo dziś w obrad sali król zasiadł na tronie,  
 Już nie pokryte mowy, nie pokorne prośby,  
 Lecz zuchwałe wyrzuty, nastawania, groźby,  
 Zgiełk, rozruch, zapał, bliskie pałaszy dobycia,  
 Zapowiedziały jemu kres rządów, lub życia.  
 Mało na tem! Straszniejsze dla niego nierównie  
 Te, które w głębi serca ponosi, katownie:  
 Boleść, że ściaga na się oburzenie ludów,  
 Których pozyskać miłość miał za cel swych trudów,  
 Okropność, z jaką wcześniej na myśli mu stawa  
 Tronu z narodem, braci z bracią walka krwawa,  
 Bojaźń, gdy cię zatrzyma, wydania na miecze,  
 Żal, hańba i zgryzota, gdy się ciebie rzecze —  
 Rozbierając tę duszę, odwagę tracącą,  
 Za lada moment w przepaść rozpaczy ją wtrącą,  
 A własna, lub jakiego zagorzalcy ręka  
 Przyśpieszy chwilę, której twe serce się lęka.  
 Sposób, co tym grożącym nieszczęściom zabieży,  
 Jeden jest i od ciebie samej ten zależy;  
 Oddal się na czas krótki, nim burza zwolnieje,  
 Ocal męża i szczęścia waszego nadzieję!  
 Jedź: daję ci we Włoszech moje księstwo Baru.  
 Cesarz chętnie potwierdzi lenność mego daru,  
 Jemu los twój i państwa twojego polecę;  
 Największego z monarchów zaufaj opiece!  
 Szczęścia twojego nadal mnie porucz staranie;  
 Ręczę, iż je osiągniesz, tylko zasłuż na nie!

BARBARA:

Oby tym środkiem zbawić go mogła Barbara!  
Ale ta stokroć większa nad życie ofiara  
Uszczęśliwiż go? Będzież jego sercu miła?  
Uwierzyż on, że miłość mnie do niej skłoniła?  
On, co mię drżącą widzi, odchodząc na chwilę,  
Zniesieź, by nas dzieliło morz i lądów tyle?

BONA:

Wolisz więc, żeby Rzymu i stanów uchwała  
Związek wasz w oczach świata na wieki stargała?  
Lub, żeby mąż był wkrótce z tobą rozdzielony  
Swoją, lub okropniejszą jemu śmiercią żony?  
Wolisz zrzec się nadziei, że niebo łaskawsze  
Jeszcze zbliży was kiedyś i złączy na zawsze?  
Tron Augusta się wzmocni, burza uspokoi,  
Poświęcenie się twoje nienawiść rozbroi;  
Zazdrość, jaką wrą dzisiaj twym blaskiem rażeni,  
Nieszczęście, oddalenie i czas w litość zmieni.  
Tak więc, córko, za twoją ofiarę wspaniałą  
Wszystko tobie nagrodę przepowiada trwałą;  
A ta jedyna droga, którą cnota radzi,  
Sama cię i do szczęścia tylko zaprowadzi.  
W tej pewności twój umysł znosić będzie zdolny  
Rozdział, może niedługi, rozdział dobrowolny.  
Czegoż się wahać? Okaż godne ciebie męstwo,  
Nad miłością przez miłość otrzymaj zwycięstwo!  
Czas drogi mająż próżne zabierać nam spory?  
Król na sejmie, z jedynej korzystajmy pory!  
Lękaj się spóźnić! Oszczędź pożegnań niewczesnych,  
Tobie tak niebezpiecznych, jemu tak bolesnych!  
Chcesz li ocalić męża? Momentu nie zwlekaj!  
Już wszystko jest gotowe; jedź, panuj i czekaj!  
Pozwalam, aby sercu twojemu tak miła  
Izabela twych smutków gorycz łagodziła.

IZABELA:

Jażbym w nieszczęściu mogła odstąpić Barbary?...  
Jest ona pewnie zdolną tak wielkiej ofiary,  
Lecz możeż w jednej chwili być do niej skłonioną?  
Pomnij, że nie kochanką, lecz jest króla żoną!  
Mąż sam władcą jej życia, jej tchnienia, jej doli;  
Możeż rozrządzać sobą mimo jego woli?  
Maż ślepo iść za sercem? Czyż nie będzie drżała,  
By, chcąc być wielkomyślną, winną się nie stała?  
Ach, ulituj się, matko, jej łez i rozpaczyl!  
Raz ostatni przynajmniej męża niech zobaczy!  
I niech...

BARBARA:

Jażbym już nigdy widzieć go nie miała?

### SCENA III.

BONA, BARBARA, IZABELA, POSEŁ SEJMOWY.

POSEŁ: *(do Bony)*

Królowo! Kraj ocalon i Augusta chwała:  
Własną cnotą i łzami ludu zwyciężony,  
Król wiecznie od nieprawnej rozdziela się żony!  
Pozwól, abym powszechną wrócił dzielić radość!  
*(odchodzi)*

BARBARA: *(na boku)*

Stało się więc, okrutna, woli twojej zadość!

### SCENA IV.

BONA, BARBARA, IZABELA.

BONA: *(do Barbary)*

Nie trwóż się, córko! August zawsze kocha ciebie,  
Na czas tylko naglącej ustąpił potrzebie.

Niezdolny całej izby zwyciężyć zapalu,  
Poddał się udręczeniom krótkiego rozdziału,  
Chcąc być na zawsze swojej pewniejszym Barbary.  
Widzisz więc zgodne jego z mojami zamiary.  
Masz-że, mu przyczyniając wstydu i boleści,  
Doczekać, aż sam ci swój wyrok obwieści?  
Czyż ten ostatni moment chcesz widzieć zatruty  
Jego upokorzeniem, twojemi wyrzuty?  
Czyż, karząc niewinnego tak, jak przeniewiercę,  
Chcesz jękami rozpaczy rozdzierać mu serce?  
Nie, uprzedź sama zakres odjazdu niedługi,  
Nie trać poświęcenia się twojego zasługi!  
Wstydu i cierpień oszczędź mężowi wspaniale,  
Usprawiedliwij miłość, pomnóż jego żale,  
Rozbrój wielkością duszy zdumione narody  
I stań się godną tobie najmiłszej nagrody!  
Jedź!... Pozór nawet zniknął już dalszych zaprzeczeń.  
Ja ci moich nie cofam ni łask, ni przyrzeczeń...  
Ufaj mojemu sercu, rządź dane ci kraje!

BARBARA:

Umiem cenić twe łaski, twe serce poznaję.  
Przyrzekłaś, żem z rąk twoich śmierć odebrać miała,  
Czemuś, okrutna, słowa mi nie dotrzymała?  
Wolałaś, w niezbląganej srogości zaciekła,  
Przeciwko mnie podburzyć i ziemię, i piekła,  
Wiarołomstwem Augusta serce moje przeszyć,  
I przysłaś jeszcze z twego tryumfu się cieszyć,  
Przysłaś moją rozpaczą twe oczy nasycić!  
Idź obrzydłem zwycięstwem przed światem się szczycić!  
Idź! Idź! Twój widok bardziej dręczy moją duszę,  
Niżli wszystkie zdradzonej miłości katusze!

BONA: Tak, odpychaj, szalona, dobroczynną rękę,  
Która sama twą chciała ułagodzić mękę;

W przepaść, którą otwierasz, leć zapamiętała,  
 Niebios i moją litość jużś zmordowała!  
*(odchodzi)*

## SCENA V.

BARBARA, IZABELA.

BARBARA:

Cóż słyszałam? Gdzież jestem?... Jakaż we mnie zmiana?  
 Ja, która się przed chwilą sądziłam kochana,  
 Której szczęścia niebianie sami zazdrościli,  
 Wszystko, niestety... wszystko w jednej tracę chwili!...  
 Czuję piekło w mem łonie... ach, i żyję jeszcze!  
 Tysiąc nieszczęść wróżyły mi przeczucia wieszczce!  
 Los wziął się od samej kolebki mię nękać...  
 Od losu słusznie mogłam wszystkiego się lękać,  
 Lecz August!... Obraz bóstwa między śmiertelnymi,  
 On, mąż mój, mój opiekun jedyny na ziemi!  
 Nadzieja serca mego, cel mego kochania,  
 On mnie sam prześladuje, zdradza i wygania!

IZABELA:

Komuż wierzysz? Twój umysł nagle przerażony...

BARBARA:

„Król wiecznie od nieprawnej rozdziela się żony“...  
 Wiecznie!... Tyś mógł to wyrzec? Możesz tego żądać?...  
 Ty sam? Dobrze... nie będziesz więcej mnie oglądać.  
 Nie będzie już cię dręczyć ta żona niemiła:  
 Opuścę cię na zawsze... Ach, aż nadtom żyła!...

IZABELA:

Co mówisz? Jakaż rozpacz duszą twoją miota?  
 Pozwól mi...

BARBARA: Taż to miłość? Ta wiara? Ta cnota?  
 Dzis jeszcze... jak zdradliwie (któżby się spodziewał)

W tę duszę łatwowierną jad ufności wlewał.  
Dziś jeszcze; gdy mię zwodził ten obłudnik śmiały,  
Mniemałam, że się serca nasze rozumiały.  
Dziś go jeszcze niezdolnym podłości sądziłam...  
Co mówię?... Dziś... przed chwilą... jak bóstwo go czciłam,  
A on, niestety, ludziom podobny jest innym!  
Jakżebym rada sama znaleźć go inniej winnym,  
Lecz cóż go uniewinni? Jeśli cnota, chwała,  
Ojczyzna tej ofiary po nim wymagała,  
Czegoż krył się przede mną w szlachetnym zamiarze?  
Czyż mniemał, że mu Polska miłsza, niż Barbarze?  
Nie! Nie! Próżność i duma to serce skaziły!  
Ach, tobież, tobie płonny ten blask mógł być miły,  
Tobie, któremu czysty szczęścia źródło był znany,  
Tobie, który kochałeś i byłeś kochany?...  
On mnie kochał? Obłudnik!... Ach, życiebym dała,  
Bym na chwilę ten błąd mój przedłużyć zdołała!  
Prawdo, ty mi ostatnią ulgę odejmujesz,  
Ty mi nawet znikłego szczęścia pamięć trujesz!

IZABELA:

Nie! Nigdy brat mój... Nigdy!... Biegnę do Augusta,  
Rozproszą twoją bojaźń własne jego usta,  
Tymczasem niech nadzieja odwagę ci wleje!

BARBARA:

Nadzieja dla mnie?... Lecz nie!... Mam jeszcze nadzieję.  
Idź! Bieź, dokąd cię przyjaźń twoja dla mnie wzywa!  
(IZABELA *odchodzi*)

## SCENA VI.

BARBARA: (*sama*)

Wyszła już... wyszła; teraz dopierom szczęśliwa:  
Przez litośćby wstrzymała może rękę moję...  
Co? Litość w siostrze zdrajcy? Próżno jej się boję!



O przyjaźni! Miłości! Niema was na świecie!  
 Wy, lube sny mej duszy, na wieki nikniecie!  
 Wszystko mię prześladowe, zdradza, nienawidzi,  
 I niebo mię opuszcza, i świat mną się brzydzi.  
 Śmierci! Śmierci! Ty moich ulituj się jęceń!  
 Wyrwij mnie z tej bezdennej przepaści udręczeń!  
 Niedołężna! Wśród hańby, wzgardy i zniewagi  
 Chcesz umrzeć, bo żyć dalej nie czujesz odwagi.  
 Wówczas to trzeba było w pierś mieczem uderzyć,  
 Gdy mówił, że cię kocha i mogłaś mu wierzyć.  
 Wówczas-byś upewniła, kładąc kres niezgodom,  
 Tron i życie królowi, pokój dwom narodom;  
 Wówczas Polak cześć winną poświęciłby tobie,  
 I samby August może westchnął na twym grobie.  
 Teraz przyjm śmierć, nikczemna, jakąć los przeznaczy...  
 Nie śpiesz się... umrzesz wkrótce z smutku i rozpaczy!  
 Czekaj przynajmniej, aż król sam... Co? Ja mam czekać,  
 Aż przyjdzie w moich oczach swej żony się zrzekać?  
 I z udaną litością... O żalu!... O wstydzie!  
 Mogłażbym... Lecz już słyszę... ach, oto już idzie!  
 Idzie swój mi ogłaszać wyrok, przeniewierca  
 I uniewinniać jeszcze czarność swego serca!  
 Śpiesz się! Śpiesz, nieszczęśliwa! Uprzedź ten cios krwawy!  
 Umieraj bez pociechy, bez pomsty, bez sławy,  
 Ale umieraj, opuść ten świat obmierziony,  
 Na którym on żyć będzie... żyć dla innej żony!

## SCENA VII.

BARBARA, IZABELA, AUGUST.

IZABELA: (*uprzedzając Augusta*)

Stój, siostro! Mąż ci wierny... Poseł w zmowie z Boną...

BARBARA:

O nieba! Mogęż wierzyć?...

IZABELA:

Tak, byłaś zwiedzioną!

August...

AUGUST: (*zbliżając się do Barbary*)

Twojeż to serce, serceż to Barbary

Mnie... mnie mogło posądzać o złamanie wiary —

Którego tyle przeszkód i burz nie zwalczyło,

Któremu wszystko cierpieć dla ciebie tak miło?

BARBARA:

Ach, ty życie Barbarze wracasz, mężu drogi!

Widzę cię — i już wszystkie znikły moje trwogi.

Ach, przebacz zginającej przed tobą kolana:

Zbłądziłam — i aż nadtom za mój błąd skarana.

Jakże niezdolnie było żyć, wątpiąc na chwilę!

Ale wieści, upewnień i podobieństw tyle...

AUGUST:

Nie nie powinno było mojej zachwiać żony.

Nie znała-żeś Augusta, nieznała-żeś Bony?

Gdyby cię wszystkich ludów głosy oskarżały,

Niczemby przeciw tobie był u mnie świat cały.

Prawda, że, nie chcąc zwiększać zapалу zapalem,

Odpowiedź moją stanom do czasu wstrzymałem:

Tak wzgląd na szczęście nasze, tak Tarnowski radził.

Krok łagodności nowe zuchwalstwo sprowadził:

W domu własnym, wyrzuty posłów mając znosić,

Chcę godną ich uporu odpowiedź ogłosić.

Jeśli dziś tron dla ciebie nie będzie wzniesiony,

Zrzekam się niespokojnej Polaków korony.

Niech, kto chce, rządzi szlachtą dumną i swawolną,

Chcącą królów, i królom ulegać niezdolną!

Ja na dziedzictwie przodków moich poprzestane,

Wrócę z tobą w siedliska Litwy ukochane

I poświęcę się szczęściu tych obywateli,

Którzy i nasze będą szanować umieli.

BARBARA:

Czemże jest szczęście nasze obok szczęścia ludów?  
 Chcesz-że pozbawiać Polskę owocu twych trudów?  
 Chcesz-że rozdzielać wiecznie dwa potężne kraje,  
 Które złączył twój naddziad, łączą obyczaje,  
 Łączy rządu spółnictwo, dwóch wieków zażyłość,  
 Jedna krew, jeden język, jedna swobód miłość?  
 Któreś w obliczu niebios poprzysiągł i ziemi  
 Ścisłej spoić i oba zrobić szczęśliwemi?  
 Chcesz-że, by te pogromcze orły i pogonie,  
 Które w Ojczyzny wspólnej, w praw wspólnych obronie  
 Walczyły, zwyciężały, wślawiały się razem —  
 Bratobójczem się kiedyś krwawiły żelazem?  
 Lub, żeby, sam ujarzmion od obcego państwa,  
 Ścigał bronią brat brata, nagłąc do poddaństwa?  
 O, wy, tak lube sercu mojemu narody,  
 Siedliska naszych ojców męstwa i swobody,  
 Jeśli wam takie losy gotują niebianie,  
 Niech umrę, niech przynajmniej ja nie patrzę na nie!

AUGUST:

Ach, przestań! Głos twój moją wskroś przeniknął duszę;  
 Uznaję twoją wyższość i ulegać muszę.  
 Com przedsięwziął, uniesion miłości zapędem,  
 Czuje, że było zbrodnią, lub przynajmniej błędem.  
 Ty mię zwracasz na świętą powinności drogę.  
 Czyż przy tobie na długo z niej wyboczyć mogę?  
 Nie!... Nie!... W sercu, nad którym ty masz panowanie,  
 Miłość kraju i cnoty mieszkać nie przestanie!  
 Tak jest! Obu narodom przyrzekłszy opiekę,  
 Dobrowolnie się tronu polskiego nie zrzekę;  
 Lecz tem bardziej, przez dumę lub trwogę nikczemną,  
 Nie zezwolę, by ciebie rozdzielono ze mną!  
 Kiedy mi los dwóch ludów poruciły nieba,  
 Dla ich uszczęśliwienia ciebie mi potrzeba.

Ni groźby sejmujących, ni błysk ich pałaszy,  
Ni wydarcie korony, nic mnie nie zastraszy!  
Ach, w porównaniu straty, której się ja boję,  
Czemże jest tron, świat, życie... nawet życie moje?  
(*do Barbary i do Izabeli*)

Zostawcie mnie! Czas ucha dać natrętnych mowie;  
Wkrótce do was powrócę.

(*do straży*)

Niech wnijdą posłowie!

## SCENA VII.

KRÓL, BORATYŃSKI, POSŁOWIE.

BORATYŃSKI.

Królu! W nas dzisiaj widzisz dwa ludy potężne,  
Które, długo rządzone przez twe przodki mężne,  
Pod nimi się złączyły, wślawiały i wzrosły.  
Ojca i dziadów cnoty na tron cię wyniosły:  
Im Ojczyzna, Ojczyźnie ty winienesz wdzięczność.  
Odplacić się jej teraz masz, Auguście, zręczność;  
W jej imieniu od ciebie domagać się śmiemy  
Ofiary, której wielkość sami czuć umiemy.  
Lecz ofiara, potrzebna do szczęścia narodu,  
Nigdy trudną nie była dla Jagiełłów rodu.

Pojałeś, królu, żonę bez woli senatu,  
Ze szkodą państwa, z ujmą twego majestatu,  
Ślub twój znieważa świętą ustaw naszych księgie.  
Przysięga męża gwałci monarchy przysięgę:  
Wykonałeś ją pierwszej Polsce, niż Barbarze;  
Tej dom twój, tamtej były świadkami ołtarze.  
W obliczu świata wszyscy królowie są braćmi;  
Związek z poddanką świetność tronu twego zaćmi;  
Przodkowie twój ród wzniesli, tyż go masz poniżać?

Księżniczce, którąś wybrał, nie chcemy ubliżać,  
 Szanujemy ją: warta być w rzędzie królowych,  
 Gdyby berło nagrodą było cnót domowych.  
 Dość już mają zaszczytu jej cnoty i wdzięki,  
 Kiedy ją godną twojej osądziłeś ręki.  
 Tęm niewiast, co błyszczały i błyszczą koroną,  
 Pochłoneły w niepamięć wieki i pochłona;  
 Te zawsze będą celem wdzięczności i chwały,  
 Które się dla Ojczyzny poświęcić umiały.  
 Niechaj Barbara w szczupłym ich mieści się gronie!  
 Niechaj, od tronu wyższa, nie będąc na tronie,  
 Z żonami królów cnotą idzie na wyścigi,  
 Niech zrówna, bo przewyższyć nie może Jadwigi,  
 Co, kochając Wilhelma, Wilhelmowi miła,  
 Miłością Polski miłość ku niemu zgasiła.

Chlubnie to jest królową być z obywatelki,  
 Chlubnie z królem się łączyć. Tenby zaszczyt wielki  
 Spadł i na rody nasze z panowań kolei;  
 Lecz my się tej pochlebnej zrzekamy nadziei,  
 Jak władzy wybierania królów z pośród siebie.  
 Duma winna ustąpić narodu potrzebie.  
 Przewidujem, że związki monarchy z poddaną  
 Pospolitej się rzeczy niebezpieczne staną.  
 W Polsce równymi wszyscy są obywatele:  
 Sam król, od wszystkich wyższy, jest na rzędu czele,  
 Sam ocenia zasługę i sam ją nagradza;  
 Bezstronną być powinna rządzącego władza.  
 Dom szczęśliwy, z którego król wybierze żonę,  
 Szalę nagród przeważy wkrótce na swą stronę...  
 Syt bogactw i dostojeństw, do berła się zbliży,  
 Wywyższy się i wszystkich tem samem porziży.  
 A dalej ten, co dzielił z królem panowanie,  
 Tron posiedzie, lub strasznym tronowi się stanie.  
 Niedosć na tem. Następcy pójdą w twoje ślady;

Pochopne panującym są złego przykłady:  
Nad wskazane potrzebą kraju smutne śluby  
Każdy przeniesie związek sercu swemu luby.  
Nie straciż wielkiej wówczas Ojczyzna podpory,  
Pokrewieństwa swych rządców z postronnemi dwory?  
Elżbieta, babka twoja, matka królów pięciu,  
W najważniejszym wspierając męża przedsięwzięciu,  
Kiedy poskramiał Zakon, ziem i krwi łakomy,  
Odwróciła grożące Polsce Wiednia gromy.  
Helena, uczestniczka Aleksandra tronu,  
Wstrzymała oręż Moskwy aż do męża zgonu.  
Jakież dla nas Barbara ubezpieczy ściany?  
W którejże głos jej będzie stolicy słuchany?  
Na ziemi naszej imię jej powtórzy zawieść,  
Może litość... a może, wśród niezgód, nienawiść.

Wielu ważnych nie dotkną przyczyn moje usta...  
Nacóż mam się rozszerzać? — Mówię do Augusta!  
Sercu twojemu dosyć jednego powodu,  
Że te związki miłemi nie są dla narodu.  
Ów, co przewyższył cnotą bohaterów gminnych,  
Co jest wzorem dla ciebie, rozpaczą dla innych,  
Tytus, czemu od tronu, od siebie oddalił  
Tę, przed którą zdumiony Wschód kadzidła palił,  
Tę, którą sam ubóstwiał, której sercem władał?...  
Bał się, żeby miłości Rzymu nie postradał,  
Rzymu, co z próżnej dumy, może z uprzedzenia,  
W Berenice nie cierpiał królowej imienia;  
Toż, osładzając swoje samowładne rządy,  
Pan świata płonne Rzymian szanował przesady.  
A tyż, wolnego ludu król, wolnie obrany,  
Mniej chcesz, mniej masz potrzeby być od nas kochany?  
Czyż myślisz, niszcząc wolność, gardząc ustawami,  
Podbić kraj i żelazne berło wznieść nad nami?  
Bądź raczej, idąc torem przodków nieomylnym,

Naszą miłością wielkim, naszą mocą silnym,  
I spraw, twą władzę ważąc na praw naszych szali,  
Żebyśmy się nie ciebie, lecz o ciebie bali!

(*kłękając*)

Nigdy przed obcą władzą, przed mieczem tyrana  
Nie ugięły się wolnych Polaków kolana.  
Dzisiaj błagamy ciebie, ojczyźnie naszej ziemi,  
Za tobą, za twym rodem, za dziećmi naszymi,  
W imię twych dziadów, których pamięć tak nam droga,  
W imię twojego ojca, w imię tego Boga,  
Co z małych wzniósł początków Polskę tak wysoko  
I dotąd na nią zwraca opiekuńcze oko —  
Zgaś miłość, być mogącą strasznych burz powodem,  
Zerwij związki z kobietą, a wzmocnij z narodem!  
Niech Polska, niech świat cały, niech potomność mówi:  
„Tak miłymi poddani byli Augustowi,  
„Że się dla nich nie wahał uczynić ofiary  
„Z najdroższych uczuć serca, nawet z łez Barbary!“

AUGUST:

Posłowie! Wam-że, mężom z cnót i światła znanym,  
Wam, stróżom swobód ludu, od ludu wybranym,  
O to przystało prośby przy mym składać tronie,  
Żebym poprzysiężoną wiarę złamał żonie,  
Nie, żebym jej każdemu ściśle dochowywał?  
Radzicież, bym najświętsze z żoną związki zrywał  
Dlatego, żem je w zamku zawarł, nie w świątyni?  
Że od nich może króla Rzym wolnym uczyni?  
O ślepoto! Niech dobroć niebios was ochroni,  
By tej, której dziś na mnie używacie broni,  
Przeciwno wam następcy nie zwrócili moi!  
Bez ich wiary czyż wolność wasza się ostoi?

Znam powinności moje, znam i moje prawa:  
Żadna monarchom polskim nie każe ustawa  
W żon wybieraniu własnej wyrzekać się woli.



Król wolnych samże tylko miałby żyć w niewoli?  
Jeślim, pomimo senat, z ojczystego kraju  
Biorąc małżonkę, przodków odstąpił zwyczaju,  
Czyż małe uchybienie mam zbrednią poprawiać  
I rządów mych pierwiastki wiarołomstwem wsławiać?  
Czyż, odrzucając, hańbiąc, zdradzając Barbarę,  
Za mój błąd mam niewinną skazywać na karę?  
Nie! Żaden prawodawca, żaden sąd na świecie  
Tegoby nie nakazał — i wy nie możecie!  
Tytus rzekł się kochanki i jest słusznie czczony;  
Byłby splamił swe imię, gdyby rzekł się żony.

Cnotom Barbary winny hołd składacie sami,  
Czemużby więc nie miała panować nad wami?  
Czyż wy nie rzetelniejszym zaszczytem sądzicie  
Być godną ręki króla, niż wziąć z królów życie?  
Ujmę przez to krwi mojej próżno przesąd głosi;  
August się nie poniża, tylko ją podnosi.  
Jeśli nie idzie z rodu świetnego koroną,  
Jest królową Polaków, jest Jagielly żoną.  
Gdym współobywatelkę waszą na tron wzywał,  
Wdzięczność od was, nie skargi, sobiem obiecywał.  
Obcych monarchów córki, co ten tron dzieliły,  
Swojej nowej Ojczyźnie wszystkie wierne były?  
Dwie wspomnieliście, sławne ważnemi posługi,  
Lecz sławnych łzami ludu szereg nadto długi!

Wszyscy, w ościennych państwach będący na czele,  
Jawnie lub skrycie nasi są nieprzyjaciele;  
Czyż krwi związki zdobywczy zapęd ich rozbroją?  
Dopotąd nas szanują, dopokąd się boją.  
Niech tylko Polska z królem swym będzie związana,  
A ręczę, że jej nigdy bać się nie przestaną!  
Dziś pora (jeśli dbacie o jej byt i całość),  
Okazać jednomyślność, gorliwość i stałość:  
Oto, niosące na nas oręż napastniczy,

Sypią się z Krymu hordy wyuzdanej dziczy;  
Część braci rozdzielonych, jarzma niecierpliwa,  
Wznosząc ręce do braci, wybawienia wzywa.  
W kraju bezrząd, o ścianę srogi bój się wzmaga,  
Wszędzie potrzebna czujność, rada i odwaga.  
I w tychże to, niestety, chwilach niebezpiecznych  
Sejm, nadzieja narodu, sejm, czoło walecznych,  
Na gorszących niesnaskach czas najdroższy traci?  
Potożędzie wysłani od waszych tu braci,  
Ażebyście królowi żonę wydzierali?...  
Nie wydrzecie! Przysięgam na ostrze tej stali!  
Sejm, naród i świat cały tego nie dokaże!  
Nad tron, nad życie więcej wiarę moją ważę.  
Słyszeliście mój wyrok. Wróćcie na obrady,  
Prawami szczęścia Polski umocnić zasady.  
A wkrótce, gdy głos kraju po śmierć lub wawrzyny  
Wywoła nas za brzegi Odry albo Dźwiny,  
Ujrzycie, dzieląc z królem waszym boje krwawe,  
Czy mniej, jak żonę, kocham Ojczyznę i sławę!

## AKT CZWARTY.

## SCENA I.

TARNOWSKI, KMITA.

KMITA:

Już się więc nieszczęść naszych przeważyła szala:  
August wojny domowej pochodnię zapala.  
W hańbiącym ród Jagiełłów niezgięty zamiarze,  
Tron, sławę i Ojczyznę poświęca Barbarze.  
Ściągnął wojska i, świeżej niepomny przysięgi,  
Grozi praw stróżom gromem królewskiej potęgi.

Tarnowski, pewnie twoja niepodległa dusza  
Na tę wspólną nam wszystkim krzywdę się obrusza?  
Są jednak, co, królowi przebacząc winę,  
Nieszczęść obecnych w tobie znajdują przyczynę.  
On, mówią, który duszą jest Augusta rady,  
Sam ślepej namiętności rozlewa w nim jady,  
A pracuje nad władzy króla rozszerzeniem,  
Ażeby sam panował pod jego imieniem.  
Lecz sejm, lekko nie sądząc wielkiego człowieka,  
Twego uniewinnienia od spraw dalszych czeka.  
Masz porę. Zgodne prawie sejmujących usta  
Berła przodków niegodnym uznają Augusta.  
Nim ten zaszczyt, w ostatnim splamion Jagiellonie,  
W godniejsze zgromadzony naród złoży dłonie,

Nim ogłosi nowego króla wielkorada,  
 Rządu tymczasem ciężar cały na cię spada.  
 Pośród zamieszanego na chwilę pokoju  
 Trzeba nam doświadczonych i w radzie, i w boju;  
 Ty się okryłeś chwałą w potrzebie obojej,  
 Wzywamy więc odwagi i mądrości twojej;  
 Wspieraj nas, ale wprzód powiedz nam otwarcie,  
 Czy się na twoje śmiało spuścić możemy wsparcie,  
 Czy wolność Polski będzie twoich starań celem!  
 Mów, czyś króla stronnikiem, czyś obywatelem!

TARNOWSKI:

Ty sam raczej odpowiedz, kto ciebie ośmiela  
 Wierność panu wyłączać z cnót obywatela?  
 Kto ci moc daje sądzić i potępiać króla?

KMITA: Nasze prawa, mój urząd i narodu wola.

TARNOWSKI:

Narodu? Cóż u ciebie narodem się zowie?  
 Czy garść rokoszan z Boną i z obcymi w zмовie?  
 Garść zaprzędanych posłów, złych obywateli,  
 Rozwiązłych marnotrawców, podłych wichrzycieli,  
 Co, myśląc wśród klęsk ludu o sromotnych zyskach,  
 Wzniesć chcą swoją potęgę na tronu zwaliskach?  
 To twój naród! I takim napelniwszy Kraków...

KMITA: Pomnij, do kogo mówisz, i szanuj Polaków!

TARNOWSKI: Prawi Polacy swego czcić umieją pana.

KMITA: Prawi Polacy cierpieć niezdolni tyrana.

TARNOWSKI:

Czyjeż łzy, czyja rozpacz, czyjej krwi strumienie  
 Świadczą Augusta zbrodnie i ludu cierpienie?

KMITA:

Król chce ujarzmić naród.

TARNOWSKI: Król go chce ocalić.

KMITA:

My swobód naszych bronim.

TARNOWSKI:

Wy rząd chcecie zwalić.

KMITA: Mężni, co samowolność króla gromią śmieje,  
Wszyscyż są zdrajcy kraju, rządu burzyciele!?

TARNOWSKI:

Nie wszyscy; część ich, ślepa na hersztów bezprawia,  
Ciągnie Polskę do zguby, myśląc, że ją zbawia.  
Lecz wiem, kto te ofiary błędu i prostoty  
Oszukuje, podburza, łudzi, straszy...

KMITA:

Kto?

TARNOWSKI:

Ty!

Ty, zamieszek w narodzie podżegacz ustawny,  
Słabością rządu silny, z nieszczęść naszych sławny,  
Ty, którego chciwości, zuchwalstwu i dumie  
Sam tron...

KMITA: Stój! Kmita obelg przebaczać nie umie!  
Znaj, że, mnie uwłaczając, uwłaczasz sam sobie:  
We wszystkim albow wyższy, albo równy tobie.  
Cóż daje Tarnowskiemu nad Kmitą pierwszeństwo?  
Czy sława, czy zasługa, ród, czy dostojęństwo?  
Oręż nas obu słynał w kraju i za krajem;  
Tyś zwyciężał nad Tagiem, a ja nad Dunajem;  
Tyś nieprzyjaciół państwa zniósł pod Obertynem, —  
Jam w pięciu z nimi bitwach okrył się wawrzynem;  
Jam Spisz ocalił, Węgrów rozruchy uśmierzył,  
Jam przez sojusze kraju potęgę rozszerzył,  
Zawszem go dzielnie bronił i wiernie mu radził.

TARNOWSKI:

I Gliński wprzód mu służył, niżeli go zdradził.

KMITA:

Co? Nowego Glińskiego śmiesz ty widzieć w Kmicie?

TARNOWSKI:

Nie! Nie! Ty nie stanąłeś na tym zbrodni szczycie!  
Kmito, w liczbie obrzydłych zdrajców cię nie mieszczę,  
Byłeś obrońcą kraju, możesz nim być jeszcze.

Wszystkie świetne przymioty niebios ci dały:  
 Serce odważne, umysł wyniosły i stały;  
 Czemuż do nich nie łączysz cnót obywatela?  
 Masz krewnego w Tarnowskim, miałbyś przyjaciela,  
 Naródby w tobie czystą uwieńczył gorliwość.  
 Lecz ta chęć przodkowania, ta dostatków chciwość...

KMITA:

Do nich wiedzie pochlebstwo, nie szlachetna śmiałość.

TARNOWSKI:

W krajach innych pochlebstwo, a w naszym zuchwałość..  
 Przez nią w Polsce, od wnuków rozrodzonych Piasta,  
 Na gruzach władzy rządu władza możnych wzrasta.  
 Ich przewrotność kolejną to straszy, to mamą  
 Tron — podburzaniem gminu, gmin — tronu łaskami..  
 Po każdej nawałości, co berłem zachwieje,  
 Szczególnych siła rośnie, powszechna słabieje.  
 Te zepsutych naddziadów nieszczęsne nauki  
 Na wyścigi przejmują gorsze od nich wnuki.  
 Ich torem idziesz, Kmito! Wódz burzliwych duchów..  
 Sam sprawcą jesteś ciągłych w narodzie rozruchów.  
 Tyś, jęcząc na Zygmunta piotrkowskie obrady,  
 Pierwszy królewskiej władzy podkopał zasady;  
 Tyś później, przeciw niemu sprzysiągłszy się z Boną,  
 Podburzył pode Lwowem szlachtę uzbrojoną.  
 Naród stracił Wołochy na obrony zwłoce,  
 A ty zasianych niezgód zebrałeś owoce:  
 Obsypani darami buntu naczelnicy,  
 Tobie się wielkorządztwo dostało stolicy.  
 Dzisiaj nowych rokoszów jakie masz powody?  
 Miłość — mówisz — Ojczyzny, ustaw i swobody!  
 Czyż myślisz, że to zgubi, lub zbawi koronę,  
 Jeśli August odrzuci, lub zatrzyma żonę?  
 Nie rozvodu twój umysł żąda niespokojny:  
 Z niewzmocnionym na tronie królem pragniesz wojny..

Słabość jego łask nowych źródłem ci się stanie,  
A opór korzystniejsze wroży zamieszanie.  
Tak więc Polskę wystawiasz na najsroższe ciosy,  
Całość i samowładztwo jej spuszczasz na losy,  
A sam obracasz tylko wzrok nienasycony  
Na zlane krwią i łzami bezkrólewia plony.  
Lecz się nie ciesz: nad Polską czuwa Bóg potężny,  
Ocali On ten naród szlachetny i mężny!  
Pokąd miłej Polakom krwi potomek żyje,  
Pokąd jeszcze to serce dla Ojczyzny bije,  
Pokąd zdolną jest władać żelazem ta ręka,  
Niechaj o swoje losy Polska się nie lęka!  
Niech ufają cnotliwi, niechaj drżą zbrodniarze!

KMITA:

Stały w czystych zamiarach, wyższy nad potwarze,  
Śpieszę...

## SCENA II.

AUGUST, TARNOWSKI, KMITA.

AUGUST: (*do Kmity*)

Czekaj! Już zbrodni przepełniłeś miarę,  
Czas, abyś odniósł, zdrajco, zasłużoną karę!  
Niedość, że, chcąc tron zachwiać, składasz nocne schadzki,  
Jeszcze ostrzysz w ciemnościach sztylet świętokradzki.  
Bierz, czytaj i drzyj!

KMITA: (*czyta*) „Królu, spisków przeciw tobie  
„Byłem spółnikiem — oczy otwieram przy zgonie,  
„Nie chcę krwawych tajemnic zamknąć z sobą w grobie:  
„Zbójczy sztylet gotuje Kmita twojej żonie.  
„Wczesną karą złoczyńcy odwróc cios zdradziecki.  
„Ostrzega cię Jan Strzembosz, poseł mazowiecki“...  
Znam sprawcę tej chytryści! Przyplaci jej drogo!



Lecz sam, chcąc się oczyścić, nie skarżę nikogo,  
 Prócz ciebie, królu, któryś w żalu łatwo zbłądził.  
 Któżby Kmitę o zdradę nikczemną posądził?  
 Sztylet, albo trucizna jest broń dusz niemężnych,  
 Nikczemnych niewolników, kobiet niedoleźnych...  
 Mnież przystoją te środki skryte i hańbiące,  
 Mnie, który dziś uzbroić mogę rąk tysiące?...  
 Augustcie, tyś do zemsty nie dał mi powodu;  
 Krew Barbary się łączy z krwią mojego rodu —  
 Czczę was! Ale, jak Polak, śmiem potępiać śluby,  
 W których przeglądałam źródło pewnej kraju zguby.  
 Nie w nocy, nie w zakęcie, nie w mgle tajemnicy,  
 Lecz jawnie w sali obrad, w obliczu stolicy,  
 Obwieściłem ci wyrok stanów niecofniony,  
 Że się musisz Barbary zrzec, albo korony.  
 Tyś dowiódł, czyniąc wybór, żeś o naród nie stał,  
 Ja ci przychodzę donieść, żeś królem być przestał.  
 Jeśli mieczem odzyskać chcesz prawa stracone,  
 Wiedz, że mi naród swoich porучzył obronę.  
 Z chęcią jeszcze uzbroję za wolność Ojczyzny  
 To czoło, za jej całość już okryte blizny.  
 Masz czas. Odpowiedź, w pierwszym wydaniu zapędzie.  
 Cofnij... lecz śpiesz się! Wkrótce za późno już będzie. !  
 (odchodzi)

### SCENA III.

AUGUST, TARNOWSKI.

AUGUST:

Co? Ten zbrodzień! Ten zdrajca! Przed króla oczyma  
 Ważył się... Bieź, Tarnowski! Niech straż go zatrzyma!  
 Niech wtrąci do więzienia, obarczy żelazy,  
 Niech w jednej chwili...

TARNOWSKI: Królu, spełnię twe rozkazy,  
Lecz pomnij, że to Polak, że bez przekonania...  
Że prawo...

AUGUST: Jakież prawo złoczyńców ochrania?  
Sztylet, przebóg, dotyka już Barbary serca,  
W mych rękach dowód zbrodni, w mym zamku morderca,  
A ja, król niedołężny, ja, sędzia bezwładny,  
Mam czekać, aż on spełni swój zamiar szkaradny?

TARNOWSKI:  
Daruj, lecz, jeśli moje mam ci odkryć zdanie,  
Oskarżeniu zmarłego nie śmiem wierzyć, panie!  
Polak, senator, żołnierz laurami okryty,  
Chciałaby podłą zbrodnią plamić swe zaszczyty?  
Tak hardy, tak zuchwały, byłby raczej zdolnym...

AUGUST:  
Dosyć! Szanuję prawo. Niechaj będzie wolnym!

## SCENA IV.

AUGUST, TARNOWSKI, DOWÓDCA STRAŻY.

DOWÓDCA STRAŻY:

Królu! Już podniesiony sztandar buntowniczy.  
Zuchwałym tłumom dumny Kmita przewodniczy,  
Zborowski i Tęczyński rozkazują pod nim.  
Obóz na brzegu Wisły roztoczony zachodnim,  
Prawem skrzydłem o mury miasta się opiera;  
W hufcach szlachta gromadna z powiatów się zbiera,  
Służalców zgrywa w zbrojnych mienią się rycerzy;  
Wszystko tchnie wojną, wszędzie duch buntu się szerzy.  
Broń chwytają wątpliwi stolicy mieszkańcy,  
Ruch się wzmacnia, tysiącem rąk wznoszą się sztańce;  
Krzemionka grozi miastu, najeżona działa.

AUGUST:

Wasze męstwo rozgromi ten motłoch zuchwały.

DOWÓDCA STRAŻY:

Tymczasem Bona, w podróż do Włoch już gotowa,  
Z dworem, z skarbami mury opuszcza Krakowa.

(DOWÓDCA *na znak króla wychodzi*)

AUGUST:

Idź, rozporządź, Tarnowski, jak stan rzeczy każe!  
Zamkowy żołnierz miejskie niech zastąpi strażę,  
Niech zwiodą mosty, Kraków niech będzie zawarty,  
Poobsadzone szanice, podwojone warty!  
Litewskiemu dowódcy niech ogłosi działło,  
Żeby się wojsko jego ku miastu zbliżało.  
Zaraz obóz koronny niech namioty zwinie  
I niech czeka pod bronią; ujrzy mię w godzinie.  
Śpiesz i wracaj!

(TARNOWSKI *wychodzi*)

## SCENA V.

AUGUST, BONA.

AUGUST: Prawdaż to, że polska królowa,

Króla polskiego matka i Zygmunta wdowa,  
Niespodzianym odjazdem Ojczyznę zasmuca,  
Że córki, wnuka, syna, grób męża porzuca,  
I, w zakłócone wojną puszczając się kraje,  
W jawne niebezpieczeństwo sama się podaje?

BONA:

Niebezpieczeństwo dla mnie? Jakiegoż się boję,  
Ja, która pragnę umrzeć, patrząc na twoje?  
To stokroć, jak dziś widzę, straszniejszem się stało,  
Niżeli drżące matki serce przeczuwało!  
Znałam, że Kmita możny, zręczny i zuchwały,

Lecz, żeby w rokosz wciągnął naród prawie cały,  
Żeby na obalenie tronu czynił zamach,  
Królowi stawić pole śmiał w stolicy bramach,  
Zgromadził tylu wodzów, tak biegłych, tak mężnych,  
I w dniu jednym na czele stanął wojsk potężnych —  
Temu zaledwie oczy moje wierzyć śmieją.

AUGUST:

Jedna bitwa...

BONA: Ach, płonną nie ciesz się nadzieją!  
Jedna bitwa odejmie ci środki do nowej,  
Ale dziesięć nie zgniecie tej hydry stugłowej.  
Niebaczny! Własnej tylko ty ufasz odwadze,  
Oni...

AUGUST:

Radzisz więc ulec?

BONA:

Nie! Wojować radzę!

Król, który raz ulegnie dumie zbuntowanych,  
Na zawsze niewolnikiem jest swoich poddanych.  
Trzeba mnie było słuchać przed daniem wyroku;  
Dziś nie czas go przemieniać, nie czas cofać kroku.  
Musisz walczyć i musisz... zostać zwyciężony!  
Niema środka do zgody ani do obrony;  
Gdyby był jaki, gdybym go w mych ręku miała,  
Czyżbym, matka, w rozpacz syna opuszczała?

*(słysząc trzykrotny odgłos działa)*

Lecz kto wie? Może dawnej więźności ostatki  
Ten raz dzielnym uczynią za synem głos matki.  
Może bez twojej hańby rada moja skłoni  
Naczelników rokoszu do złożenia broni.  
Nie wdam się ja od ciebie w żadne przyrzeczenie,  
Lecz... jeśli chcesz, dam poznać, zręcznie im nadmienię  
Że powolność, czas, matka...

AUGUST:

Nic mnie nie zachwieje!

Byłoby to ich zdradzać, czynić im nadzieje!

BONA:

Los więc twój spełnij, ustąp dla miłości z tronu!  
Czegoż masz czekać? Synu, nie zbliżaj mi zgonu  
I cierpiącej, czy z losu, czy z twoich pomyłek,  
Pozwól skończyć w ustroniu smutny życia schyłek.

AUGUST:

Błagam cię, matko, jeszcze zatrzymaj się chwilę,  
Może tę szalę mieczem za sobą przechylę!

BONA: Zatrzymam się, dopokąd nadzieja zostanie,  
Że ci pomocne matki być może staranie.  
Jeśli nie — wiesz mój zamysł — i jestem w nim stała:  
Na poniżenie syna nie będę patrzała!  
(*odchodzi*)

AUGUST:

Skąd te wróżby? Ten odjazd? Jakież sidła nowe?  
Jej chytrność...

## SCENA VI.

AUGUST, TARNOWSKI.

TARNOWSKI: Królu, wszystko do boju gotowe!  
Oba wojska ochocze: Korony i Litwy,  
Czekają tylko ciebie i hasła do bitwy.

AUGUST:

Idźmy więc, idźmy skarcić tę zgrają nikczemną!  
Nie wątpię o zwycięstwie, gdy Tarnowski ze mną.

TARNOWSKI:

Pójdę, panie, z ochotą na najsrozsze boje;  
Polsce i tobiem winien krew i życie moje.  
Możeż się wahać żołnierz, kiedy król na czele?  
Lecz daruj, że cię wprzód pytać się ośmielę,  
Czy w tej chwili, gdy wznosisz miecz przeciw ludowi,  
Nic twoje serce, królu, do ciebie nie mówi?

Twe przodki przysięgały prawom być wiernymi!  
Tyś mi przysiągł, że będziesz ojcem polskiej ziemi!  
Gdybyś jednak jej nie mógł szczęśliwą uczynić,  
Żałowałbym cię tylko, nie śmiałbym cię winić;  
Ale ty dziś jej nieszczęść sam sprawcą się stajesz,  
Wojny króla z narodem przykład pierwszy dajesz.  
W czasie, gdy z dwiema ścianami do boju przychodzi,  
Kraj ogałacasz z kwiatu najpiękniejszej młodzi,  
Wyniszczasz go, zniechęcasz, pustoszysz, rozdzierasz,  
Zakrwawiasz bronią własną i obcej otwierasz.

Nie przeczę, iż do wojny słuszne masz powody,  
Lecz przez nią czy swych dojdiesz celów, rozważ wprzód y.  
Uczyniż cię przelana krew twoich rodaków  
Milszym w oczach Barbary i w oczach Polaków?  
Twój krótki tryumf niechęć tylko ludu wzbudzi,  
Rozjątrzy obojętnych, stronników ostudzi.  
Z krwi stu poległych tysiąc powstanie mścicieli,  
Twoja najmniejsza klęska spiskowych ośmieli,  
Każdy krok wojny drogę do zgody zagrodzi,  
Każda bitwa potrzebę nowej bitwy zrodzi.  
Wreszcie, po długim, krwawym i niesławnym boju,  
Kto wie, jakim się kosztem dokupisz pokój?  
Tron twój i z Polską może obalon zostanie,  
Może ci go zwycięscy wydrą rokoszanie,  
Może nakoniec z blasku, z potęgi odarty,  
Krwia poddanych zbaczony i na mieczu wsparty  
Zatrzymasz... Ach, czyż będziesz naówczas szczęśliwy  
Nie zatrujeż dni twoich jad zgryzoty mściwy?  
Ach, królu, gasnącemu starca oszczędź oku  
Tylu klęsk, tylu zbrodni, tylu łez widoku.  
Nie przymuszaj, bym, tracąc chlubę moją w tob  
Żałował, że nie poległ z ojcem twoim w grobiei.,.  
To życie, które było świadkiem polskiej chwały? e  
Które pół wieku losy bojów szanowały,

Pozwól, niech w chwalebniejszej zakończę potrzebie,  
 I, broniąc Polski, niechaj niem zasłonię ciebie!  
 A jeśli od tej wojny nic nas nie uchroni,  
 Wstrzymaj przynajmniej zapęd bratobójczej broni!  
 O dzień jeden cię błagam! Dzień ten może przetnie  
 Długie żale i klęski kilkonastoletnie.

AUGUST:

Co? Mam czekać, aż wzmocnią siły buntownicy,  
 Natrą na mnie i mury wyłamią stolicy?  
 Aż ten ogień, dziś w szczupłym tlejący obwodzie,  
 Wybuchnie i po całym zajmie się narodzie?  
 Nie! Tu działać potrzeba i działać z pośpiechem;  
 Namysł nieroztropnością, a zwłoka jest grzechem!  
 Świadczę się wami, nieba, że z równym zapalem  
 Kocham i teraz Polskę, jak zawsze kochałem,  
 Ale z boleścią serca jestem przymuszony  
 Wziąć oręż dla najświętszych praw moich obrony.  
 Niech wiarołomców ściga gniew Boga surowy!  
 Niech pomsta krwi niewinnej spadnie na ich głowy!  
 Idę z ufnością... O Ty, co niewinnych wspierasz,  
 Wesprzyj!

## SCENA VII.

AUGUST, BARBARA, IZABELA, TARNOWSKI.

BARBARA: (*wpadając nagle*)

Z rąk przyjaciela dokąd się wydzierasz?

Co czynisz? Lecisz z mieczem na twoich rodaków  
 I Polaków prowadzisz na miecze Polaków?  
 Lecisz ich tym, coś bronił, zabijać orężem.  
 Ty, co jesteś ich ojcem i Barbary mężem?  
 Dlategoż to się rzucasz w tę przepaść szalony,  
 Byś nie postradał twojej nieszczęśliwej żony?



Ze mnie więc klęsk tych źródło, z mojej to przyczyny  
Toczą bój bracia z braćmi i z ojcami syny!  
A ja mam żyć?... Niestety! Na toż będę żyła,  
Żebym matek w rozpacz wyrzuty zносиła,  
Oglądała ich syny, poległe z twej ręki,  
Słyszała całej Polski przekleństwa i jęki?  
Ach, czemum nie przejrzała, ślubując ci wiare,  
Jakim kosztem zatrzymać zechcesz twą Barbarę,  
W jakie cię zbrodnie miłość wprowadzi zaciekle!  
Miłości, szczęścia, ciebie byłabym się zrzekła,  
Lub mą śmiercią zbrodnicze odwróciła boje!...  
Lecz nie minął czas jeszcze: oto piersi moje!  
Utop w nie wszystkie miecze, te miecze krwi chciwe,  
Które niesie na braci twoje ramię mściwe;  
W krwi mojej ugaś miłość tę zapamiętała,  
Dla której gardzisz cnotą, Ojczyzną i chwałą,  
Albo rzucę się sama na walczących groty,  
Oszczędzić zbrodni tobie i sobie sromoty!  
Chcę, chcę umrzeć... tę jedną zostawiasz mi drogę.  
Chcę umrzeć, bo żyć więcej dla ciebie nie mogę!  
Jazbym śmiała przyciskać do mojego łona  
Rękę, któraby polską krwią była zbuczona?  
Nie! Nie! Ile cię czciłam, tyle nienawidzę!  
Kochałam ojca ludu, tyranem się brzydzę.

Lecz jeszcześ nie zasłużył na imię tyrana,  
Jeszcze twa ręka nie jest krwią ziomeków zbryzgana,  
Jeszcze odwrócić możesz od nich miecz twój srogi.

*(rzucając się na kolana)*

O mój królu! Mój mężu! Mój kochanku drogi!  
Jeśli ci miłe jeszcze te święte imiona,  
Jeśli ci miła cnota, Ojczyzna i żona...

AUGUST:

Ach, i tyż przeciw sobie przychodzisz mnie błagać?  
Ty sama mię potępiasz, coś miała wspomagać?

Gdy wszystko się sprzysięgło dręczyć moją duszę,  
 Gdy z losem, z ludźmi, z własnem sercem walczyć muszę,  
 Gdy ciężarowi nieszczęść nie mogę wystarczyć —  
 Ty jeszcze mnie pogardą swoją chcesz obarczyć?  
 Mów, cóż mam czynić w tylu przeciwnieństw odmieć?  
 Jakież jest godne ciebie i mnie przedsięwzięcie?  
 Jak zgodzić miłość Polski z Barbary miłością?  
 Powinność ojca ludu z męża powinnością?  
 Rzucę broń, wskaż mi tylko środek chwalebniejszy,  
 Lecz nic mojej ku tobie miłości nie zmniejsz! —  
 W tej chwili, gdy ją gromisz, jeszcze ją pomnażasz,  
 Gdy błagasz mię za ludem, cześć ku sobie wrażasz,  
 Gdy swemi łyzy hamujesz mnie w zapędzie mściwym,  
 Uczysz, że bez ciebiebym przestał być cnotliwym.  
 O, ty, płci swojej chwało! Władczynio mej duszy,  
 Źródło i moich pociech, i moich katuszy!  
 Ty nie czujesz, nie mogąc nic porównać z sobą,  
 Jak to wiele kosztuje rozłączyć się z tobą...  
 Mieczem święte do ciebie utrzymałbym prawa,  
 Lecz ty mi bronisz — broni Ojczyzna i sława.  
 Wśród przeciwności tylu jakąż wezmę drogę?  
 Nie mogę ich zwyciężyć, ale umrzeć mogę.  
 Z odwagą, jak król, mego dokonam zawodu  
 I nie zdradzę przynajmniej żony i narodu.

TARNOWSKI:

Zdradzisz oboje, panie!... Cóżto za odwaga  
 Opuszczać ster okrętu, gdy burza się wzmaga?  
 Przebóg! W twej duszy jeszcze żyje miłość cnoty,  
 Twoja sława nie zna skazy, twoje serce zgryzoty;  
 Dwa wojska są ci wierne, przyjaźń chce cię wspierać,  
 Barbara ciebie kocha, — a ty chcesz umierać?  
 Umysł twój, przeciwnieństwa zawsze rozjątrzany,  
 Tysiąc gwałtownych środków chwyta naprzemiennie,  
 Jakie ci miłość, zemsta, lub rozpacz podaje —

A ty sądzisz, że żaden już ci nie ostaje?  
Mylisz się! Jeszcze możesz zmienić srogość losu;  
Wśród namietności wrzących słuchaj starca głosu,  
Co je stygnące czując w sercu zatwardziałem,  
Ojczyznę kocha tylko i ciebie z zapalem.

Świadek wypadków, twoje mnożących cierpienia,  
Znam ja całą okropność twego położenia:  
Zaczniesz bój, zstąpisz z tronu, czy zrzeczesz się żony,  
Zawsze i może słusznie będziesz obwiniony.  
Postąp więc i roztropnie i razem wspaniale:  
Nie mogąc wybrać dobrze, nie wybieraj wcale.  
Sejm trwa, jemu to zostaw: niechaj większość głosów  
Wątpliwą szalę twoich ustanowi losów.

AUGUST:

Co? Ja mam się poddawać pod sąd rokoszanów?  
Ja — ich król, ja — ich sędzia, syn i wnuk ich panów?  
Któżby z moich poddanych w podobnej kolei  
Pod mój sąd...

BARBARA: Zrzekasz się więc ostatniej nadziei?

AUGUST: Tyż sama szczęście nasze narazić pozwolisz  
Na los niepewny?

BARBARA: Tyż je stracić zaraz wolisz?

IZABELA: Ach, nie odrzucaj rady przyjaciela świętej,  
Od przebłaganych niebios pewnie mu natchniętej.  
Nie sądź z kilku rokoszan o narodzie całym:  
Polak jest sprawiedliwym, szlachetnym, wspaniałym.

## SCENA VIII.

AUGUST, BARBARA, IZABELA, TARNOWSKI,  
BORATYŃSKI.

BORATYŃSKI:

Królu! Gdy wiarołomni rokoszu hersztowie  
Świętokradzkim orężem grożą państwa głowie,

Gdy odgłos dział, ruch wojska zapowiada boje,  
Sejm, tobie wierny, czeka na rozkazy twoje!  
Wśród burzliwego niezgód krajowych odmetu  
Królowi poruczają prawa ster okrętu.

Dziś więc, panie, do niego wzywamy cię sami:  
Czuwaj nad losem Polski i rozrządzaj nami!

A jakośmy gorliwi w prawodawczej sali  
Przeciw tobie przy prawach ludu obstawali,  
Tak odważnie wśród bojów poniesiemy głowy  
Za ciebie, za twe prawa, za pokój krajowy.

AUGUST: O ty, prawych Polaków synu nieodrodny,  
Jakżeś ufności króla i narodu godny!

Okrywszy Polskę chwałą wśród wojennych szyków,  
Stajesz się dzisiaj polskich wzorem urzędników!

Bądź nim długo, lecz oręż zostaw męstwu synów,  
Sam odetchnij pod cieniem zdobytych wawrzynów!

Poruczywszy królowi staranie o wojnie,  
Wróćcie obrady wasze odbywać spokojnie.

Skoro mi dochowuje sejm i naród wiary,  
Mniej ważę lekkomyślnych zuchwalców sztandary.

Praw świętość, wodzów dzielność i wojsk moich męstwo

Łatwe mi zaręczają nad tłumem zwycięstwo,

Lecz chcę dać, osobistej niepomny zniewagi,

Mnie pole przebaczenia, im czas do rozwagi,

Lub zostawić tę hańbę przy rokoszan stronie,

Że pierwsi zwrócą na nas bratobójcze dłonie.

Chcę więcej, chcę im odjąć nawet cień powodu,

Którym bunt pragną w oczach uprawniać narodu.

Ulegając mocniejszym, okazałbym trwogę,

Lecz śmiało względem słabszych wspaniałym być mogę.

Na niepewność narazić wolę szczęście moje,

Niż kraj na zamieszanie, bezrząd i rozboje.

Ty, coś głos do mnie wznosił, oznajm stanom państwa,  
Że król, któremu wyrzut czyniono tyraństwa,

Swą sprawę, co się źródłem tylu niezgód staje,  
Dobrowolnie pod sejmu wyroki poddaje.  
Osądźcie, czy mężowi żony rzec się godzi,  
Czy wiarołomstwo króla szczęście ludu zrodzi.  
Wiem ja, że, jak opiekun, jak mążbym zawinił,  
Gdybym z jej praw ofiarę bez jej woli czynił,  
Lecz sama cnocie waszej porucza się śmiało,  
Zrzeka się szczęścia, które kosztowaćby miało  
Jedną łzę braci, jedną kroplę krwi rodaków.  
Barbara woli serca, niżli tron Polaków...  
Idź więc, zgromadź hetmany, senatory, posły,  
Te nawet, co na króla broń w zapędzie wzniosły;  
Niech stanie zdań większością niezmienna ustawa,  
Od której los mój zawisł i Polaków sława.  
Mniemam, że prawodawcy, zaufania godni,  
Nie mogą ni uprawnić, ni nakazać zbrodni.

---

## AKT PIĄTY.

### SCENA I.

BARBARA: (*sama*)

Wraca наконец pokój; buntu naczelnicy  
 Składają miecz przed królem w obliczu stolicy.  
 Polsko, już więc nie będzie szarpać twego łona  
 Broń świętokradzka, z mojej przyczyny wzniesiona.  
 Mężu, już nie narazisz na oręż domowy  
 Twych ziomków, twego tronu i twej drogiej głowy.  
 O Auguście! Ojczyzno! O wy, bóstwa moje!  
 Nic już wam nie zagraża!... Czegóż się więc boję?  
 Drzę jednak, mimowolny smutek mię uciska,  
 Okropne przerażają duszę widowiska;  
 W ciemną przyszłości otchłań zapuszczam się z trwogą,  
 Serce nadziei, oczy snu przyjąć nie mogą;  
 Czuję niezbędnych tęsknot jad rozlany we mnie  
 I łez pocieszających wzywam nadaremnie.  
 Ach, nigdy mniej odwagi nie miałam i siły,  
 Tak czarne mnie przeczucia nigdy nie dręczyły!...  
 Przebóg! Ta niespokojność przestrogażby była,  
 Jaką bóstwo śmiertelnym przed nieszczęściem zsyla?

Noc w połowie, okryła ciemność niebo grzmiące,  
 Czuwa stolica, światel błyskają tysiące,  
 Tłumy ludu obległy prawodawczą salę,

Sejm trwa i trzyma w rękę losów moich szalę.  
Wszyscy zajęci zapaść mającym wyrokiem,  
Oczekują na niego w milczeniu głębokiem;  
Wnet on, jak piorun, przerwie tę okropną ciszę!  
*(słyszając nadchodzącą osobę)*  
O nieba!... Już... już... wypadł!... Już grom jego słyszę!

## SCENA II.

BARBARA, AUGUST.

BARBARA: Tyżeś-to? Ty męczarni litujesz się mojej?  
Ty wracasz do Barbary, już może nie twojej?  
Milczysz!... Los nasz okropny dotądże się chwieje?  
Ach, mój mężu! Mój ojczu! Jeszczeż masz nadzieję?

AUGUST:

Ja miałem ją! Wierzyłem, wciągnion rady twemi,  
Że jest cnota, jest prawda, jest wiara na ziemi.  
Ufałem w sądu słusność, w sprawy naszej świętość,  
Ufałem ślepo w przyjaźń, gorliwość i wziętość  
Tych, co, dobrodziejstwami obsypani tronu,  
Przysięgali mi wierność i wdzięczność do zgonu.  
Sądziłem, że zbliżonych do nas łącniej wzruszy  
Nasz los, moja łaskawość, szlachetność twej duszy.  
Jednak... senat królowi swemu złamał wiarę,  
Senat mi zdań większością śmiał wydrzeć Barbarę!  
Łatwowierny, zdradziectwa ich padam ofiarą!  
Widzę łyzy, które błędu mojego są karą.  
Mogęż mieć ufność w posłach, od ludu wybranych,  
Nie znających Barbary, mnie zaledwo znanych?  
Tarnowski, Boratyński, te u nich półbogi,  
Pewnie grób sami kopią pod naszemi nogi:  
Któż był spiskowych posłem? Kto herszta ich bronił?  
Kto dał morderczą radę? Kto mnie do niej skłonił?



Jakże ten łańcuch sideł mego uszedł oka,  
W który mnie zawikłała chytróść ich głęboka!

Ale bez ciebie, cóżby była dokazała  
Ich zřecznořć, ich wymowa i przewaga cała?  
Oparłem się, miecz wziąłem w najświętszej potrzebie...  
Już byłbym lub żył z tobą, lub zginął za ciebie!  
Jakże byłem szczęśliwy! Jedno twoje słowo  
Pograżyło mię w przepaść nieszczęścia na nowo!  
Tak, tyś przeciw mężowi do spisku wpływała,  
Wiarołomna! Tyś sama pozbyć się mnie chciała!  
Ty mi broń wytrąciłaś, ty radę ich wsparłaś!  
Ty mnie zdradziłaś, ty mi z ręku się wydarłaś!  
Ty okrutna! Niewdzięczna!

BARBARA: Ach, mężu kochany!  
Jeszczeż własną chcesz ręką twe rozdzierać rany!  
Mnie śmiesz wyrzucać zdradę? Mnie samej? O Boże!  
Takto używasz chwili już ostatniej może?  
Skarz mnie wreszcie, — przebaczę miłości ślepotę —  
Lecz szanuj, królu, naszych bohaterów cnotę!  
Cierpmy, gińmy i, ginąc z wyroku rodaków,  
Nieśmy do grobu miłość Polski i Polaków!

### SCENA III.

AUGUST, BARBARA, IZABELA, POSEŁ SEJMOWY.

POSEŁ: Królowo! Królu! Sławę sejm utrzymał swoje!  
Spełnione szczęście wasze, narodu i moje!  
Te łzy radości, z oczu moich się cisnące,  
Dziela ze mną w tej chwili Polaków tysiące.  
Słyszycie? Oto tłumy ludu ślą w niebiosy  
Błogosławieństwa dla was wzywające głosy!

BARBARA: O rodacy! O mężu! O siostró kochana!

AUGUST:

Ach, czyjemże jest dziełem tak szczęśliwa zmiana?

IZABELA:

Poznaj Boratyńskiego! Poznaj naród, bracie!

*(do Posła)*

Opowiedz!

POSEŁ: Skoro wyrok nastąpił w senacie,  
A głosować mających posłów izba cała  
W twarz swego naczelnika oczy wryte miała,  
„Bracia! — rzekł — Kiedym z woli waszej i senatu  
Wznosił imieniem Polski głos do majestatu,  
I sam, oddając winny hołd cnotom Barbary,  
Najcięższej od Augusta wymagał ofiary,  
Czyniłem to, bom wierzył, że większości wola  
Tego poświęcenia się żądała od króla;  
Bom wiedział, że ten środek zniszczyłby zarody  
Niebezpiecznej poddanych z monarchą niezgody.  
Lecz, gdym dostrzegł, że ustaw mniemani czciciele  
Kryją cnoty pozorem własnej dumy cele,  
Gdy mam dowód, że Bona nas i nasze kraje  
Domowi rakuskiemu wiecznie zaprzeda, —  
Gdy wiem, że naczelnicy tej burzliwej strony  
Są zwolenniki Wiednia, są narzędzia Bony,  
Gdy w swych działaniach, równie podli, jak zuchwali,  
Gróźb, chytrości, przemocy, złota używali,  
Gdy nakoniec — o wieczna czasów naszych skazo! —  
Polacy na Polaków podnieśli żelazo,  
A król, mogąc poskromić bronią broń ich śmiałą,  
Przeciw niej ufność sejmu zastawił wspaniałą, —  
Tę ważną sprawę, bracia, innem okiem widzę;  
Jeślim wprzód błdził, błędu wyznać się nie wstydzę.  
Na posługach Ojczyzny żołnierz osiwiął,  
Dobra jej szukam tylko, a nie próżnej chwały.  
Nie wątpię, że ci naszej ufności niegodni,

Którzy chcą w prawodawcach mieć spółników zbrodni—  
 I mniemam, że te związki królowi przystoją,  
 Których niechętni Polsce najwięcej się boją.  
 Za ich więc potwierdzeniem jawnie głos mój daję“.  
 Skończył, wtem okrzyk zgody ze wszech stron powstaje,  
 Senat cofa swój wyrok i stany złączone  
 U nóg żony Augusta składają koronę.

## SCENA IV.

AUGUST, BARBARA, IZABELA, TARNOWSKI,  
 BORATYŃSKI.

AUGUST: O wy, ojce Ojczyzny! Króla przyjaciele!  
 Wdzięczności spółżyjących, czci potomnych cele,  
 Przybliżcie się! — Twoje to, Tarnowski, staranie!

TARNOWSKI:

Cnocie Boratyńskiego wszystkoś winien, panie!

AUGUST: August pomiędzy wami różnicy nie kładzie;  
 Jego obywatelstwu, twojej mądrej radzie,  
 Przez was obu natchniętej Izby wyrokowi  
 Kraj winien pokój, powrót do cnoty spiskowi,  
 Szczęście całego życia wasz król i królowa.

BARBARA:

Ach, jakież to, co czuję, wydać mogą słowa?  
 Te lzy radości, które w mych oczach widzicie,  
 Świadczą, żem stokroć więcej winna wam nad życie.  
 Wam już więc, wam, ziomkowie, dni moje poświęcę  
 I temu... w którego mię oddajecie ręce.  
 Nie zapomnę, okryta godnością tak wielką,  
 Żem się rodziła waszą współobywatelką.  
 Wdzięczność wam, których przyjaźń, gorliwość tak czynna..

BORATYŃSKI:

Królowo, tyś nam żadnej wdzięczności nie winna!

Sam wzgląd na Polskę naszym powodował zdaniem,  
I nadgrodzieni tylko jej szczęściem zostaniem.  
Pomnij, że dla naszego zgotujesz imienia  
Błogosławieństwa ludów — albo złorzeczenia.  
Ojców Ojczyźnie wierną bądź do dni ostatka!  
Kochałaś ją, jak córka, kochaj dziś, jak matka.  
Oby mi dozwoliła dui schyłonych jesień  
Być świadkiem rządu twoje wielbiących uniesień.

TARNOWSKI:

Królu, Kmita ci złożyć chciał hołd z nami razem,  
Lecz czeka, byś go swoim ośmielił rozkazem.

AUGUST: *(do Tarnowskiego)*

Dzień, który spełnił serca mego nadzieję,  
Niech pomyślność i szczęście na wszystkich rozleje;  
Niech występni na wstydzie kończą ukaranie!  
Kmita chce ze mną mówić? Pozwalam, niech stanie!

BARBARA: *(na boku)*

Przebóg! Na łonie szczęścia — ja szczęścia nie czuję,  
Okrutna tęskność całą słodycz jego truje!  
Cóż to jest? Skąd to drżenie, te bole, te mdłości?  
Jakiż pożerczy ogień pali me wnętrześci?

(BARBARA z IZABELĄ odchodzi)

## SCENA V.

AUGUST, KMITA I INNI.

AUGUST: *(do Kmity)*

Kmito, gdyś, broń składając, żal mi swój tłumaczył,  
I spółnikom rokoszu, i tobiem przebaczył;  
Lecz w chwili, co mię łączy z serca mego celem,  
Chcę więcej: chcę, byś odtąd był mym przyjacielem.  
Jeśliś ty zażegł buntu przeciw mnie pochodnię,  
Jam niesłusznie o podłą posądził cię zbrodnię.

Wzajemnych uraz naszych zapomnijmy wzajem,  
Król z tobą, i ty zawsze bądź z królem i krajem!

KMITA: Nie lękałem się twego przewagi oręża,  
Królu, ale wspaniałość twoja mnie zwycięża.  
Kiedy sejm, naród, prawo mieliśmy za sobą,  
Nie było może, panie, zbrodnią walczyć z tobą;  
Lecz dziś, gdy twój stwierdziła ślub Rzeczpospolita,  
Związek nasz jest rokoszem, buntownikiem Kmita.  
Znam to; jednak nas, królu, nie sądzi zbyt surowie:  
Z krwią nam miłość swobody przelali przodkowie.  
Co do mnie, nie myśl, panie, bym upornie sądził,  
Żem czynił, com był winien, żem w niczem nie zbłądził.  
Wierzyłem — i ta jedna moja była wina —  
Że matka zawsze szczerze pragnie szczęścia syna.

AUGUST:

Jej odjazd już usunął burz dalszych powody,  
Króla z ludem nic odtąd nie rozerwie zgody.  
Lecz idźmy, — na królową czekają poddani;  
Niech senat, sejm, lud, wojsko ujrzy twarz swej pani!

## SCENA VI.

AUGUST, TARNOWSKI, BORATYŃSKI, KMITA,  
IZABELA, DOWÓDCA STRAŻY.

IZABELA:

Królu, tracisz Barbarę! Ledwo drżąca, zbłądła,  
Stąd odeszła, bez czucia na ręce mi padła!  
Kilkakroć ją starania nasze ocuciły,  
Lecz, zaledwie odzyska, znowu traci siły.  
Na pomoc jej zebrani łzami i rozpaczą  
Swoją żal tylko... i nasze nieszczeście tłumaczą.

AUGUST:

Ach, co mówisz! O nieba! Raczcie ją ochronić!

## DOWÓDCA STRAŻY:

Królu, okropną prawdę mamże ci odsłonić?  
Barbara jest otrutą. Monty przeniewierczy,  
Co czuwał nad jej zdrowiem, wlał w nią jad morderczy.

IZABELA: Monty! Ten, co tylekroć ocalił jej życie?

## DOWÓDCA STRAŻY:

Tak jest! On, z murów zamku gdy uchodził skrycie,  
Mimo ciemności nocy, mimo stroju zmiany,  
Od dowódcy straży miasta odkryty, schwytany,  
Przez bojaźń, żal, zgryzotę czy przez obłąkanie  
Sam wyznał...

WSZYSCY: O, potwora!

AUGUST: Gdzież on? Niech tu stanie!

Przebóg! Czyjeż to zbrodnie? Namowyz-to czyje?  
Idź! Bieź! Niech się tłumaczy!... Gdzie on jest?

DOWÓDCA STRAŻY: Nie żyje!

Chcąc sam się skarać, lub też uprzedzić katusze,  
Połknął jad i wyzionął w oczach moich duszę.  
Nim skonał zbrodniarz, jawne uczynił wyznanie...  
(Lecz mogeż wierzyć, będę śmiał ci donieść, Panie?)  
Że do tej niepojętej zbrodni był wciągnięty  
Namową, współrodactwem i darami Bony.

(*odchodzi*)

AUGUST: Ach, moja własna matka! Co słyszę, o nieba!  
Na domiar nieszczęść moich tego było trzeba!

(IZABELA *odchodzi*)

## SCENA VII I OSTATNIA.

CIŻ SAMI, IZABELA i BARBARA *niestona*.

BARBARA:

Raz jeszcze... chciałam ciebie ...chciałam was obaczyć.  
Stan mój ostatnie czucia daż mi wytłumaczyć?

Umieram... Polski matką... i Augusta żoną —  
 Śmiercią okrutną, prawda... lecz niezasłużoną...  
 Ginę zbrodnią... lecz ginę nie z Polaka ręki...  
 Łzy wasze...

AUGUST: O rozpaczy! O żalu! O męki!  
 O nieszczęśliwy mężu! Okropna korono!  
 Dniu szczęścia, dniu lez wiecznych, w którym nas złączono!

IZABELA:

Także Ty więc, o Boże, jesteś sprawiedliwym?

BARBARA: *(do Izabeli)*

Żegnam cię... droga siostró!... Twym staraniom tkliwym...  
*(do Augusta)*

Ty żyj!... Ocal gasnące ojców Polski plemię;  
 Od nieszczęść... od upadku... zachowaj tę ziemię!...

AUGUST:

Ach, kona! Ja żyć muszę i żyć bez Barbary!...  
 O Polsko, jakże trudnej wymagasz ofiary!

K O N I E C.





# KRÓL ZAMCZYSKA



SEWERYN GOSZCZYŃSKI

# KRÓL ZAMCZYSKA

POWIEŚĆ



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

Tekst opracował według wydania z r. 1842 i 1870  
Dr. Stefan Vrtel-Wierczyński.

## I.

## MACHNICKI WARJAT.

Poezja jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu niewzbronna, jak zbawienie, jak uczciwa sława. Nawet nasz wiek, tak osławiony, tak okrzyczany prozaicznym, nawet nasze pokolenie, odsądzone od czci i wiary przez idealistów, mają swoją poezję. Nie jest ona wprawdzie ani rajska, ani homeryczną, ani romantyczną, ale jest tak dobrą, jak wszystkie starsze jej siostry, jest poezją swojego czasu. Nie potrzeba jej daleko szukać, nie potrzeba jej uganiać poza obrębem dzisiejszej ludzkości, nie potrzeba jej sobie wymyślać; jest ona pomiędzy nami, w sferze naszego życia, naszych ludzi, w postaciach najpowszedniejszych.

O, ileż to razy zdarzyło mi się słyszeć, widzieć, być nawet uczestnikiem takich spraw, że największy poetyczny genjusz nicby poetyczniejszego wymyślić nie potrafił, że obok nich wszystkie utwory wyobraźni były poronionym płodem, obudzały niesmak w czytaniu. Dlatego przenosiłem zawsze towarzystwo ludzi nad towarzystwo książek, przyrodę nad bibliotekę. Chwile, przeżyte pod wpływem takiej poezji, stanowią najdroższy zapas najmilszych w mojem życiu wspomnień: mam je z każdej epoki moich dziejów, a epoką najobfitszą może w taką poetyczność jest ostatni mój pobyt w kra-

inie podkarpackiej; do niej należy zdarzenia, które tu chcę opowiedzieć.

Badanie mojego kraju pod każdym względem jest wrodzoną mi namiętnością, a widok okolic szczególniejszy ma dla mnie urok, mocniejszy niemal, niż znajomości z ludźmi. Pod takim bodźcem, przebiegając wzdłuż i wszerz Galicję, znalazłem się w obwodzie jasielskim, w okolicy Krosna, nad brzegami Wisłoka. Nie każdemu zapewne z moich braci wiadomo, że Podgórze galicyjskie ukrywa miejsca najpiękniejsze w Polsce; trochę więcej oświaty, trochę więcej dobrego bytu między mieszkańcami, korzystniejsze cokolwiek położenie względem innych krain, a miałoby niepoślednią w Europie głośność. Obwód jasielski, a mianowicie brzegi Wisłoka od jego źródła aż do Pilzna odznaczają się już fizjognomją tej krainy. Najwydatniejszym jednak rysem okolic Krosna, najmocniej pociągającym ku sobie moje oczy i serce, były zwaliska zamku Odrzykońskiego.

Wszelkie ruiny tego rodzaju są dla mnie jakby grobem rodzinnym, widmem przeszłości, hieroglificznym kluczem od wiekowych dziejów, światem niewyczerpanych wspomnień, marzeń, smutków i pociech rzewnych. Ile razy spojrzę na coś podobnego, tylekroć zdaje mi się słyszeć głos wewnętrzny: „I tu pogrzebiony człowiek twojej przeszłości!“ — a wnet religijne uczucia napęłniają duszę, myśl podnosi się, budzi wolę, kieruje krok pielgrzymi, i jestem wśród gruzów.

Kilka dni już upłynęło od przybycia mojego w okolice Odrzykonii, a nie mogłem zwiedzić zamczyska. Odległość, czas dżdżysty i inne przeszkody oddalały ode mnie rozkosz tej pielgrzymki. A tymczasem widmo zwaliska po całych mię dniach prześladowało. Panując wzniosłem położeniem nad okolicą, zdawało się z każdej



strony zachodzić mi w oczy. Nie było zmiany cienia i światła, w którejbym go nie widział; nie było fantastycznej postaci, którejby nie wywołało z mojej wyobraźni. Podniosła li się za nim nawalna chmura, to na jej tle czarnem, pozewajacem błyskawicami, widziałem olbrzyma mojej przeszłości, złamanego, zgruchotanego, zwalonego, miotanego śmiertelnymi bolami, ale dawna wielkość groziła z jego czoła, oddychał ogniem, wypuszczał grzmotami słowa błogosławieństw, strzałami piorunów przypominał się światu, że żyje: czasami zamgliła go siatka deszczu; wówczas tajemnicza jego postać, obwiana tą zasłoną, stała przede mną, jak anioł wiary i nadziei; inną razą, błyszczący całym przepychem dnia wschodzącego, był dla mnie uosobieniem przyszłości, zmartwychwstaniem w nowej postaci, w promieniach nowego ducha; a i wtedy nawet, kiedy w przerwach słoty uśmiechał się ponurym blaskiem zachodu, i wtedy nawet obudzał tysiąc myśli niecałkiem ponurych. Jednem słowem, wszystko, co doznawałem w owej chęci i niemożności obejrzenia zwalisk, porównać tylko można z przecuciami miłości w duszy dziewiczej, z jej marzeniami.

Tymczasem zbierałem troskliwie rozliczne wieści, dotyczące się jego dziejów. Źródło ich nie było obfite. Mogłem czerpać jedynie z towarzystwa, w którym żyłem; a wiadomo nam, jak mało teraźniejsza szlachta przywiązuje wagi do podobnych rzeczy. Obok ich gumien, obok ich gorzelni, czemu są te wszystkie, choćby najpyszniejsze, zwaliska? Wiadomość jarmarków w pobliskim miasteczku, zabawa sąsiedzka, szczegóły jakiegoś wesela lub pogrzebu, tyle zatrudniają ich pamięć i myśli, że niema w nich miejsca dla podań jakiegś tam ruiny. Nie mogłem przeto dowiedzieć się nic więcej, jak tylko, że zamek Odrzykoński zbudowany był

przez Firlejów, że w jego okolicy musiały się odbywać krwawe bitwy, bo dziś jeszcze wyorują zbroje i kule, że przed kilkudziesiąt laty był zamieszkały i przechowywał w swoich piwnicach odwieczne wino, że później ludzie przybyli w pomoc losom, niepogodom i czasowi i w zawody go niszczyli, że natomiast powstały z jego gruzów: klasztor kapucyński w Krośnie, kilka kamienic w Korczynie, kilka gorzelni, stajnia dla cesarskich ogierów, i tym podobnie; że dziś наконец razem ze wsią tego nazwiska jest własnością hrabiego Jabłonowskiego.

— Więc dzisiaj zupełnie zniszczony — mówiłem do gospodyni domu, która mi najwięcej powyższych szczegółów dostarczyła.

— Prawie zupełnie, — odpowiedziała — od czasu, jak się zapadły dwa pokoje, które jeszcze przed laty kilką były zamieszkane.

— Zamieszkane? Przez kogo?

— Przez Machnickiego.

— Któż to był ten Machnicki?

— On jest jeszcze. Zapomniałam poznać z nim pana. Najważniejszy to dzisiaj szczegół Odrzykońskich zwalisk. Machnicki jest, mówiąc krótko, warjat. O przyczynach jego obłąkania rozmaicie powiadają. Najpodobniejsza do prawdy powieść, że, będąc urzędnikiem cesarskim, oddał się zbyt pracy swojego urzędu i tym sposobem stracił jedną kplekę. Po tym przypadku naturalnie został bez domu; a że miał zawsze szczególny pociąg do zamczyska, tam więc zamieszkał dwa pozostałe pokoje i był ich mieszkańcem, dopóki nie runęły. Nadto potrzeba panu wiedzieć, że się nazywa królem Odrzykońskim i uważa się za samowładnego pana owych ruin, a stąd mamy nieraz pełno scen pociesznych.

Ciekawość względem podobnych ludzi jest łatwa do wytłumaczenia, nie dziw przeto, że mię zajęła powieść o Machnickim i chciałem powziąć jak najdokładniejsze jego wyobrażenie.

— Pani go zna? — zapytałem.

— O mój Boże — odpowiedziała z uśmiechem — jak zły szeląg. Bywa u nas częściej, niż gdziekolwiek, bo trzeba panu wiedzieć, że to nie jest warjat z rodzaju pospolitych: ma on wiele wrodzonych zdolności i nauki, co i dziś jeszcze widać. Są chwile, że wziąłbyś go pan za człowieka z najzdrowszym rozsądkiem. Zdarzyło się to niedawno jednemu z podróżujących cudzoziemców; Machnicki mieszkał jeszcze w swojej królewskiej rezydencji. Ów cudzoziemiec, zwiedzając zamczysko, spotkał się z nim, wszedł w rozmowę, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki mówi bardzo dobrze kilku językami, i znalazł go tak dobrze, że wrócił do nas oczarowany tą znajomością.

— Któż? Machnicki?

— Ale gdzie tam. Cudzoziemiec podróżny. Zaczął nam tedy opowiadać, że nie spodziewał się znaleźć w tym wieku i w Polsce pustelnika tak rozumnego. Niemalø zadziwił się, kiedyśmy odkryli, kto to był w samej rzeczy ów jego uczony pustelnik. Mimo to jednak pewna jestem, że odjechał, niezupełnie nam wierząc.

— Z tego wszystkiego, co od pani słyszę, jestem bardzo ciekawy poznać Machnickiego. Szkoda, że opuścił zwaliska, miałbym powód jeden więcej do ich zwiedzenia.

— Nic łatwiejszego, jak go poznać, nawet w zamczysku, bo, choć tam więcej nie mieszka, to pracuje ciągle, wałęsa się po niem; codziennie go pan spotkasz. Ale byłby to trud niepotrzebny. Zobaczysz go pa-

w naszym domu. Pojutrze imieniny mojego męża; Machnicki tego dnia nigdy nie opuści: zaszczyca nas co rok swoim powinszowaniem, bo trzeba panu wiedzieć, że Machnicki jest także poetą, a wiersze jego wcale nie złe. Często obdarza niemi sąsiedztwo z powodu rozmaitych okoliczności. Najdziwniejsza rzecz w takim warjacie, że ma bardzo wiele dowcipu, ale dowcipu tak złośliwego, że nieraz można myśleć, czy nie udaje głupiego, aby mógł tem bezpieczniej kąsać. Niektórzy szczerze gniewają się za jego przycinki; my, co go lepiej znamy, serdecznie się śmiejemy, bo czyż można gniewać się na biednego warjata? A że takim jest, sam pan przyznasz, jak tylko go ujrzysz.

## II.

### IMIENINY.

Ze szczerą niecierpliwością wyglądałem owego dnia imienin, który miał mi nastręczyć sposobność poznania Króla Zamczyska, z powiększoną, kiedy wreszcie nadzedł. Towarzystwo było liczne i przyjemne, ale ja o Machnickim tylko myślałem. Miało się już ku zachodowi słońca, a jego jeszcze nie było. Zabierano się właśnie do obiadu, kiedy oznajmiono przybycie gościa, oczekiwanego prawie przez wszystkich, ale przez wszystkich z innego, jak mój, powodu. Byliśmy wówczas w jadalnej sali. Otwierają się drzwi.

— A! Pan Machnicki! Pan Machnicki — zawołano zewsząd.

On to był w istocie. Wszedł ze śmiałą pewnością siebie, którą daje albo ciągłe życie wśród świata ukształconego, albo uczucie wewnętrznej wyższości nad resztą towarzystwa. W nowoprzybyłym prędzej to drugie

dało się dopatrzeć: w ułożeniu jego przebijało się cokolwiek dumy, jednak połączonej z pewną uprzejmą godnością, która waruje od ubliżenia innym. Po kilku krokach powitał stosownym ukłonem licznych dokoła gości; a w tejże chwili podszedł ku niemu gospodarz domu, podał mu rękę, ścisnęli się wzajemnie.

— Wszak to dzień imienin szanownego pana? — pierwszy zaczął Machnicki.

— Tak jest, — odpowiedział gospodarz — a dla mnie i stąd miły, że mogę powitać w moim domu tak nam drogiego, a przecie tak rzadkiego gościa.

— A dla mnie — rzekł Machnicki z zimnym, lekko szyderczym uśmiechem — stąd jeszcze miłszy, że mogę mu złożyć moje życzenia. Na ten raz jedno tylko wynurzę, abyś nigdy nie wyszedł źle na swoich żądaniach i zawsze więcej żądał dla drugich, jak dla siebie. Reszta na potem, bo zdaje mi się, że obiad czeka gości, a goście obiadu jeszcze bardziej.

Obecni temu, wszyscy prawie znali Machnickiego osobiście, oswojeni byli z tonem jego mów, we wszystkim znajdowali pobudkę do uciechy; i powyższe więc słowa tylko ich rozśmieszyły, jak zwyczajne głupstwo — może to było i konieczne w tych, którzy oddawna znali go warjatem i ostrzelali się z jego przycinkami, ale na mnie ta krótka scena zrobiła przeciwne całkiem wrażenie. Żaden ruch, żaden wyraz Machnickiego nie uszedł mojej uwagi od czasu, jak wstąpił do sali, i w niczem nie dostrzegłem owego okrzyczanego obłąkania. Przeciwnie, wszystko wprowadzało mię na uroczyste zastanowienie się nad nim i podnosiło do wyższego stopnia ciekawość. Przypadek wygodził poczęści moim chęciom: zasiedliśmy do stołu prawie tuż naprzeciw siebie. Ale długo nie mogłem z tego korzystać. Według zwyczaju, mając wedle siebie sąsiadkę, miałem

zarazem obowiązek służenia jej i bawienia. Nie wiem, jak dopełniałem tej powinności, ale to pewna, że byłem głównie zajęty Machnickim, tak, że wkrótce, przy całym roztargnieniu, mogłem sobie narysować zewnętrzny przynajmniej obraz jego fizjognomji.

Potrzeba sobie wyobrazić człowieka wzrostu więcej trochę niż miernego, postawy prostej, budowy silnej, bark szerokich, z doskonałą harmonją we wzajemnym do siebie stosunku wszystkich członków, jednym słowem: człowieka dobrze i pięknie zbudowanego, któremu jednak zbywa cokolwiek na stosownej tuszy; przy takiej budowie wyobraźmy sobie ruchy swobodne, naturalne, zgrabne, często żywe, a zawsze miarkowane pewną godnością, pewną powagą mimowiestną, niewymuszoną, napiętnowaną charakterem dawno ustalonymi. Miał około lat pięciudziesiąt. Pokazywały to i włosy, w połowie siwe, i cała powierzchowność twarzy. Mimo to odgadywałeś, że ta twarz była kiedyś ładna; chudość nie zepsuła jej owalu, nie zaostrzyła zbyt mocno rysów, a wydatniejszym zrobiła nos pociągły, z lekkimi wypukłościami średniej chrząstki i końcowego zaokrąglenia. Nie była to jednak fizjognomja ludzi pospolitego rozumu i charakteru. Wpatrzywszy się w nią lepiej okiem znawcy, dostrzegłeś pod zwierchnią jej powłoką rysów połamanych przez uniesienia namiętne, przez głębokie cierpienia, przez tortury ducha, jasno widziałeś w jej głębi ruinę myśli i obłąkania, ale obłąkania człowieka, który, o ile w stanie zdrowia przenosił swoim rozumem rozumu pospolite, o tyle w samym upadku ostał się jeszcze w pewnej nad niemi wyższości — uczucia. Najwyraźniwszem objawieniem tego smutnego stanu była dziwna ruchliwość oblicza. W chwili rozigrania widziałeś tam naraz prawie kilka rozmaitych, najsprzeczniejszych wzruszeń, ale w każdym z nich było

coś tak szlachetnego, że nawet w podobnem pasowaniu się z sobą nie szpeciły twarzy, nie robiły na patrzącym przykrego wrażenia. To samo działo się w dużych, siwych oczach: czasem błyskały one takim szczególnem spojrzeniem, że blask ich przechodził w dziką jaskrawość; ale i wtedy uderzała cię tylko jakaś energia duchowa, jakaś żywość myśli, które lubo gwałtownie przelatywały, znać jednak było, że nie przelatywały samopas, ulegały kierunkowi pewnej woli i mimo przebłyskiwania objawiały się silne, pełne i wykończone.

Widok tej twarzy w zupełnem uspokojeniu niemniej był ciekawy: wszystko wtedy oddychało w niej jakimś uczuciem wyższości nad przytomnymi, zanadto pewnej siebie, żeby wpadała w zuchwalstwo, jakąś w rzeczy samej myślą panowania; na dnie błyszczał niby wyraz młodości, jakby młodości duszy, jakby wiosna wyobraźni, a na tem wszystkim leżała cicha ponurość, niby zasłona z przejrzystej krepy, której wydatniejszemi fałdami były gęste, przez pół siwe i ciemne włosy, na czoło nasunione z pewnem zaniedbaniem, i ciemniejsze jeszcze, wielkie brwi, nad okiem zwisłe. Głos jego był silny, dźwięczny, a obok tego czysty, przyjemny i łatwo gnący się do dźwięku wszelkiego uczucia.

W czasie tego obiadu, chociaż jadł bardzo skromnie, a pił jeszcze skromniej, i to czystą wodę, mało się jednak odzywał, a zawsze zmuszony przez kogoś. Uważałem wtedy rzadką żywość i trafność w odpowiedziach, a w rozmowach, tak krótszych jak dłuższych, wielką łatwość i szlachetność tłumaczenia się.

I tego jednak, co mówił, nie mogłem po największej części dosłyszeć, wciągany nieraz przez moją sąsiadkę do nowej rozmowy, którą przez grzeczność musiałem utrzymywać. Wkrótce ciekawość, zwrócona w inną



stronę, przemogła nad grzecznością; mimo całego przymusu odpowiadałem niestosownie, albo wcale nie odpowiadałem. Dysharmonja między naszymi myślami była widoczna. Postrzegła wreszcie moja pani to roztrągnięcie; zrazu zaczęła żartobliwie napomykać jego przyczynę, która kobiecie wydaje się jedyną i konieczną w mężczyźnie młodym i nieżonatym, wkońcu, zwróciwszy się ku drugiemu sąsiadowi, zostawiła mi zupełną swobodę zajęcia się Machnickim. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, bo właśnie w tejże chwili rozpoczęła się znowu scena, która przedmiot mojej ciekawości odsłoniła mi z innej strony, ważniejszej niż jego powierzchowność.

Znajdował się w naszym towarzystwie pewien hrabia K... Był to młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna. Należał on z rzemiosła swojego do rzędu ludzi, znajomych pod rodzajowem nazwiskiem „przyjemnych trzpiotów“, jakich ma każdy kraj, każda prowincja, każda okolica, każde miasteczko, każda koterja, a których wartość gatunkowa odpowiada sferze, gdzie krążą wyłącznie. Hrabia K. był jednym z dowcipów podrzędniejszych, cyrkularnych. Nie przeszkadzało to jednak, że cały cyrkuł bawił się nim w najlepsze. Kobiety dobrego miejscowego tonu szalały za jego towarzystwem; młodzież, w pośledniejszej swojej części, naśladowała go, w czem mogła; starsi i rozsądniejsi poślazali, bo był hrabią i miał jaki taki mająteczek, zresztą był, jak to zowią, dobry chłopiec. Znał się na koniach i psach, strzelał celnie, jadł i pił o zakłady, śpiewał i gwizdał przy fortepianie, tańczył na zawołanie bez muzyki i pary, nie zostawił nikogo w spokoju, powolniejszym wręcz dokuczał, drażliwszych wydrzeźniał ztyłu, koniec końców błaznował, najczęściej kosztem tych, nad którymi przystawało raczej litować się;



wszakże, usprawiedliwiając go, potrzeba dodać, że przykry ten dowcip miał źródło raczej w głupocie, jak w złem sercu, raczej w zepsutym smaku towarzystwa, w którym żył, jak w skłonnościach wrodzonych. Wszedł on w nałóg złośliwego bawienia się, jak wchodzimy we wszelką rozpustę, przez poklask zepsutych. Dla podobnego człowieka Machnicki, albo, że użyję całego wyrażenia samegoż hrabicza, król Machnicki był to prawdziwie *królewski kasek*.

Całe towarzystwo wiedziało o przygotowanym napadzie na biednego warjata, czekało niecierpliwie, z nielicznym wyjątkiem, chwili starcia się dwóch takich zapasników, których już dlatego umieszczono przy stole obok siebie, i doczekało się nareszcie. Hrabia zaczął. Napełnił kielich winem, podniósł się, ułożył twarz figlarnie-uroczyście i zawołał:

— Zdrowie króla Odrzykońskiego! Oby jak najdłużej panował dla naszej radości, w takiej mądrości i sławie u świata, jak dotąd.

Znaleźli się, którzy odpowiedzieli na ten toast, inni, którzy szczerze zachichotali, inni wreszcie, którzy się zmarszczyli widocznem niezadowoleniem — do ostatnich i ja należałem; znam cześć dla gruzów umysłu ludzkiego, jak dla wszelkich innych. Machnicki siedział nieruchomy i byłby może takim pozostał, gdyby młodziak, za daleko swój żart posuwając, nie był go trącił w ramię i nie przemówił z drwiącym grymasem:

— Królu, azaliż grzeczność nieznana w twojem państwie?

Dziwna zmiana chwilowa, jak błyskawica, mignęła przez oblicze Machnickiego i zostawiła po sobie tylko chmurną powagę; nalał spokojnie swój kielich wodą, i przemówił, nie wstając z siedzenia:

— Przyjmuję zdrowie pana hrabiego w ten sam

sposób, w jaki było wzniesione, i mam sobie za powinność odplacić toast toastem, przemowę przemową... Trzeba nam wiedzieć, moi panowie, że są dwa rodzaje warjatów: jedni, których bardzo mało, wiedzą o swoim stanie, umieją go znosić i są tem, co właściwie zowią się warjatami; drudzy, z rozumem niedoleźniejszym od warjacji, sądzą, że mają najzdrowszy, ani na chwilę o tem nie wątpią; takich jest bardzo a bardzo wiele, a nazwisko ich znajdzie pan hrabia w słowniku swojej grzeczności. Pierwszym i wino nie zaszkodzi, to też ich zdrowie można pić winem; drugim pomaga niekiedy zimna woda, dlatego wodą piję twój toast, panie hrabio! *Oby podobni tobie rozmnożyli się bez liku u naszych nieprzyjaciół!*

Toast Machnickiego wzbudził śmiech głośniejszy i powszechniejszy jak pierwszy. Wielu cieszyło się kłopotem hrabiątka tak samo, jak wprzód ostrym żartem z Machnickiego, inni zaś ze szczerzej przychylności ku sprawie zaczepionego. Wszakże ten usterk nie zraził jeszcze hrabiego, przynajmniej umiał go pokryć głośnym śmiechem, chociaż, widać było, wymuszonym.

— Jakto, królu — zawołał, nachylając się uprzemie ku Machnickiemu, — tybyś miał się gniewać za życzenie, dalibóg, serdeczne? Otoż dla prześlągnięcia ciebie chcę odtąd zostać najwierniejszym twoim poddanym.

— Przepraszam — odparł natychmiast Machnicki z niewzruszoną powagą — Moją polityką jest nie cierpieć w mojem państwie większego ode mnie... króla — ma się rozumieć. Panie hrabio, z twojem szlachetnem usposobieniem prędkobyś mię z tronu zsadził.

Śmiech towarzystwa jeszcze się bardziej powiększył: czuł teraz hrabia, że jego kosztem, że kosztem jego dowcipu, który się rozbił o głupstwo niby war-

jata, — i nie znalazł już mocy pokryć swojej przegranej choćby udanym śmiechem, ale stracił doreszty przytomność dobrej myśli, kiedy Machnicki, który przez cały ten czas wpatrywał się w grę jego oblicza z zimnem szyderstwem politowania i wzdgardy, zawołał ze swojej znów strony, jakby, naśladowując hrabiego:

— Jakto, panie hrabio, azaliż niema już dowcipu w twoim dowcipie? — A na zakończenie, uderzywszy kielichem w kielich, który właśnie pomieszany hrabia niósł machinalnie do ust, zawołał: — A więc zgoda dwóch półgłówków! Któż z nami, jeśli my przeciw sobie?

Żartowniś, dobity tym ciosem, któremu nie przedstawiał towarzyszyć barbarzyński śmiech wielkiej części towarzystwa, byłby może wypadł z karbów okoliczności i szczerym gniewem wybuchnął, gdyby litość kilku roztropniejszych kobiet, zwykle przytomnych w podobnym razie, nie była nadała zabawie innego kierunku.

— Panie Machnicki, — zawołała jedna z nich — zaimprovizuj nam cokolwiek z łaski swojej! Już tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć jego poezji. Powiedz nam co wierszami!

Na ten głos Machnicki wrócił do zwyczajnej postawy przy stole, postawił spokojnie kielich i spojrzał dokoła z taką twarzą, jak żeby nie było na niej przed chwilą żadnego wzruszenia; odezwał się tylko:

— Ma to być drugi akt komedji! — ale z uśmiechem więcej łagodnym jak szyderskim.

— Prosiemy!

Machnicki skinął ręką na ucieszenie.

— Z całego serca! — rzekł. — Wymawiam tylko sobie, aby nie miano do mnie żalu, gdyby jakim przypadkiem nie podobało się coś w moich wierszach komukolwiek. Państwo wiecie zapewne, że człowiek, opętany

natchnieniem poety, przestaje być sobą. Każdemu z nas, jak tu jesteśmy, zdarza się, jeśli nie ciągle, to przynajmniej codzień, gadać, nie wiedząc, co gada, chociaż prozą; a cóż dziwnego, że człowiek, mówiący wierszami i bez przygotowania, nie jest czasem panem słów i myśli. Będę improwizował, jeżeli się naprzód zapewnię o takim pobłażaniu:

Chętnie jałmużnę dajecie  
Zebrzącej o grosz niedoli,  
Nie odmówcież dobrej woli  
Warjatowi i poecie!  
Wszak to worka nie wysusza,  
A skorzystać może dusza:  
A czyja? Zapewne wiecie.

Ze szczerą ciekawością wpatrywałem się w Machnickiego i chwytalem każde jego słowo. W rzeczy samej zdziwienie moje było nadspodziewane nad ową łatwością wysłowienia się i szybkością myśli, co tak przelatywała z jednego tonu w drugi. Znać w tem było nietylko wprawę, ale swobodę ducha i władzę nad myślami, którą natchnienie tylko dać może. Nie mogłem wstrzymać się od pomyślenia w duchu: ten człowiek nie na warjata się rodził, a przynajmniej nie na zwyczajnego! Kiedy zaś umilkł na chwilę, jak żeby czekał od obecnych przytwierdzenia swoim słowom, zawolałem pierwszy, stosownie do ostatniego wiersza:

— Wiemy! Wiemy! I z rozkoszą słuchamy dalej! — Kilka już razy, z powodu sceny poprzedzającej, dałem uczuć Machnickiemu swoją dla niego życzliwość, ale uważałem, że w tej chwili przyjął ją lepiej, niż kiedykolwiek, i mocniejszą zwrócił ku mnie uwagę. Wzrokiem szczególniej przenikliwym dłużej na mnie spoczął, jakby mię chciał zbadać nawskroś, a znalazłszy zapewne w mojem odezwanii się szczerłość, uśmiechnął

się lekko, z pewnem zadowoleniem, — i uważałem, że w ciągu dalszej improwizacji na mnie opierał głównie swoje wejrzenia. Tymczasem wziął w rękę prózny kielich i tak kończył:

Mamy dziś święto sąsiada!  
Tak nam kalendarz powiada.  
By nie zostać niegrzeczniejszym  
Od samego kalendarza  
- I długami serca dłużnym,  
A więc przy święcie dzisiejszem  
Piję zdrowie gospodarza,  
A piję kielichem próznym.  
Jeśli prózny, mojaż wina?  
Mój kraj pustka i ruina,  
Bo mój kraj to serca wasze:  
Skądże wam napełnię czaszę?  
Czyż z mej duszy? Na to zdrowie  
Nikt mi pewno nie odpowie.

A chociażbym z niej i nalał,  
Cóżby to się stało z wami?  
Każdyby, jak ja, oszalał..  
Lecz nagrodzę życzeniami.  
O, życzeń tyle, co nędzy.  
Wszystko zamknę w krótkim słowie:  
Obym pić mógł jak najprędzej  
Z pełnego dzisiejsze zdrowie,  
A życzył rozumnie — w prozie —  
Na wszystkich świętych — w obozie —  
Przy zastawie bojowiska,  
Śród prochu, ognia i dymu!  
Tak wam mówi król zamczyska;  
A co mówi, to dla rymu.

Taka była improwizacja Machnickiego i z małemi zapewne odmianami, bo ją w tejże chwili odpisywałem. Jako poezja nie ma ona zapewne nic szczególnego, zwłaszcza w czytaniu; ale trzeba ją było słyszeć w ustach

Machnickiego — z żywym dźwiękiem jego głosu, ze szczerem uczuciem wezbranego serca. Nadto, przy całym tonie ucinkowym i lekkim, nie można jej zaprzeczyć pięknego głównego pomysłu i prawdy, lubo za cierpkiej, wszakże zawsze prawdy, a zwłaszcza dosyć zastosowanej do osób i okoliczności. Dlatego powszechnie zrobiła ona wrażenie; a to, którego ja doznałem, nie było najmniejsze. Kiedy więc inni podnieśli oklask i okrzyk brawa, ja, korzystając ze zgielku, przechyliłem się przez stół ku Machnickiemu i szepnąłem półgłosem:

— Winszuję panu nie rymu, ale sensu.

— Pan go dostrzegłeś? — zapytał Machnicki.

— Bez trudu.

— Ale tego, oprócz pana, nikt tu więcej nie powie.

— Bo nie chce.

— Masz pan słuszość. Udają, że się bawią warjatem: niby lepsi od niego. Smutna to rzecz jednak! — i westchnął głęboko. — Patrz, jaka uciecha z własnej hańby. —

Rozmowę naszą przerwała kolej toastów, kończących obiad. Następnie muzyka wezwała do tańców. Powstano od stołu. Wszystkie moje chęci zmierzały do tego, żeby wejść w ściślejszą znajomość z Machnickim: szukałem go na wszystkie strony, niebawnie postrzegłem. O jednym widać myśleliśmy oba, gdyż pierwszy przystąpił do mnie. Byliśmy tylko we dwóch na ustroniu.

— Pan nie lubisz tańców? — zapytał mnie.

— Przeciwnie.

— A jednak nie tańczysz.

— Od jakiegoś czasu.

Ja się uśmiechnąłem, on zamyślił się na chwilę.

— Dobrze pan robisz. Od jakiegoś czasu — a mó-

wił to z wydatnym przyciskiem — niktby tańczyć nie powinien; ale poradź-że to z tymi ludźmi!

Zatrzymał się znowu, zachmurzył się, po chwili przybrał twarz obojętną i obojętnie mię zapytał:

— Pan zapewne z dalekich okolic?

— Tak, niedawno poznałem tutejsze.

— Niewiele zyskałeś.

— Przeciwnie — odpowiedziałem ze szczerą uprzejmością — miałem przyjemność poznać pana Machnickiego.

Pojrzał z niedowierzaniem.

— Ale ten Machnicki warjat!

— Nie dla mnie, jak dotąd, — odparłem z uśmiechem, a na dowód pokazałem mu odpis jego improwizacji — w tem przynajmniej widzę więcej, jak rozum pospolity.

— A u nich jednak to warjacja.

Po chwili nowego milczenia nagle zapytał:

— Widziałeś pan zamek Odrzykoński?

— Zdaleka.

— Więc musisz tu być bardzo niedawno?

— Od tygodnia.

Na tę odpowiedź postrzegłem niezadowolenie w twarzy Machnickiego.

— Jakto? Od tygodnia tu być i nie poznać zamku! To jednak tak blisko! A choćby i najdalej? Drugiego takiego miejsca niema na ziemi. Powinniśmy do niego pielgrzymować, jak muzułmanie do grobu proroka.

Mówiąc to, podnosił głos coraz wyżej, ruchy ciała ożywiały się, na twarz występował dziwny, wewnętrzny płomień; po raz pierwszy postrzegłem w nim obłąkanie.

Wymawiałem się jednak szczerze przeszkodami, niezależnymi ode mnie, jak było w istocie. Machnicki słuchał niecierpliwie, gotował się widać do nowego



uniesienia, kiedy wpadła pomiędzy nas trzecia osoba. Machnicki zwrócił się nagle i odszedł. Widziałem go jeszcze raz, zdaleka; zdawało się, że chciał znowu mnie spotkać i mówić, i widać było, że się wahał; wkrótce straciłem go całkiem z oczu: jakoż powiedziano mi, że opuścił towarzystwo niepostrzeżenie. Było to nad moje spodziewanie; mocno żałowałem, żem puścił mimo tak dogodną zręczność lepszego zbadania tej szczególnej istoty. Nie pozostało mi teraz, jak szukać go w zamczysku, i na to przeznaczyłem nieodmiennie dzień następujący.

### III.

#### ZAMCZYSKO ODRZYKOŃSKIE.

Nazajutrz, ledwie dzień zaświtał, byłem już w podróży do zamczyska, bo chciałem razem z niem wschód słońca powitać. Poranek był prześliczny, jak tylko może być poranek majowy i pogodny po tylu dniach nieba zachmurzonego. Droga pięła się pod górę, pomiędzy sadami, lub lasami. Oko w każdym kierunku odpoczywało na śniegach drzew rozkwieconych; wszystkie wiatry powiewały woniami fiołków. Zielona szata okolicy srebrzyła się perłami rosy. Niewysłowiona, czarująca świeżość, jak swoboda lat młodzińczych, przenikała i zachwycała duszę, grała we wszystkie zmysły. Droga tymczasem coraz przykrzejsza, las ciemniejszy, skały gęściej szarzeją, dzikość pustyni coraz wyraźniej czuć się daje, urok miejsca coraz silniej podbija duszę; nagle puszcza się rozstąpiła i zamek w całej pogrobowej okazałości stanął przede mną.

Nie będę się rozwodził, z jakim uniesieniem powitałem ten widok, nie będę opisywał wrażeń, które zrobił na mnie pierwszy przegląd tego ogromu gruzów:



tam, gdzie każda ściana, każdy zakąt, każdy kamień, każdy krok wyprowadzały czarodziejską różdżką z mojej duszy nowy coraz potok uczuć i marzeń, otwierały mi nowe światy, szczegółowy opis byłby może zanadto nużący, a, co pewniejsza, niepodobny do wykonania. Dodam nadto, że celem niniejszej powieści nie jest obraz moich wrażeń, lecz proste opowiadanie, a główną jej osobą nie ja, lecz król zamczyska. O tyle więc jedynie opowiadam, com widział, lub czuł, o ile to potrzebne do utworzenia tła, na któremby przedmiot obrazu wydał się jak najwłaściwiej, jak najdobitniej. Z tego tylko powodu uznaję za konieczne rzucić kilka zarysów ogólnych zamczyska i jego okolic.

Zamek Odrzykoński leży na północ Krosna. Posadą jego jest góra, należąca do łańcucha jednej z karpackich odnóg, okryta świerkowemi lasami, jak cały szereg jej rodziny. Zamek zajmuje najwyższą jej wyniosłość, która ją widocznie od innych odosobnia. Ów szczyt najeżony jest ogromnemi bryłami głazów, pomiędzy którymi rosną pomieszane: brzozy, sosny, buki, a z drobniejszych krzewów: głóg, jałowiec, dzikie róże, jeżyna i tym podobne. Sam zamek po największej części wygląda, jak mogiła gruzów, jednakże znaczna część murów, zwłaszcza zewnętrznych, stoi dotąd nieporuszona. Najwyższa część zamku zajmuje południowy bok szczytu, najniższa zachodni. Ściana północna cała prawie ciągnie się w linii prostej, równolegle niemal do południowej, kąty innych części są rozmaitej liczby, rozmaitej wielkości. Taki jest ogólny rysunek zwalisk; inne szczegóły będą mieć miejsce w dalszem opowiadaniu.

Znużony pieszą wędrówką i szybkim a trudzącym przeglądem gruzów, wzruszony do głębi duszy ich widokiem, czułem наконец potrzebę wytchnienia. Obra-

łem na to miejsce, skądbym mógł ogarnąć jak największą przestrzeń najładniejszej okolicy: i w samej rzeczy miałem niezmierny, porywający widok, szczególnie od południa i zachodu. Z jednej strony padół, zaledwie obejrzany, zasiany miasteczkami i wsiami, pocieniony lasami, przepasany łożem Wisłoka; z drugiej zaś pasmo Karpat rozłożyło się przed mojem okiem bez żadnej zasłony. Nie miałem jednak dosyć czasu nasycić się pięknością tego obrazu: wkrótce rumiana zorza wschodu odbiła się na dalekich szczytach, zwiastując słońce; ku wschodniej więc stronie zwróciłem oczy.

Po chwili i słońce zjawiać się poczęło w grubej chmurze, jakby go noc ze swoich objęć wypuścić jeszcze nie chciała; chmury wprawdzie opadły i rozpięchły się, a słońce zabłysło odrazu w całym blasku, ale był to blask zawczesny, południowy, przykry, który w ciągu dnia deszcz zapowiada, blask oka, któremu na płacz się zanosi, którego powierzchnia jaśnieje szczęściem, kiedy na dnie jego podnosi się z głębin duszy chmura smutku, przeczucie boleści.

Taka chwila ma właściwy sobie urok i przedstawia jasne podobieństwo stanu przyrody, zwanej martwą, ze stanem duszy ludzkiej. Przedmioty oddalone zazwyczaj zbliżają się do siebie: rzekłbyś, że chcą napałtrzyć się sobie, zaczem je mrok chmury rozłączy; kwiaty mocniej wonieją, jak żeby spieszyły się z daniną kadzidla krótkim chwilom pogody; mimo godziny porannej — zaduch południa; mimo przepychu światła — jakaś w nim melancholja, jakiś brak, coś nakształt owej niepojętej tęsknoty, która ani swojego źródła, ani swojej pociechy znaleźć nie umie.

Takie było oblicze owego poranku; nieznacznie, mimowiestnie, wpływ jego i mnie ogarnął, tem łatwiej,

że mię usposabiało do rozrzewnienia się samo miejsce, gdzie się znajdowałem. Posępne dumanie przygrywkami odzywało się zrazu po stronach duszy, zwolna ułożyło się w piosenkę mniej więcej wyraźną, aż, nastroiwszy do swego czucia i myśli, wylało się na papier w następnym wierszu:

Wędrowcze ruin, ruin kochanku,  
Jaki cię smutek naciska?  
Anioł przeszłości, anioł poranku  
Spotkały się u zwaliska.

Widzę w objęciu nadziejską parę,  
Widzę ich dwa widma chmurne,  
Jak razem płaczą, jak łez ofiarę  
Kładną razem w gruzów urnę.

Stary czas odżył smutną pociechą  
I zajęczał im w podzięce;  
Słyszę jęk jego, jak dzikie echo  
Po bolesnej gór piosence.

Wciąż koniec śpiewu. Kiedyż pieśń nowa  
Rozpocznie się przez kwilenie  
Nowych narodzin? Paro duchowa,  
Daj mi przyszłości widzenie!

Skończyłem właśnie odczytanie powyższej dumki, kiedy usłyszałem za sobą głębokie westchnienie; obejrzałem się i postrzegłem Machnickiego. Stał tuż przy mnie; z oblicza widać było zachwycenie w myśli, na oczach łzy stały; wszakże strój osobliwy szczególnie mię uderzył. Suknie, schodzone cokolwiek, były jednak porządne i ułożone z pewną starannością, nie wydawały pomieszanego umysłu; zato szersze były dodatki do ubioru. Na głowie miał kapelusz, otoczony wieńcem z gałązek róż dzikich, okrytych napół rozwi-

niętym kwiatem, gałązka świerku sterczała zamiast kity, piersi całe okryte były to rozmaitemi kwiatkami polnemi, to liśćmi, w rękę trzymał kość z ręki ludzkiej, jak mi się wydało na pierwsze wejrzenie. Ten strój, tak odmienny od wczorajszego, przez co nie mogłem go odrazu poznać, obok tego rozmarzenie poetyckie, niecałkiem jeszcze rozproszone, sprawiły, że jakiś czas byłem jakby pomieszany: i nie wiedziałbym, od czego zacząć rozmowę, gdybym się nie upewnił w tejże chwili, że mój kłopot był daremny, bo Machnicki zaczął pierwszy. Stał on jeszcze w postawie, w jakiej go postrzegłem, z tymże wyrazem zachwycenia w obliczu, z wolna podniósł nad głowę kość, którą trzymał, i uroczystym przeciągnął głosem: „Anioł przeszłości, anioł poranku spotkały się u zwaliska!”

Zamilkł, zniżył kość z tąż samą powagą, z jaką ją podnosił, pilnie wpatrzył się we mnie i rzekł, nie zmieniając wyrazu twarzy:

— Ja, król Odrzykoński, nieograniczony pan tych gruzów, stróż ich przeszłości, naprzód jako król wynurzam ci wdzięczność, żeś godny hołd złożył mojemu królestwu: biorę cię przeto pod moją opiekę, jak długo zechcesz przebywać w mojej dziedzinie, w dowód czego dotykam cię tem mojem berłem; a teraz — zmienił nagle twarz i z uprzejmym uśmiechem uściśnął zdecydowanie moją rękę — a teraz witam jako brat brata, a przedewszystkiem najmocniej przepraszam, jeżeli mojem nadejściem przerwałem chwilę jego natchnienia. Podobne chwile są nieopłacone i ja znam ich wartość; i ja także jestem poetą. Szczerze więc przepraszam.

— Ja to pierwszy powinienem żądać przebaczenia, że bez wiedzy króla śmiałem wejść w jego państwo, —

odpowiedziałem, stosując się do królewskiej Machnickiego roli.

— Z tej strony bądź spokojny, — rzekł Machnicki z coraz większą uprzejmością — już po wczorajszem poznaniu, chociaż dalekiem, serce moje przychyliło się ku niemu; życzyłem sobie jego odwiedzin; zrazu chciałem mu to oświadczyć — rozważywszy, zaniechałem. Cobym mówił z pełności serca, toby wzięto za wybryk warjata. Mniejsza o mnie, ale część mojej śmieszności i na niego by spadła. Pan znasz świat — znasz wczorajsze towarzystwo — wiesz, jak mnie uważają, wiesz to dobrze — niech to pana nie miesza. Ja nie gniewam się na tych ludzi, bo znam ich dobrze. Nie czuję się nigdy mędrszym, lepszym, jak kiedy jestem pomiędzy nimi. Jednego kamyka tych gruzów nie oddałbym za najcześnie z ich serc — ten kwiatek przekwitły więcej ma duszy, jak oni. Żadnego z nich nie chciałbym mieć moim poddanym. Wolę tym gruzom królować. Z tem wszystkim nie są oni najgorsi. O, daleko gorsi są od nich. Oni nawet dobrzy ludzie podług ich czasu, podług ich rozumu, ale warjaci. Mogłem być ich królem i nie chciałem. Dlaczego? Jak? Kiedy się lepiej poznamy, sam przyznasz mi słusność. Ale zostawmy to na później. Obyczajem świata, zaczniemy rozmowę od pogody. Wybrałeś pan do wędrowki prześliczną chwilę, tylko niepewną.

— Bardzo tego żałuję, — odpowiedziałem — widoki cudne, potrzeba wiele swobodnego czasu, żeby się niemi nasycić.

— Masz pan słusność. Okolica prześliczna, ale to tylko ciało; cóż, gdybyś pan duszę zobaczył! Jaka olbrzymia, jaka wzniosła! Genjusz ożywiłby nią dwadzieścia milionów. Tylko, że to jest tajemnica, wielka, zaklęta tajemnica. Krocie ludzi rodzą się i umierają pod

bokiem tych gruzów, a żaden ani się domyśli ich prawdziwej wartości. „Gruzy i gruzy! — powiadają oni — Stare, okazałe, to prawda, ale nic więcej, tylko gruzy jakiegoś zamku.“ A ja panu powiadam, że to gruzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu. Gdyby mi wolno było podnieść ich zasłonę, świat z boleści wziąłby się za włosy; zobaczyłby pod nimi przestrzeń pustyni większej, jak Sahara, w każdym kamieniu trupa, w każdej warstwie muru pokolenia wymordowane, zobaczyłby rzeki z łez i krwi; ich wysokość myślą jedynie musiałby zgadywać; wieża Sennaru pigmejczyk przed nimi. Jest to coś, jak majestat narodu.

— Wierzę panu.

— Nie dziwiłbym się, gdybyś nie wierzył; za krótko jesteśmy z sobą. Ale później, może... tu zatrzymał się i nagle przeszedł z widocznym umysłem do innego przedmiotu.

— Podśluchałem wiersz pana. Nie przepraszam go za to. Wszak jestem tu królem, mam prawo i powinność wszystko widzieć i słyszeć, co się w mojem państwie dzieje. Nie powinienesz urażać się o to; nie straciłeś pan na mojej ciekawości. Z tej jednej chwili poznałem go lepiej, niż gdybyśmy sto imienin razem obchodzili. Widzę u pana usposobienie bardzo dla niego pochlebne, a które daje mu prawo... Nagle zatrzymał się i patrzył mi w oczy długo, okiem, ani na chwilę nie zmrużonem, bystrem, przenikającym duszę w różnych kierunkach; zawołał potem:

— Tak, możesz pan śmiało pytać o wszystko, co się tyczy mojego królestwa, objaśnię go, o ile mi wolno.

Podziękowałem w krótkich słowach i zacząłem od sprawdzenia już mi wiadomych szczegółów.

— Ten zamek — rzekłem — Firlej podobno założył za panowania któregoś z Zygmuntów.

— Firlej! Zygmunt! — powtarzał Machnicki z uśmiechem przekąsu — Bajki! Ale nie tu miejsce mówić o tych rzeczach. Tu każde echo złapałoby moje słowo, a tysiąc wiatrów nieprzyjaznych rozniosłoby je natychmiast. — O, mam ja potężnych nieprzyjaciół i tutaj, jawnych i utajonych, — muszę być ostrożnym. Gdybym panu powiedział ostatnie słowo tych gruzów, spędzonoby wszystkie pułki piekielne, aby ich ślady nawet zdeptać. Ale od czegoż mądrość stanu? Muszę dyplomatyzować.

W tem miejscu muszę przyznać się czytelnikowi, że dotąd jeszcze uważałem Machnickiego za zwyczajnego oblakańca i stosownie też przyjmowałem monetę jego mowy. Jego więc odpowiedzi, zboczenia, uniesienia się, nie przerywały głównego ciągu mojej myśli, nie psuły szyku zapytań, na które przedewszystkiem chciałem mieć odpowiedź; dlatego mówiłem dalej:

— Powiadają, że jeszcze niedawno znaczna część zamku była mieszkalną?

Machnicki milczał.

— Największą część rozebrano podobno na inne budowy w okolicy? Postawiano kościoły, kamienice, stajnie! Co za świętokradztwo! Mówiono mi jeszcze, że przed laty kilku były tu komnaty zupełnie całe? W tych okolicach miały być wielkie bitwy?

Machnicki wciąż milczał, tylko się coraz widoczniej zachmurzał, czasem wyrzekł: „tak“ — lub „nie“, — porwał się potem z miejsca i zawołał:

— Po mojem królestwie nie można podróżować zwyczajnym sposobem wędrowców. Są pewne formy, których nie wolno przelamać. Chodź pan ze mną —



niebo coraz się bardziej zachmurza, będziemy mieli burzę, korzystajmy z pogody.

Przyszliśmy tedy pod jedną wieżę okrągłą, poszczerbioną, ale jeszcze znacznej wysokości.

— Masz pan mocną głowę? Umiesz drapać się po murach? Wejdziemy na tę wieżę.

Zmierzyłem, opatrzyłem ją i widziałem, że po jej szczerbach, jak po schodach, można się na sam wierzch muru wydostać, przystałem więc na żądanie Machnickiego. On przodkował z nadzwyczajną zręcznością; po chwili staliśmy na szczycie, nad wysokość reszty zamczyska, wyżej niż wierzchołki drzew okolicznych, z widokiem swobodnym na wszystkie prawie strony.

— Co za widok! — zawolałem — Sądzę, że promień jego ma przynajmniej kilka mil długości.

— Kilka mil! — powtórzył Machnicki, patrząc mi w oczy. — I to poeta tak się wyraża? Poeta tyle tylko widzi? A ja, kiedy tu wejdę, kiedy położę oko na tych górach i trącę je myślą, wnet lecę chmurą grzbietami całego łańcucha Karpat, ocieram się o morze Czarne, przepływam Dniepr, biegnę drugim jego brzegiem, ponad Dźwiną przechodzę do Bałtyckiego morza, płynę jakiś czas morzem, zawijam w ujście Odry, i ponad Odrą wpadam znowu na Karpaty; a zawsze pilnując się krawędzi tego horyzontu. — Rozumiesz mię pan?

— Nie wiem, czy tyle, ilebyś pan chciał być zrozumianym.

W tej chwili na twarzy Machnickiego objawiała się jakaś dziwna wewnętrzna walka, jak żeby słowa ogromnego znaczenia darły się do ust, a myśl tajemnicy gwałtem je zatrzymywała.

— Nie, nie! — zawołał wkońcu — Lepiej być niepojętym, jak narażonym na zdradę.

Wnet postrzegł się, że wybuchnął z czemś niewła-



ściwem, zwrócił się ku mnie, wziął z dobrocią za rękę i pytał:

— Co ja powiedziałem? Może niedorzeczność. Przebacz pan! — Wszak wiesz, że m warjat — i ja to wiem. Ja sam często postrzegam, że mi się wymknie słowo, ni przyszył, ni przyłatał, jak powiadają. To warjacja, warjacja! Ale to nie warjacja, że potrzeba tak widzieć, jak ja widzę z tego miejsca, aby je pojąć. Wtedy dopiero wiedziałbyś pan, jak przyjmować powszednie bajeczki, które nam naklektano. Chodźmy stąd.

Spuściliśmy się znowu na dół w milczeniu. Przez ten czas rozważając w duchu dziwną istotę Machnickiego, mniemałem dostrzec w nim przeważający żywioł poetycki, który przy osłabionych innych władzach umysłu panował nad nim tem silniej i stał się dla jego duszy szkłem optycznem, pokazującym jej cały świat w postaciach powiększonych i upięknionych za rzeczywisty; widziałem, że go razila moja prozaiczna szczerota, od-tąd więc postanowiłem być z nim poetą. W tem zamysłeniu postępowałem w głąb zwalisk, kiedy Machnicki wstrzymał mię:

— Za pozwoleniem! — rzekł — Panu wolno tu błądzić, ale nie mnie. Pan nie widzisz, jak ja, przeszłości; nie widzisz tu, jak ja, jej śladów; ciężkobym przewinił, żebym się ich nie trzymał; okropniebym za to odpokutował. Chcesz pan mieć wyobrażenie mojej kary? Pójrzyj na te miliony dokoła. Zresztą, jako król, mam także moje dworskie obrzędy, których się trzymać i których przestrzegać muszę.

Zwróciliśmy się więc nazad, w kierunku południa, i wyszliśmy zupełnie za obręb gruzów. O kilkanaście kroków leżał ogromny głaz samorodny. Machnicki pod-prowadził mię ku niemu i rzekł:

— Przedewszystkiem cześć grobom! Tu, pod tym kamieniem, leży ostatnie półtora wieku. Olbrzymie zwłoki — nieprawdaż? Kto nad nimi nie pomodlił się, ten, jak niegodny, niepoświęcony, wchodzi do tego zamku, do całej przeszłości. — Poczem zdjął kapelusz, ukląkł, dał mi znak, żebym to samo zrobił; wpatrzył się w kamień nieznacznie, twarz jego zmieniła się w bryłę bez wyrazu prawie życia, jak żeby duszę uniosło jakieś zachwycenie daleko od ciała; mimo to rżesne łzy posypały się z oczu, a usta, jakby obcym głosem, jakby poruszone zewnętrzną sprężyną, przemawiały te słowa:

— Każesz! Słucham. Jeszcze raz posiewam cię łzami. Na łzach mech wyrasta, ze mchu ziemia. W ziemi skrywa się ziarnko, z ziarnka strzela drzewo — tak Karpaty lasami porosły, — tak ty, grób, porośniesz nowym życiem. Płyńcie, łzy! Policzą was kiedyś, zapłacą!

Skończywszy ów dziwny monolog, był jeszcze jakąś chwilę w stanie zewnętrznego odrętwienia; powoli ruszył okiem, życie wróciło do twarzy, powstał, pojrzał na mnie, i, obcierając ślady łez, zapytał:

— Płakałem? Nie dziw się pan — ile razy je widzę, tyle razy płakać muszę. Ale i to paroksyzm wargacji, powiedzą sąsiedzi; nieprawdaż? O, gdyby każdy z nich miewał podobny przynajmniej raz z rana, a raz w wieczór, ten zamek stałby jeszcze cały, a przynajmniej już odbudowany. Widzisz pan dokoła te głązy? Wszystkie to są groby, ale jakie groby! Całe zastępy bohaterów, czyny wiekowe, miasta, wieki, kraje, leżą pod nimi. Ten na boku naprzykład, u samego wchodu do zamku, kryje wyprawę wiedeńską... Ale za mało dziś czasu na obejrzenie całego cmentarza, burza nam przeszkodzi.

W samej rzeczy, im wyżej słońce się podnosiło,

tem większy zaduch napęłniał powietrze, chmury gęstniały i grzmot burzy co chwila groził.

— Przebyliśmy święty próg zamku, możemy wejść wewnątrz! — rzekł Machnicki i szedł przodem.

Ostatnia scena przy głazie wpłynęła osobliwym sposobem na mój umysł, uderzyła naprawdę w poetyczną strunę duszy. Jakkolwiek poetyczność Machnickiego objawiała się zanadto może jaskrawo, była nią jednak, i przepłynęła do mojej fantazji, pozwólmy, że, jak tchnienie zarazy. Owo przeobrażenie głazów prostych w podobne nagrobki zdało mi się być pomysłem tak pięknym, otwierało takie pole fantazji, że mimowiestnie wszedłem w świat Machnickiego. Kupa gruzu przemieniła się dla mnie w zamek, jaki był przed wiekami; ściany się podniosły w rozgrody pokojów starożytnych, wysokich, chmury opadły, jak sklepienia, wyciągnęły się długie kurytarze, wyrosły z ziemi kolumny, a na nich rozwinęły się krużganki, okna pojrzały różnobarwemi szybami, cały gmach odetchnął przeszłym życiem, w każdej części zmartwychwstały ślady mieszkańców. Głuchy odgłos dalekiego grzmotu było to echo naszego stąpania po brzęących posadzkach. Nie spotykamy wprawdzie nikogo, wszędzie pusto i głucho, ale ta pustka, ta cisza, są chwilowe: pan zamku wyjechał gdzieś z całym dworem, ale wróci. W możność takiego złudzenia nie wszyscy uwierzą; ale są, którzy je pojmą: krótko trwa ono, ale się przytrafia obłąkanym i poetom. Byłem właśnie w jego pełni, kiedym ujrzał w jednym oknie rosnącą brzoźkę. Jej korzeń trzymał się wewnętrzznego gzymsu, a wierzchołek nazewnętrz za okno wychodził; gałęzie wisiały tak posępnie, biała kora tak żywo przypominała biały strój kobiecy, że mimowolnie zawołałem:

— Jaka smutna! Jak gdyby wyglądała kochanka! Biedna!

— Kto taki? — zapytał mię zdumiony Machnicki.

Postrzegłem się, odpowiedziałem więc, uśmiechając się:

— Nic! Nic! Przywidzenie! Nic więcej. — Naglił powtórne zapytaniem, wyznałem, że w brzozie wyobraziłem sobie dziewicę.

— Cyt! — rzekł zcicha — Wyjdźmy stąd!

Ledwośmy odeszli, rzucił się na mnie z mocnym uściskiem i wołał:

— To nie złudzenie, to rzeczywistość, cud grobu, laska grobu z panem. Czy wiesz, kogo widziałeś? — zapytał, uspokoiwszy się nieco. — To królowa Jadwiga. A widziałeś ją w najważniejszej chwili jej życia. Serce jej rozdarte najboleśniejszą raną. W jedną stronę ciągnie ją miłość Wilhelma, w drugą miłość narodu. Przemogło poświęcenie się dla narodu, ale boleść nie ustała. Wygląda z trwogą przybycia Jagielly, przyjmuje go, jak męża i pana, ale łzy dla kochanka płyną. Szczęśliwy, kto ją widział w tej chwili, choć raz w życiu; widział on tryumf miłości narodu. Szczęśliwy jesteś. Dusza twoja przejrzała, spodziewałem się tego. Odtąd jeszcze otwarciej będziemy z sobą. I mnie ten widok nie obcy, ale rzadki. Najczęściej przedstawia mi się, jak drzewko. Między nami gadają, że to wszystko było gdzieś tam, w jakimś Krakowie. Nie wierz temu: i Kraków tutaj, i cała ta scena tu się odbywała. Wiem to z jej ust własnych.

— Pan z nią rozmawiasz?

— Czy ja z nią rozmawiam! A pocóż byłbym królem tego zamku? Jeśli w nim żyję, to dlatego, że

i on żyje. Nic tu niema, coby nie żyło dla mnie, coby ze mną nie rozmawiało! O, jak mię nieraz bawią, a najczęściej gniewają ci powszedni ludzie, którzy tu czasem, nie wiem poco, przychodzą. Dla nich te drzewa, kwiaty, murawa, nic więcej, jak tylko zwyczajne drzewa, kwiaty i murawa. Biedni, gdyby im Bóg otworzył oczy, gdyby się chcieli porozumieć ze swoją duszą, padaliby tu na twarz przed każdym kwiatkiem, całowałiby w nogę każde drzewo, nie śmieliby stąpać po tej murawie. Zamieszkaliby tu chętnie na całe życie, i przez całe życie nie napatrzyliby się, nie nasłuchaliby się tego, co się tu działo i dzieje.

Tymczasem przewidywana burza podniosła się na wysokość zamku, powietrze całkiem ściemniało, grzmoty i błyski coraz bliżej się objawiały, i wiatr z niezwykłą się podniósł gwałtownością. Nie spodziewając się takiej i tak prędkiej nawałnicy, nie zapewniłem sobie schronienia; począłem więc być niespokojny i zapytałem Machnickiego, czy nie wie gdzie bliskiej chaty, w którejbym bezpiecznie przeczekał pierwszą natarczywość burzy.

— Bądź pan spokojny! — odpowiedział — Jestem królem w mojem państwie, wszystko już obmyślane. Nie każdemu bym to zrobił, nie zrobiłem tego nikomu dotąd, ale pan masz wszelkie prawo do mojej gościnności, pod jednym warunkiem:

— Pod jakim?

— Dasz mi najuroczystsze słowo, że nikt nie dowie się z jego przyczyny o miejscu, w którym się schrońmy.

Dałem słowo z chęcią.

— Chodź pan za mną!

## IV.

## PODZIEMIE.

Związany słowem, danem przed chwilą Machnickiemu, muszę zawiesić na zawsze ciekawość czytelnika i zostawić w tem miejscu przerwę opowiadania, której może nigdy nie zapelnę. Wolno mi tylko powiedzieć, że, nie wychodząc z obrębu gruzów, zatrzymaliśmy się nad głazem znacznej wielkości. Machnicki zlecił mi obejrzeć się na wszystkie strony, czy nie jesteśmy widziani przez kogo obcego, a kiedy, to dopełniwszy, zwróciłem się ku niemu, ujrzałem ów kamień już podniesiony, a na jego miejscu ciemny otwór pod ziemią.

— Spuszczaj się prędko! — zawołał.

Zrobiłem, jak kazał, on skoczył za mną; w okamgnieniu kamień znowu zapadł i zostaliśmy w zupełnej ciemności.

— Taka jest brama mojej stolicy — rzekł Machnicki. — Idź pan za inną, trzymaj się ściany, a pamiętaj, że mamy przed sobą dwadzieścia schodów.

Szedłem, trzymając się kroków przewodnika, macając ścianę i licząc stopnie. Schody były wygodne, szyja podziemia tak wąska, że ledwie dwóch ludzi obok siebie pomieścić mogła, bez trudu więc szedłem. Na dwudziestym stopniu zatrzymaliśmy się; Machnicki skrzesał ognia, zapalił lampę, stojącą w małej framudze, jakby umyślnie na to wykutej, i przemówił:

— To pierwszy dziedziniec mojego pałacu; cóż myślisz o nim?

Powiodłem okiem dokoła i widziałem niekształtną jaskinię, obszerności tak nieznacznej, że jeden rzut oka z któregokolwiek punktu mógł ją całą ogarnąć, chociaż przy świetle tak słabem, jak blask lampy. W utworzeniu jej nie widać było śladu sztuki; pod ścianami stały

lub leżały ludzkie kości, na ścianach wisiało kilka zbroi starożytnych, mocno zardzewiałych.

— Zapewne to straż pałacowa? — rzekłem.

Machnicki potwierdził mój domysł skinieniem głowy. Głównie jednak zwróciły moją uwagę drzwi dosyć wielkie, żelazem pokryte, leżące po lewej ręce naszego wchodu.

— A to musi być wejście do podziemnego przechodu, o którym powiadają, że się aż pod Krosno ciągnie?

— Może i dalej — odpowiedział Machnicki obojętnie.

Po krótkiem zatrzymaniu się przystąpił do innych drzwi, podobnych pierwszym, a leżących przed nami, dobył klucza, otworzył je, sprowadził mię o kilka stopni niżej do innej jaskini, obszerniejszej nierównie niż poprzednia. Z pierwszego wejrzenia zgadłem, że to było jedno z owych okropnych więzień, które koniecznie wchodziły do budowy dawnych zamków; jeszcze wisiały szczątki łańcuchów na żelaznych kółkach, wpuszczanych w kamień na ołów. Machnicki, nie dając mi czasu do rozpatrzenia się, uchylił jedne z licznych drzwi pobocznych, wprowadził mię do nowej kryjówki z tajemniczem milczeniem, zapuścił w jej głębie wyciągniętą rękę z lampą, a ja wyraźnie ujrzałem pod ścianą drewniane i żelazne narzędzia tortur.

Mimowolny dreszcz przebiegł ciałem, włosy stanęły na głowie, cofnąłem się za drzwi, jak popchnięty. Okropna przeszłość miejsca zawisła przed myślą, jak czarna zasłona, a tłem jej przesuwały się w ognistym malowidle sceny tyranji, jakich kiedykolwiek nazywałem się lub nasłuchiwałem w opisach miejsc podobnych, jakie tylko wyobraźnia, przerażona ich widokiem, utworzyć sobie potrafi. Wrażenie to zagrało naraz we



wszystkie zmysły: w powietrzu uczułem duszącą woń trupiej zgnilizny, każde uderzenie stopy o twardą posadzkę, odbite echem jaskini, zamieniło się w jęk przeciągły, ciemność i światło lampy, połamane wzajemną walką, wyglądały z poza kolumn samorodnych i z załomów skalistej ściany postaciami ofiar mniej więcej wyraźnemi, blademi; jak żyję, nie miałem podobnego widzenia.

Machnicki stał ciągle w izbie tortur; szybko zbliżyłem się ku niemu, a ujrawszy przed nami nowe drzwi, napół uchylone, chciałem wyjść przez nie i pociągnąłem za sobą Machnickiego. — O, nie! — odezwał się Machnicki głosem uroczystym — Z tego miejsca nie było i niema wyjścia, chyba tamtędy.

Na tych słowach otworzył doreszty drzwi uchylone i wskazał za niemi stos kości w dole, a w górze wąski otwór, przez który wpadało cokolwiek dziowego światła:

— Jest to cmentarz więzienia!

— Wychodźmy stąd! — zawołałem z niecierpliwością. — Wychodźmy którądykolwiek, bylebyśmy wyszli — i, drżąc mimowolnym dreszczem, ciągnąłem wtył Machnickiego.

On, przeciwnie, miał twarz ciągle obojętną, zimną; uległ mi jednak i wrócił do jaskini więzienia, ale tutaj zatrzymał się, utkwiał we mnie przenikające oczy i mówił powoli, zatrzymując się na pewnych wyrazach, niby przywiązując do nich większą wagę.

— Tak, jest to więzienie zamkowe. Miejsce okropne, okropniejsze może, niż ci się wydaje, bo nie widzisz w niem nic więcej nad więzienie zamku, a ja... ja coś więcej tu widzę. Jestem jednak spokojny, przynajmniej taki, jak zawsze, a ty drżysz, jesteś cały zmieniony. Dziwi mię to. Cóż lepszego twój świat, w któ-



rym żyjesz? O rozumni ludzie, jacy wy zabawni, dziwni! Nie obudzisz ich pojęcia, nie domacasz się ich duszy, dopóki nie skupisz wrażeń w jeden piorun i nie uderzysz ich zmysłów, jak piorunem. We wszystkim zmysły, nigdzie duszy. Nigdzie duszy, któraby swoją potęgą ogarnęła przestrzenie i miliony, skupiła je w mikroskopie jednej myśli, jednego uczucia. Daj mu za więzienie obszar kilku tysięcy mil, a ma się za wolnego; morduj około niego tysiące, niech tylko nie słyszy ich jęku, nie widzi ich trupów, a będzie dobrze jadł, spokojnie spał, będzie wesoły, szczęśliwy, jak w raju. Dopiero, kiedy go wprowadzisz między ściany jaskini, kiedy mu pokażesz kości zamordowanych, zabrzęczysz w uszy łańcuchami, kiedy mu powiesz: „Oto twój świat, oto twoje życie“ — dopiero wtedy ocknie się, zadrży, jakby mu powiedziano coś nowego; i tacy ludzie mają być ludźmi zdrowego rozsądku, silnych zmysłów? A ja ci powiadam, że to są ludzie zmysłów zużytych, niedołężnej myśli, skrępowanego ducha. Cała ich mądrość, że znają kilka liter zmysłowych; nie mają wyobrażenia o języku duszy, bez którego i sam się nie nauczysz, i nie nauczysz drugich nic szlachetnego, nic wzniosłego.

Zatrzymał się chwilę, a zmieniając nagle ton głosu i cały wyraz twarzy w łagodniejszy:

— Przebacz! — zawołał — Przebacz warjatowi to kazanie. Nie do ciebie ono wymierzone. Nie kładę ciębie narówni z resztą ludzi. Daleś mi już niejeden dowód, że dusza twoja ma widzenie silniejsze, rozleglejsze: nie jest na łasce zmysłów. Gadałem sobie ot tak z potrzeby wygadania się, w chęci jak najbliższego poznania się z tobą; gadałem, bo to jest rozkosz pomówić z człowiekiem, który nasz język zrozumie. — Teraz pójdziemy dalej.

Mimo wszystkiego, co Machnicki dopiero powie-

dział, opuściłem więzienie z prawdziwą przyjemnością. Wróciliśmy drogą, którąśmy przyszli. Zatrzymaliśmy się znowu w jaskini wyższej, przede drzwiami, o których już wspominałem, a które według wszelkiego podobieństwa zamykały podziemną wycieczkę z zamku na zewnątrz.

Drzwi były mocne i ciężkie; z głuchym zgrzytem ustąpiły pod Machnickiego ręką i odsłoniły nam nowy kurytarz, dosyć przestronny, przykro wdół spadający; jakoż po kilku krokach zaczął się nowy szereg stopni, prowadzących coraz głębiej. Skracając, o ile można i trzeba, opowiadanie, nadmienię tylko, że przebyliśmy pięć czy sześć jaskiń rozmaitej wielkości i tyleż pięter schodów mniej więcej licznych. Głębokości, w jakiej byliśmy, po niczem zmiarkować nie mogłem, zdawała mi się jednak ogromną. Szliśmy ciągle podziemiem skalistym. W niektórych miejscach ślad ręki ludzkiej był widoczny, częściej samorodna objawiała się przyroda. Uważałem czasem mniej więcej obszerne w ścianach otwory, z których domyślałem się różnokierunkowych rozgałęzień tegoż samego przechodu. Szliśmy w takim milczeniu, że przewodnik nie odpowiedział nawet na kilka zapytań, które mu w ciągu tej wędrówki zrobiłem. Było w tem milczeniu coś uroczystego.

W dziwny też stan przechodziły wyobrażenia, dusza i wszystkie moje władze; kto nie był w podobnem położeniu, ten nie zdoła utworzyć sobie jego pojęcia. Na to potrzeba znajdować się o sto przynajmniej sążni pod ziemią, wśród skał nagich, dzikich, jednostajnych, ze wspomnieniami tylko dniowego światła i żyjącej przyrody, w ciszy tak zupełnej, że odgłos burzy, nieustannie piorunującej z całą potęgą, wyraźny z początku, głuchnąc stopniami, objawiał się teraz jedynie w ciągłym prawie drzeniu ziemi i dziwnym jakimś brzęku

głazów, którego po żadnym wiadomym nam dźwięku wyobrazić sobie nie można. Nie pojmowałem równie, dlaczego mimo większej coraz głębokości odgłos ten zamieniał się w coraz wyraźniejszy huk piorunów. Nagle huk ten rozległ się grzmotem tak silnym, jak żebyśmy zwyczajną tylko ścianą przedzieleni byli od reszty świata.

Machnicki zatrzymał się; w twarzy jego ujrzałem podniesienie ducha, promieniące na tle pogodnego, cichego zadowolenia, a w całej postawie coś tryumfalnego.

— Słyszałeś ten piorun? — zapytał mnie.

— Słyszałem.

— Wiesz, co on znaczy?

Odpowiedź w duchu zapytującego niełatwa była. Machnicki, bądź widząc mój kłopot, bądź przez zwykłą sobie żywość, która często nasuwała mu rozwiązanie własnych jego zapytań, przyszedł mi teraz w pomoc.

— To strzał powitania! — odpowiedział — Powitanie królewskie, nieprawdaż? A tę niespodziankę winien jestem mojemu gościowi — tak, tobie, jak na ten raz, jestem ją winien, mój gościu szanowny! — dodał, ściskając mię serdecznie za rękę. — Za chwilę sam to pojmiesz.

Po tych słowach postąpiliśmy naprzód kilka kroków, stanęliśmy przed niewielkimi drzwiami; Machnicki otworzył je lekkim ku sobie pociągnięciem i wprowadził mię do nowej jaskini.

Tu obracając się do mnie, rzekł z pewną urzędową powagą:

— Nakoniec jesteśmy u celu naszej wędrówki. Otóż i stolica króla zamczyska. Stolica, pałac, więzienie, piekło, raj, co chcesz. Ale o to mniejsza, dosyć, że cię witam w tej chwili, jak gospodarz gościa, jak brat

brata; powitanie królewskie na później zostawimy. Jesteś znużony, nieprawdaż? Odbyłeś przechadzkę mordującą, pora późna, lekki posiłek nie zawadzi, wszak tak? Pozwolisz więc, że zacznę od ugoszczenia podróżnego. Gościnność to cnota naszych przodków rodzima, wielka, święta, jeden z klejnotów domowego ich życia. Znam całą wartość podobnych skarbów; nie pozbyłbym się najlichszego z nich za nic w świecie: to podstawa publicznej narodowej potęgi. A jeżeli kto, to król powinien dawać przykład troskliwości o nie. Siadaj więc i spocznij! Albo lepiej, zostawiam ci zupełną wolność. Jesteś zapewne ciekawy rozpatrzeć się w moim pałacu. Rób, co ci się podoba, ja tymczasem zajmę się posiłkiem.

To pozwolenie było mi bardzo na rękę. Pałac Machnickiego, jak go nazwał, zasługiwał zewszemniar na bliższe rozpatrzenie się, sądzę nawet, że rysem jego dogodzę potrzebie czytelników, którzyby mieli dłuższą cierpliwość towarzyszyć aż do końca mojemu pobytowi z Machnickim.

Jaskinia ta była obszerniejsza, jak wszystkie zwiedzone dotąd; miała ona kształt wielokąta okrągłego, około pięćdziesięciu stóp obwodu, ile od oka sądzić mogłem. Do jej budowy wchodziły dwa ogromne głazy, poziomo względem siebie leżące; niższa, główna część pieczary wykuta była w głazie spodnim, wierzchni zaś, wyżłobiony wklęsło, tworzył sklepienie; rozdzielała je szeroka szczelina, opasująca niby gzymsem całą jaskinię. Szczelina ta, w stronie przeciwległej drzwiom wchodowym rozszerzona sztuką w okrągłe otwory, a zresztą założona kamieniami, zamieniała się w samorodne okna, które przez swój kształt lejkowaty nazewnątrz jaskini dawały swobodny widok na ogromne płaszczyzny, u stóp zamkowej góry leżące, i wpuszczały

wewnątrz tyle dniowego światła, ile go potrzeba było, aby się obejść bez sztucznego oświecenia. Dotąd dwa takie okna widziałem; za ich pomocą przekonałem się, że góra z tej strony zbiegała urwisto do dołu. Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie pieczary dziwny miało pozór: ściany, sklepienia, posadzka nawet, były mchem nałożone tak grubo, że widok głazu ginął pod nim zupełnie. Kątowatość ich obwodu tworzyła kilkanaście ścian, z których co druga ściana wyrobiona była w głęboką framugę. Ściany wystające ozdobione trofeami ze strzał, mieczów, strzelb, pancerzy i innej broni, bądź dawnej, bądź nowszej, tak, że to ubranie dawało pieczarze pozór zbrojowni, a przynajmniej jakiegoś muzeum rycerskiego; gdzieniegdzie wisiały herby kamienne, ocalone widać resztki z gruzów zamczyska, kilka starych portretów, a nawet kości ludzkie pomieszane w trofea broni. Szczelinę, o której wspominałem wyżej, że opasywała pieczarę naksztalt gzymsu, przyozdabiał łańcuch kul rozmaitej wielkości, poprzerywany w odstępach wymierzonych trupiami głowami, co wszystko razem dziwny przedstawiało widok i niepojęte robiło wrażenie. Za ramy do framug służyły pęki młodych drzewek: każdy pęk, przewiązany w połowie swojej wysokości, rozdzielał się od przewiązki na dwie części i wierzchołkami ich łączył się na obie strony z pękiem najbliższym, w tenże sposób urządzonym; tworzył się stąd dokoła pieczary szereg kolumn i łuków gotyckich. Nadto pod każdą ścianą były wygodne siedzenia z kamienia, jednorodnego ze ścianami. Framugi zasłonięte makatami i adamaszkami, ocalonemi widać szczątkami zamkowych obić.

Najmocniej zajęła mnie framuga, naprost drzwi wchodowych leżąca. Po obu stronach jej otworu stały dwa szkielety, odziane całkowitem uzbrojeniem daw-

nych husarzy, z kopjami tak nachylonemi ku sobie, że proporce ich, zwisłe aż do ziemi, układały się w rodzaj zasłony. Nad wnijsciem wisiał rozpięty orzeł rzeczywisty.

Idąc od tego miejsca ku drzwiom lewą stroną pieczary, w najpierwszej z porządku framudze znajdował się mały księgozbiór; składał się on z kilkuset książek, między którymi największa część, jak mi się zdawało, starych kronik; na środku stał stolik do pisania z całym stosownym przyborem i wygodnem staroświeckiem krzesłem. Sam stolik, roboty prostej, ale dosyć starannie ogładzony, leżał na czterech klockach, korą okrytych, po dwa w głoskę X związanych; a tak był ustawiony pod jednym ze wspomnianych okien, że pasmo światła jak raz na niego padało i pracującego przy nim oświecało dostatecznie. Na stole leżała ogromna księga, w większej połowie zapisana. W następnej framudze była sypialnia Machnickiego: za łóżko służyła ogromna kamienna płyta, wzniesiona o pół łokcia nad posadzkę i grubo mchem usłana; pościel zaś składała się z łosiej skóry, poduszki skórzanej i koca do przykrywania się.

Co się tyczy innych framug, wszystkie prawie służyły za skład jakiś: i tak jedna wypełniona była materjałami, potrzebnymi do stolarki, ślusarki, szewctwa, krawiectwa; w drugiej złożone były stosowne do różnych rzemiosł narzędzia, jako to: siekiery, heble, piłki; w dalszych mieściła się spiżarnia: składała się ona z owoców, nabiału przyprawnego, suchych ryb, wędzonych mięs, jarzyn, chleba i tym podobnej żywności. O ile opisane miały pozór powszedni, o tyle zajęła mię ostatnia. Leżała ona po prawej ręce miejsca zasłoniętego proporcami, pod oknem do pierwszego podobnemi, odpowiadając bibliotece. Miała kształt półokrągły; wysłana była mchem, jak cała pieczara, tylko nierównie

ozdobniej i smakowiciej, a na tło mchu rozrzucono konchy, muszle, świecące kamyki, szkła różnokolorowe, robaczki o błyszczących skrzydełkach i tym podobne. Głównie jednak przyozdabiało ją okrągłe źródło; leżało ono wśród posadzki, jak okrągłe lustro: zrównoważony przypływ i odpływ wody utrzymywał je w stanie wiecznego wygładzenia; dodawało mu blasku okno, jakby umyślnie na to wyrobione, ożywiał zaś lekki, podziemny szelest, który szeptał o tajemniczych drogach jej nurtów, a nie kłócił bynajmniej spokoju powierzchni. Musiała to być godowa izba Machnickiego, gdyż u dołu całej ściany wystawało półkołem kamienne siedzenie, a siedzenia dotykał stolik, umieszczony jak raz na jego połowie; w tej chwili stało na nim śniadanie, do którego właśnie mię wezwano. Wprawdzie dostarczyła go tylko spiżarnia Machnickiego, nie było tam nic więcej oprócz sera, masła, owoców, mięs wędzonych i chleba, a za cały napój woda, pod bokiem stojąca, ale tak potrzebowałem jakiegokolwiek pokarmu, spotkałem się z nim w tak dziwnem miejscu i położeniu, zawezwano mię z taką serdecznością, że w całym życiu nie pamiętam chwili jedzenia przyjemniej spędzonej. Mogłem oddać się zupełnie tej przyjemności, bo uprzejmy gospodarz wziął na siebie wszystkie niedogodności podobnej we dwóch biesiady, nawet rozmowę; przedmiot jej sam się nastroczał.

— Skromny posiłek, — mówił on — skromny, a nawet lichy, to prawda; ale królewski, wysoce królewski. Komuż przystoi bardziej żyć podobnie, jeżeli nie królowi, jeżeli nie takiemu, jak ja, człowiekowi, który z wysokości swojego stanowiska ogarnia, a przynajmniej powinien ogarniać miliony biedaków, widzieć wszystkie ich potrzeby, czuć wszystkie nędzy. O tak! Niech mi się w truciznę zamieni pierwszy kąsek, który



pożyję bez koniecznej potrzeby, niech mój żołądek na wieki się zamknie, jak tylko zażąda zbytkowego pokarmu. Jem tylko tyle, abym żył, tylko tyle, w całym znaczeniu tego wyrazu. Zresztą odwykłem od waszych przyprawnych potraw. Zginałbym, gdybym zechciał żyć po waszemu. Zaszedłem z przyrodą tak daleko w tak bezpośrednie stosunki, że jużbym nie mógł prze niewierzyć się jej bezkarnie. Grzeszę jednak czasami, ale Bóg świadkiem, że mimowolnie. Kiedy niekiedy muszę zamieszać się pomiędzy ludzi, bo zwykle całe zimy pomiędzy nimi przepędzam, dla spraw mojego królestwa, a wówczas, rad nierad, muszę zastosować się, choć w części, do ich sposobu życia. O, gdybyś wiedział, jak drogo muszę opłacać te wykroczenia; ciężko pokutuję za nie. Pomijam choroby, tortury ciała; ale umysł, serce, dusza, wszystko idzie pod chłostę, umysł gaśnie, serce stygnie, dusza wpada w jakiś dziwny zawrót, opuszcza mię cała moja królewskość; nieraz jestem już bliski zostać jednym z waszych rozsądnych. Dzięki Bogu, że to wszystko trwa pewny czas tylko; pokuta przemija, jednam się z przyrodą, państwo wraca do posłuszeństwa, i jestem znowu królem, jak byłem. Ale o to mniejsza. Jakże znajdujesz moje królewskie mieszkanie?

— Prześliczne! — odpowiedziałem bez namysłu — Dziwne! Tak poetyczne, że opis jego może się wydać zmyśleniem; jednym słowem godne całego państwa i jego władcy. A uwielbieniu temu równa się ciekawość...

— Rozumiem, — przerwał Machnicki — chciałbyś wiedzieć, skąd się ono poczęło i jak przyszło do tego stanu? — Będiesz to wiedział w swoim czasie; przebac, że nie zaraz. Powieść za długa, a rzecz ważna, jedna ze świętych dla mnie tajemnic; ubliżyłbym jej, gdybym ją wyłożył na stół zamiast wetów. Żeby ją



godnie opowiedzieć i usłyszeć, potrzeba stosowniejszego miejsca i pory, niż chwila jedzenia i stół, zastawiony jadłem. Ułatwimy się wprzód z jednym.

Nieposłuszeństwo byłoby niewczesne i bezskuteczne; poszedłem więc w milczeniu za radą gospodarza; wiedziałem nadto, że nie stracę na tem, jeśli mu zostawię zupełną swobodę postępowania. Skłonność wywnętrzenia posuwała się w Machnickim aż do namiętności, aż do słabości; poddawał się jej tem swobodniej, z tem większą rozkoszą, im powolniejszego znajdował słuchacza; wtedy powiedział więcej, niżby chciał powiedzieć. Powinienem jeszcze wyznać, że rozmowa jego bynajmniej mię nie nużyła: przeciwnie, miała szczególniejszy urok. Tyle tam było życia w głosie, tyle uczucia w każdym ruchu, tyle duszy w całej postawie, tyle wzniosłej fantazji w pomysłach, tyle trafnego sądu w uwagach, wogóle taka logiczność, ma się rozumieć, logiczność właściwa stanowisku, z którego na wszystko zapatrywał się Machnicki, tyle prawdy i pożytecznej nauki w głębi jego obłąkania, pod dziwaczną barwą panującej myśli; w samej tej myśli coś tak niepospolitego, coś tak rzecznego, że, porwany wirem improwizacji, zapominałem o królu zamczyńska, o obłąkańcu, a wchodziłem mimowolnie w stan człowieka, który czyta piękną fantastyczną powieść, lub patrzy na przedstawę jakiej fantastycznej sceny.

Znajdywałem się właśnie w podobnym stanie, kiedy Machnicki po krótkim milczeniu znowu tak zaczął z uśmiechem zadowolenia, że znalazłem jego mieszkanie, jak sobie życzył:

— Przyznajesz więc, że mój pałac jest prawdziwie królewski. Spodziewałem się tego, bo wiem, że patrzysz

okiem duszy niepospolitej. Ale dotąd widzisz tylko ciało; nabierze ono większej wartości, kiedy ci odsłonię jego duszę, bo w każdej rzeczy dusza jest wszystkim. Stąd zwyczajni ludzie w ciągłym są złudzeniu, że z powierzchowności tylko sądzą. Któryż z nich, wejrzawszy na górę zamczyska, domyśli się miejsca, w którym oto jesteście, i życia, które tu w tej chwili panuje?

„Zmyślenie! Bajka!“ — zawołaliby, gdybyś im o tem powiadał. Sami jednak wiecznie tworzą kłamstwa i wierzą kłamstwu. Naprzykład na karb tego zamku i jego króla Bóg nie wie co plotą; a wszystko tak prozaiczne, drobne, nikczemne. W niczem śladu, w niczem promyka wielkiej myśli.

Koniec końców, zamek dla nich to tylko budynek kilkuwiekowy, dzisiaj gruzy na nic nie przydatne, chyba na materiał do jakiej gorzelni. Machnicki? Ot sobie warjat, ale nic więcej, i zamykają usta spokojni, jak żeby największą prawdę powiedzieli. Nie lepsze od nich kroniki, a przynajmniej mało co lepsze. Co to za nędza te wszystkie kroniki! Wierzyłem im kiedyś, mam je dotąd jeszcze, ale dzisiaj nie wierzę. Prawda, trzeba było cudu, żeby mi się oczy otwały, ale się otwały: jestem dziś w samem źródle prawdy. Spytaj kronik o początkach tego zamku — odpowiedzą ci: „O, dawny! Kilka już wieków stoi.“ Nie wiedzą nic o tem, że on trwa od potopu. Ziarno jego przyplęnęło z wodami potopu, z raju; spoczęło w tej pieczarze, przebiło swoim kielkiem skały i wyrosło w zamek. Zczasem, zczasem zamek praojciec rozpuścił swoje korzenie podziemne, Bóg wie, jak daleko, za dziesiąte góry, za dziesiąte wody; Bóg wie, jakie zamki powstały z jego odrośli: warszawski, krakowski, gnieźnieński i krocie innych, i Bóg wie, jakie jeszcze powstaną; ale to tylko odrośle; główny ich korzeń tutaj, tutaj kołyska ich dziejów.

Zdziwisz się, kiedy ci powiem z pewnością, że tutaj mieszkali wszyscy królowie od pierwszego aż do mnie, owe Lechy, Krakusy, którzy nie byli ani takimi Lechami i Krakusami, jak nam kroniki przedstawiają, i żyli nierównie dawniej, niż pamięć naszych kronik zasięga. Tu miały miejsce najważniejsze wypadki naszych dziejów. Chwile najwznioślejsze, najrzewniejsze, najokropniejsze naszego życia mają tu swoje groby i pomniki: mówię o tych, które dziejopisowie z łaski swojej zanotowali, a dopieroż te, o których nie zasłyszeli, których ani się domyślali! I nie mogli zrobić lepiej, bo nie znali tego miejsca, nie żyli w niem, nie spoiли się z niem duszą; a tylko tutaj mogli czerpać wiadomość całej przeszłości, bo tu jest jądro naszego życia.

Powiadam ci: niema tu ptaka, któryby o tej przeszłości nie śpiewał, niema wiatru, któryby nie wzdychał jej smutkiem; niema kropli rosy, któraby jej łzą nie była; zapytaj każdego cienia chmury, co się po tych gruzach przesuwą, każdego tętentu, ilekroć nogę postawisz, zapytaj tej wody, co tam wiecznie szepce, a usłyszysz taką powieść, jakiej żaden pisarz dotąd nie wymyślił, i wymyśleć nie zdoła; trzeba tylko umieć zapytać i słuchać.

Ten orzeł, co go widzisz nad proporcami, to pierwszy orzeł biały, co się wzniósł nad tą ziemią; on jeden opowie ci całe jej życie.

Dlatego to osiadłem i zamknąłem się tutaj. Aby ratować życie, trzeba zejść do jego źródła.

Wyobraź-że sobie moją rozpacz, moją wściekłość, kiedy przyjdę do szlachcica i mówię: Mój panie, zamek coraz bardziej niszczyje! — a on mi odpowiada: „Prawda!“ — ale to takim tonem, jak żeby poświadczał, że słońce świeci, albo deszcz pada, a myślał o czem in-

nem. Zniecierpliwiony wołam: Zamek upada, powtarzam panu; trzeba go ratować wszelkimi siłami, jak najprędzej. — On zaś na to: „Niewarto zachodu“ Czasem zrobi uwagę, że będzie ładny las w tem miejscu, albo zacznie ubolewać: „Co za szkoda, że tyle gruzów, byłby kawał roli i kilka kop zboża.“

— Obląkani głową i sercem! Chcieliby wszędzie widzieć swoje liche budowy, swoje warsztaty, swoje zboże. Nie wiedzą o tem, że są miejsca na ziemi, którym jedynie przeznaczono wydawać myśl, pożywienie dusz miljonów; obróć je na użytek pojedynczego ciała, a będziesz winny świętokradztwa, popełnisz zabójstwo na duszy narodu. Ale do tego nie przyjdzie. Od czegoż byłbym królem? O, dopóki żyję, nie przyjdzie do tego. Oprę się całą potęgą mojej duszy i duszy zamku. Z ziemią, z powłoką mogą zrobić, co im się podoba, mają przemoc; ale nie dotkną życia; przechowam je, ocalę, oddam w ręce pewne, w silniejsze od moich, a wtedy biada, biada samolubom i zdrajcom!

Nagle umilkł: pierś jego robiła silnem wzburzeniem, w oczach gorzał ogień rozplamienionej duszy, marszczki czoła połamały się w tajemnicze charaktery groźby; nie widziałem dotąd wyrazu oburzenia, któryby obok tego łączył w sobie tyle dzikiej energii i wzniosłości; udałem jednak, że uniesienie to uszło mojej baczności, i mniemałem ulżyć jemu, zwracając rozmowę do innego przedmiotu.

— Co za szkoda, — rzekłem — że wszystko, co tu widzę, co słyszę, czego zresztą wolno mi domyślać się, pozostanie może na zawsze w twojej tylko duszy, zacny panie Machnicki, albo zagaśnie w cieniach twojego podziemia. A tymczasem wiadomość tych dzieł, tych dziejów, o których mi napomknąłeś, mogłaby

przynieść światu wiele korzyści, kto wie, czy nawet nie jest mu konieczna. Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu zdają swoje prace: tym tylko sposobem dokonywają się wielkie dzieła. Szkoda więc byłaby, żebyś zeszedł bez następcy i bez zostawienia śladu twojej pracy i twoich wiadomości.

Niewinny mój wybieg udał mi się; tejże chwili postrzegłem w Machnickim zmianę, jakiej pragnąłem; burza uczuć ustąpiła z twarzy, została tylko po niej pewna uroczystość; z tą uroczystością słuchał mię cierpliwie i odpowiedział, skoro mówić przestałem:

— Obawa twoja chwalebna, ale w tym razie próżna. Następcą, mój następca... Opatrzność go wynajdzie, jak mnie wynalazła. Praca też moja nie przejdzie bez śladu. Przekonam cię natychmiast.

Poprowadził mię ku stolikowi, na którym leżała uważana już przeze mnie ogromna księga.

— W tej księdze — rzekł — wszystko znajdzie ten, kto będzie powołany kończyć moje roboty. Są tu dzieje moje, dzieje państwa, cała jego przeszłość i stan obecny; jest tu wątek wszystkich spraw jego, prawodawstwo, polityka, proroctwa nawet, zgoda wszystka mądrość mojego państwa. Nieomylny to przewodnik królów zamczyska. Nie sądz, że przywieszuję do tej księgi większą wagę, niż warta, że to jest księga zwyczajna, zwyczajnie pisana. Nie sądz tak! Pisało ją pióro anioła, pod natchnieniem anioła tego zamku, który wiecznie stoi nad nim i świeci, jak południe; wszystko też w mojej księdze jasne, jak południe, święte, jak anioł, prawdziwe, jak jego obecność w tych miejscach.

Czyja zaś ręka pisała? Czasem moja, niezawsze moja, a często mnie nawet niewiadoma. Oto masz dowód.

Przerzucił kilkanaście kart i pokazał mi w samej rzeczy kilka charakterów całkiem odmiennych, jak żeby inną ręką pisanych, co jednak łatwo sobie wytłumaczyć bez uciekania się do nadzwyczajnych przyczyn, że obłąkanie z tak silną wyobraźnią zdolny był w gwałtowniejszych przystępach swojej choroby albo całkiem utracić świadomość siebie, albo uważać się za osobę, której rolę przybrać mu się podobało.

— Na tem nie koniec! — mówił dalej — Dam ci jeszcze ważniejszy dowód, że myślę o przyszłości mojego państwa i nie chcę zamknąć w sobie samym jego tajemnic. Przystąpimy więc do najważniejszego obrzędu.

Dotąd byliśmy z sobą, jak gospodarz z gościem, jak prywatny z prywatnym; czas już, abyś mię obaczył w całej ozdobie królewskiej, poznał ostatecznie króla zamczyska. Nie myśl, żeby mnie do tego pobudzało proste przewidzenie; o nie! Mam ci objawić takie rzeczy, których mi nie wolno objawić, tylko z mojego tronu, pod zasłoną królewskiej powagi, a może i pod bodźcem królewskich cierpień. Pamiętaj nadewszystko, że tym czynem dowodzę ci nadzwyczajnej mojej przychylności, nadzwyczajnego zaufania. Pewny jestem, że go nie zawiedziesz. Rozstańmy się teraz na chwilę. Przez ten czas masz wolność przepatrywać moją kronikę. Nie dziw się, jeżeli za długo zostawię cię w oczekiwaniu. Są pewne obrzędy przygotowawcze, bez których dopełnienia nie wolno mi dawać uroczystego posłuchania.

To rzekłszy, skinął ręką na pożegnanie i wszedł pod zaslonę proporców, a ja zacząłem przezierać zostawioną mi księgę.

## V.

## HISTORIA MACHNICKIEGO.

Korzystając ze względów Machnickiego, starałem się przejrzeć jego kronikę w czasie jak można było najkrótszym; byłem prawie pewny, że niedługo zostawi mnie sam na sam, przeleciałem ją więc raczej oczami, aniżeli czytałem. Mimo tego pośpiechu udało mi się zatrzymać uwagę w kilku miejscach i powziąć z nich wyobrażenie o duchu całości.

Dziwna to była księga; dziwna, jak stan umysłowy jej twórcy. Taż mieszanina, co w rozmowie, logiczności i bezładu, głębokiej filozofji i obłąkania, wniosków najsurowszej rozważki i zapędów rozkiełznanej wyobraźni, cierpień urojonych i rzeczywistych, wiary w nadzwyczajne powołanie, gorzkich wyrzekań na świat społeczny, przecuć, widzeń, prorocत्व: często wzniosła, nieraz mądra, poezją ubarwiona wszędzie, cała jednak nie była niczem więcej, jak igraszką wyobraźni, obracała się głównie na jednym przywidzeniu i z niego rozwijała świat zarzeczywisty, życie w sferach urojenia; stąd ciemna po większej części, niepojęta dla umysłów niewtajemniczonych. Głównym jej przedmiotem były sprawy państwa, porządkiem dziennym zapisywane: znalazłeś tam prawa, postanowienia, urzędy, protokoły narad gabinetowych, stosunki z innemi podobnego rodzaju mocarstwami, wojny, przymierza, traktaty; obok nich czytałeś sprawy, dotyczące osoby Machnickiego, jego pożycia codziennego z ludźmi, z przyrodą; z tego względu był to rodzaj dziennika, który obejmował najdrobniejsze szczegóły życia, najmniejszą czynność myśli, przygody, uwagi wszelkiego rodzaju, pomysły, marzenia, powiastki, wszystkie prawie z niezwykłych źródeł i dotyczące przeszłości



królestwa, nawet poezje. Ale klucz do zrozumienia wszystkiego miał tylko Machnicki. Była to kronika świata, który on sam sobie stworzył z żywiołów jemu tylko wiadomych i zaludnił istotami, którym, jak pierwszy człowiek, nadał swoje nazwiska. Weszło w ten świat wszystko, co należało do obrębu zamczyska, dało się przeczuć w jego głębiach, lub miało z niem bezpośrednią styczność: ziemia, woda, skały, kwiaty, murawa, samo powietrze, wszystkie przypadłości światła i cienia, pogody i niepogody. Wszystko, aż do kropli rosy, zwało się, żyło, miało swój stosunek z całością, swoje w niej posłannictwo: wszystko związane było w ogół kraju i narodu. Ten kraj rozdrobiony był na podrzędne podziały; nieraz jeden głaz, jedno drzewo, stanowiły prowincję. Pory roku, niebieskie światła, zmiany powietrza, występowały tam, jak mocarstwa przyjazne państwa Machnickiego, miały swoje nazwiska, prowadziły z nim wojny mrozem, skwarem, niepogodą, staczały bitwy wichrami, burzami, piorunami. Kości, szkielety, składały wojsko państwa i dwór królewski. Cokolwiek mogło jakiś dźwięk wydać, śpiewało mu, jak muzyk, jak poeta, rozmawiało z nim; dostrzegłem w kronice niejednej pieśni, przepisanej z ust skowronka, kruka, lub skrzypiącego drzewa, niejednej powieści, którą wygadał jakiś wiatr, wzdychający samotnie wśród gruzów, jakieś źródło, szepczące z kamykami, — a ten wiatr, to źródło opisane było we wcieleniu fantastycznym, wymienione po imieniu. Co tylko poeta zdoła wymarzyć najniewyrażniej, Machnicki odział to w kształty, ożywił, związał w jeden ogół, zamienił w świat rzeczywisty dla siebie i w ruch działania puścił. Takiego tylko mogłem nabyć pojęcia owej kroniki; raz, że miałem przed sobą tylko tom piąty, potem, że go przebiegałem z wielkim pośpiechem, наконец, że jeszcze



i w tem tak pośpiesznem czytaniu miałem roztargnienie. Przyczyną mojego roztargnienia była dziwna scena za porporcami, widać scena wstępna do posłuchania. Dotąd nie umiem jej sobie wytłumaczyć, ale słyszałem to głośną rozmowę Machnickiego, to jęki jego przytłumione, to łoskot jakby biczowania się, to brzęk licznych dzwonków, przeplatane długą, głęboką ciszą.

Nagle rozsunały się porporce i odsłoniły wnętrze framugi, nieznanej mi dotąd. Ściana jej była czemś czarnem powleczone; w głębi, przy samej ścianie, na prost otworu, stał krzyż czerwony takiej wielkości, że końcami ramion dosięgał ścian pobocznych, a wierzchołkiem okna, mającego tenże kształt, co dwa powyżej opisane, i umieszczonego na tejże samej wysokości. Na środku było podniesienie z wielkich głazów, gdzie stało obszerne krzesło, powleczone gdańską skórą z ledwo dojrzanemi śladami złocistych wzorów, przed krzesłem stał niewielki stolik, na nim leżał kosztur, niezgrabnie wyrobiony, i różga brzozowa, po obu stronach stolika dwa krzesła mniejsze, a wszystko w smaku sprzętów, jakie dziś jeszcze widzieć można po starych naszych zamkach.

Machnicki stał między stolikiem a wielkiem krzesłem. Odziany był suknią zrobioną krojem hiszpańskim z latek rozmaitej barwy; na głowie miał czapkę z podobnych latek, okrągłą, śpiczastą, ubraną w błyskotki i dzwonki, krótko mówiąc, taką jaką dawniej trefnisie nosili; nadto otaczał ją na czole uwiędły wieniec z gałązek dzikiej róży. Nie mniejszą zmianę, jak w stroju, postrzegłem w Machnickiego obliczu. Pogodne przedtem, dobroduszne, przybrało teraz jakiś dziki wyraz gniewu, ponurej surowości, wewnętrznego cierpienia, a nawet obłąkania, wyraźniejszego, jak zazwyczaj.

Ubiór zapewne niemało przyczynił się do tej zmiany, ale po większej części wychodziła ona z wewnątrz. Przykrem, niewysłowionem uczuciem przejął mię ten widok. Krzesło tak przytykało do samego krzyża, że stojący w tej chwili Machnicki wydawał się, jakby sponoczywał na krzyżu. Był to widok zarazem dziko-malowniczy i pełny jakiejś bolesnej tajemniczości, zwłaszcza, kiedy dodamy strój osoby i czarne tło całego obrazu.

Dał znak ręką, abym się zbliżył, i przemówił głosem zrazu uroczystym, ale widocznie przytłumionym, który wkońcu zamienił się w ton szyderczy:

— Otóż nakoniec widzisz króla zamczyska! Widzisz go w całym przepychu królewskiego majestatu, w całej nagości.

Oto jest purpura! To korona, a tu berło! Patrz! Azaliż nie królewskie? Patrz więc, i śmiej się!

To mówiąc, zaśmiał się śmiechem tak dzikim, jak tylko być może najbardziej wymuszonym z bolejącej piersi, rzucił się na krzesło całym ciężarem ciała, kręcił się po niem jakiś czas, porwał miotelkę, zgrzytnął, uderzył się nią po wieńcu, jęknął głęboko, ale w tejże chwili zaczął się uspokajać, jak żeby przychodził do upamiętania, i utkwiał we mnie wzrok, więcej zdziwiony jak obłąkany, widocznie spokojniejszy.

— Jakto? Ty się nie śmiejesz? — mówił znowu powoli, powtórzył to samo i ucichł — A toż przecież purpura królewska — ten serdak trefnisia. A ta korona? Któżby w niej poznał koronę Chrobrych? Co za hańba! Co za hańba! — zasłonił oczy ręką, z pod ręki wytoczyło się kilka łez. Odsłonił oczy, a na twarzy nic już nie było oprócz głębokiego rozrzewnienia.

— Ale nie moja w tem wina, nie moja. Sam się przekonasz, kiedy ci opowiem. Dlatego wprowadziłem cię tutaj i wszystko odkryłem. Przyrzekłem ci posłu-

chanie królewskie: chcę spełnić moje przyrzeczenie. Siadaj i słuchaj!

Usiadłem na kamieniu zewnątrz otworu framugi, a Machnicki od tych słów zaczął swoją powieść:

— Podniosłem ci niejedną zasłonę moich tajemnic, muszę teraz powiedzieć ostatnie ich słowo. Leży w niem cała historia mojego życia. Wyspowiadam się przed tobą, jak dotąd przed nikim, jak zapewne przed nikim już spowiadać się nie będę. A robię to nie z samej potrzeby mojego serca, ale dla korzyści mojego państwa, dla dobra czyjegoś, choć on dotąd niegodny; zresztą, Bóg z nim; nie mnie dano sądzić go ostatecznie. Słuchaj więc mojej powieści! Będzie ona długa, może nieporządna, jednak nie przerywaj! Nie przerywaj mi, choćbym według ciebie najnieznośniej bredził. Nie ostrzegaj mię! Mam ja w głowie ciąg myśli mnie właściwy tego pasma nigdy się nie puszcze. Zresztą jest coś, co mnie ostrzeże — i dotknął ręką swojego kołpaka.

Przystawszy w tem miejscu, zamyślił się, spuścił czoło, zaczął być niespokojnym, widocznie szukał myśli, nareszcie poprawił się w krześle i mówił:

— O, ten początek zawsze mi najcięższy. Najtrudniej mi przenieść się w tę powszednią przeszłość, schwycić koniec jej nitki najtrudniej. Jest ona dla mnie jak sen coraz niewyraźniejszy; ale mam ją wreszcie.

Trzeba ci wiedzieć, że i ja byłem kiedyś człowiekiem, jak wszyscy ludzie: mężem, ojcem, sąsiadem, szlachcicem, urzędnikiem, dobrym nawet urzędnikiem; po całych dniach, a czasem i nocach, siedziałem nad rachunkami. Ja myślę, że to był sen tylko: dzisiaj nie potrafiłbym najprostszego dodania. Ale wtedy! O, wtedy nie wołano, jak dzisiaj, gdzie się obróć: „Warjat! Warjat!” — nie patrzano z litością, z szyderskim uśmie-

chem, jak na warjata, jak dzisiaj. Miałem rozum, bo byłem warjatem, jak wszyscy ludzie — nie mniej, nie więcej; nie odróżniałem się od nich, uchodziłem więc za porządnie rozumnego. Wszakże powinienem oddać sobie tę sprawiedliwość, że wiecznie nosiłem w sobie zaród mojej wielkości, i przeczuwałem ją, i dążyłem ku niej, chociaż bardzo powoli z początku. Jakiś pociąg osobliwy, niepojęty mi dawniej, przywiewywał mię do tych murów od niepamiętnych czasów. Było to coś naksztalt przeczucia miłości, a potem... pierwszego jej objawienia się, a potem... zwarjowania z miłości.

Wymawiał to powoli, z namyśleniem się, naostatku zadrżał, dzwonki zagrały, a on mówił dalej:

— Nasamprzód zdaleka lubiłem patrzeć na zamek. Nie wyglądał on tak dziko, jak teraz; stał prawie cały, prawie cały zamieszkany. Wieczorami błyszczały światła z jego okien, we dnie dymy snuły się z kominów; bramy odmykały się i zamykały; szczekały psy, piałły koguty; śpiewano, śmiano się, żył pełnem życiem obecności, a dla mnie... żył nadto życiem przeszłym. Miałem już wówczas widzenia przeszłości, ale jeszcze ciemne; wystarczało mi zdaleka patrzeć na zamek. Tęskniłem jednak, jak do największego szczęścia, żeby w nim mieszkać, — i było coś, co mi ciągle szeptało: bądźiesz w nim mieszkał.

Zdarzyło się, że musiałem porzucić na jakiś czas te strony. To oddalenie dopiero przekonało mię, że byłem zakochany w zamku. Tęskniłem za nim, jak za kochanką. Co noc we śnie go widziałem, niekiedy z całym urokiem kobiecej piękności. Czy ty uwierzysz temu?

I zamilkł z widoczną chęcią, abym odpowiedział.

— Dlaczegoż nie miałbym uwierzyć? — rzekłem. Jakaż inna miłość, jeżeli nie podobna do tej, prowadzi

tysiące na śmierć, dla ojczyzny naprzykład, odbiera spokojność, wesołość, rozum, życie? Tylko, że napozór jej przedmioty różne. Jeden ukochał swoje góry, drugi swoje wody, ten pałac, tamten chatkę; ale, biorąc rzeczy głębiej, każdy z nich ukochał anioła, ducha swojego narodu, który mu się przedstawia zmysłowo, niby w symbolu określonym, najstosowniejszym do jego usposobień i pojęć.

W miarę jak mówiłem, Machnicki wyciągał rękę i przytwierdzał skinieniami, a kiedym skończył, uderzył w stół i zawołał.

— Mówisz zupełnie tak, jak ja czuję. Ale niestety! — zawołał znowu po krótkim przestanku — dlaczegoż tylu jest, którzy nie czują tego ducha pod powłoką symbolu, i przywiązują się tylko ciałem do ciała. Kochają swój dom, bo ładnie zbudowany, dobrze opatrzony, wygodny, własny; kochają swoją wioskę, bo z jej dochodów mogą dobrze jeść, pięknie się ubierać, wesołe życie prowadzić, robić w niej, co się podoba i — miękko zasypiać; kochają swój kraj, bo kraj jest dla nich to samo, co wioska.

Nie taką miłością pokochałem ja zamek; Bóg mi świadkiem, nie taką: bo i cóż miałem z niego, lub mieć mogę dla ciała? Pokochałem go, że w nim było tyle życia, tyle szczęścia dla wszystkich, a ludzie nazwali to obłąkaniem.

Wzruszył się, dzwonki zagrały, to go uspokoiło, wrócił do powieści.

— Tęskniłem więc, i coraz mocniej. Nie mogłem przemóc owej tęsknoty, zwłaszcza że przybył jej w pomoc niepokój smutnego przeczucia. Urwałem liche interesa i wróciłem. Nie darmo tęskniłem, nie fałszywie przeczuwałem.

Zamek opustoszał, począł nawet upadać w niektó-

rych częściach. Smutne, okropne wrażenie zrobił na mnie ten widok. Ale też odtąd jeszcze mocniej zacząłem przywiązywać się do mojego zamku; zacząłem wchodzić z nim w znajomość jeszcze bliższą. Dusza coraz wyraźniej ku niemu lgnęła; przeznaczenie ciągnęło mnie ku niemu coraz częściej. Po całych dniach przypatrywałem się jemu, całe nieraz noce w nim przepędzałem i nie miałem już ze strony ludzi żadnych przeszkód. Wkońcu zaznajomiłem się z najskrytszym zakątkiem. A kiedy nie mogłem być w nim albo nań patrzeć, to miałem obraz jego w głowie, jak wyciśniony na mózgu. Z porządku rzeczy reszta świata poczęła mnie coraz bardziej nudzić. Nie znajdowałem już rozrywki, tylko w książkach, a między książkami jedynie w starych kronikach. Czytanie kronik robiło na mnie skutek, jaki robi na zakochanym czytanie romansów. Każdy szczegół dziejów, każda chwała, każda klęska, zmierzały do mojego zamku, jak promienie do jednego ogniska. Cokolwiek było pięknego w przeszłości, to go ozdobiło; co było okropnego, to zawisło, jak zasłona żałoby, na jego wdziękach.

Tym sposobem zamknąłem w nim całą przeszłość, całą przeszłość w nim uosobiłem. Ale miałem jeszcze rozum. Przynajmniej ludzie uważali mnie jeszcze za rozumnego. Nie widzieli mojej duszy: wstydzilem się ją odkryć. Czy uwierzyłbyś temu, że się wstydzilem mojego stanu duszy? Do tego stopnia byłem kiedyś powszedni, słaby, głupi. Co gorsza, wyrzucałem sobie nieraz to uczucie, walczyłem z niem, chciałem je zniszczyć. Na szczęście moje, postanowienie to zapóźno mnie napadło. Jednak wdzięczny mu jestem, ono przyśpieszyło chwilę stanowczą. Opowiem ci teraz ten wypadek, najważniejszy w mojem życiu, ten tryumf mojej królewskiej przyrody.

Opanowała mnie właśnie jedna z chwil owego wahania się i głupiego postanowienia. Poszedłem za jej popędem i zabrałem się szczerze do moich urzędowych rachunków. Nie wiem, skąd wydobyłem z siebie tyle siły; nie wiem, jakim sposobem znalazły się jeszcze myśli, niepodbite od mojej miłości, że na czas jakiś ustąpiła im zupełnie i zostawiła liczbom wolne pole. Interes urzędowy był pilny, praca trudna i długa. Przejąłem się całą ważnością mojego urzędu. Trzy dni i trzy noce pracowałem, z małemi przerwami dla jedzenia i snu. Przez cały ten czas liczbami tylko myślałem, tak, że wkońcu wszystkie myśli zamieniły się w liczby; liczby układały mnie do snu i budziły, na jawie jak we śnie liczby latały przed oczyma, w którąkolwiek stronę oczy obróciłem. Nic nie słyszałem, nic nie widziałem dookoła siebie, oprócz przedmiotu mojego zatrudnienia. Aż wkońcu... Pamiętam całą scenę, jakby się powtarzała w tej chwili — odtąd wszystko już dobrze pamiętam. Było to trzeciej nocy, bardzo późno, może w godzinę po północy. W okna bił deszcz ze śniegiem, i wiatr przeraźliwie zawodził. Zresztą wewnątrz domu cicho, jak żeby wszystko umarło. Czułem wycieńczenie z pracy; zdawało się, że siły ostatnie mię opuszczają. Nie przestawałem jednak pisać, ale głoski i liczby wiły się po papierze, zrywały się z pod pióra, krążyły w oczach, jak rój owadów; wiersze całe snuły się w różnych kierunkach, jak te wstążki ognia, kiedy dziecię rozżarzonem łuczywem w różne strony macha. Straciłem z oczu świecę, zgadywałem tylko jej pałanie po nagłych, przykrych zmianach, to rażącego blasku w ciemność, to ciemności w blask. Naraz całe pisanie zerwało się z papieru, uderzyło na mnie z szumem i wściekłością pszczoł rozdrażnionych, obsypało mię całego, wgryzało się w oczy, dzwoniło w uszach, osiadało



na mózgu. Chciałem się porwać, — upadłem nazad na krzesło bez siły; w tej chwili zupełna ciemność zaległa pokój; powieki spadły na oczy same z siebie, jak skrzydła postrzelonego na śmierć ptaka.

Byłoby to tylko omdlenie? Wątpię. Utraciłem siły, ale nie przytomność. Widziałem, co się dzieje, gdzie jestem. Czulem dokoła siebie i przeraźliwą ciemność i martwą ciszę uśpionego domu: deszcz ze śniegiem bił w okna, wiatr przeraźliwie zawodził. Mimo to rozpyływałem się duszą w niewymownie lubym stanie jakiejś spokojności, swobody, uciechy, o których dotąd nie miałem wyobrażenia. Cóżby to było? Jak sądzisz?

— Właśnie powiadają, — odezwałem się — że zwykle podobne uczucie towarzyszy omdleniu z powolnego osłabienia.

— Ale czy omdlenie może zostawić tak wyraźną pamięć przeszłości i wiedzę obecnego stanu tak zupełną? Czy można w omdleniu śnić tak jasno, żyć tak zwyczajnem życiem?

Odpowiedziałem, że tego rozwiązać nie potrafię.

— I niema potrzeby, jak dla mnie, łamać sobie nad tem głowy, — mówił znowu Machnicki — gdyż jestem pewny, że ów stan był czemś ważniejszym, jak zwyczajną słabością, jak omdleniem. Wiedz o tem, że wtedy zgasł i umarł we mnie dawny człowiek, a narodził się nowy. Ciekawa to była chwila, kiedym przechodził granicę dwóch czasów, dwóch bytów. Jak na dłoni ujrzałem całą moją przeszłość, objąłem ją jednym spojrzeniem, a całą przyszłość w jednej tylko postaci, w postaci zamku, ale jakiego zamku!...

Zatrzymał się znowu, jak żeby się namyślał.

— Nie! — rzekł — Gdyby mi nawet wolno było odsłonić komukolwiek ten obraz, nie znalazłbym na to wyrazów w dzisiejszym naszym języku. Dosyć powie-

dzieć, że, kiedy ujrzałem obok niego życie moje przeszłe, wszystkie jego prace, troski, żądania, nadzieje, plany — zaśmiałem się nad nim, jak nad niewinnem głupstwem, z całego serca. Ten śmiech rozległ się w mgnieniu oka tak dokoła, z taką siłą, jak żeby cały świat sobą zapelniał, jak żeby mi odpowiedział śmiech całego świata.

Ale nie była to radość. W tym śmiechu zaczęła się nowa moja przyszłość, moja wielkość, moja męczarnia. Bo różne są rodzaje cierpienia dla ludzi. Ten z za krat więzienia musi patrzeć na niebo, wiecznie to samo dla złych i dobrych; tamten, przykuty do taczki podziemnej roboty, dźwiga dzień i noc trupa myśli, której swoje życie poświęcił; temu tortury łamią kości, nie mogą złamać ducha; temu każą z krzyża obejmować rękami ten świat, który sercem ogarnął; temu przeznaczono każdy śmiech nieprawości bolesną łzą odkupywać; ale są inni, których postawiono światu na cel, aby szyderski uśmiech przeszył w nich każdą myśl kochającą, każde uniesienie poświęcenia, i nadto kazano im samym śmiać się z tego, co właśnie bóle śmierci przynosi. Cierpieć dla wszystkich i konać wśród śmiechu wszystkich, a często własnego, to nie lżejsze od innych tortur.

Dreszcz mimowolny całego ciała przerwał w tem miejscu Machnickiemu, ale zdaje się, że głos poruszonych dzwonek przywołał go do porządku, bo znowu natychmiast zaczął:

— Otóż, zaledwiem się zaśmiał, kiedy usłyszałem dokoła siebie niby jego echo, i dźwięk, jak żeby wiatr gwałtowny zatrzęsł oknem. Otworzyłem oczy, zwróciłem się ku oknu i ujrzałem w niem wielką światłość, niby od pożaru, a w tej światłości postać, ubraną, jak nam opisują ubiór dawnych trefnisiów, jak zresztą mnie dzisiaj widzisz, z małemi odmianami. Pojąłem wtedy, skąd pochodził śmiech i dźwięk. Nie skończyłem

jeszcze tej uwagi w duchu, kiedy postać dmuchnęła ku mnie po dłoni i znikła.

Okno zamknęło się z nowym dźwiękiem, kiedy niekiedy zagwizdało wiatrem, jak coraz dalszym chichotem, a blask, co bił przez nie, w tejże chwili zagasł całkiem. I wszystko znowu było, jak wprzód. W całym domu cichość, po ścianach pluska deszcz ze śniegiem, i świeca znów gore. Rzuciłem okiem na stół: widzę, na papierach czerwieni się jakiś listek; biorę go — zapisany; czytam — bilecik:

„Panie Machnicki! Zamek w niebezpieczeństwie. W tobie jednym jego nadzieja. Przybywaj, jak możesz najprędzej! Czeka cię królestwo. Tylko spiesz się! Twój sługa i przyjaciel: Stańczyk.“

Ten list chowam dotychczas jako najdroższą pamiątkę nowego mojego życia. Jest to niejako dyplom mojej królewskości. Powinieneś go widzieć.

To mówiąc, odemknął wiszący na jego piersiach medaljon, kazał się zbliżyć i podał mi z uszanowaniem nic innego, tylko uwiędły czerwony listek, stoczony w połowie przez owady. W pozostałych nitkach włókien można było wprawdzie dostrzec jakichś fantastycznych znaków, ale nie było żadnego podobieństwa do pisma. Czuł to zapewne sam Machnicki, gdyż się odezwał:

— Pisanie to nie dla wszystkich. Trzeba być wtajemniczonym w moje państwo, żeby je odczytać; niemniej przeto pojętne dla mnie i drogie.

Oświadczyłem zupełną wiarę w to, co mówi, oddałem listek napowrót, a on, schowawszy go, tak dalej prowadził swoją powieść.

— Treść listu przeraziła mię niewymownie. Pewny byłem, że w zamku pożar: wprowadziła mię na tę myśl niezwykła jasność, którą przed chwilą widziałem. Nie rozmyślałem długo, nie wahałem się, wyskoczyłem przez

okno, wpół rozebrany, jak byłem, i biegłem do zamku pomimo ciemności i sloty. Przybywam nakoniec, nie widzę żadnej zmiany, żadnego niebezpieczeństwa. Miał-żeby to być figiel trefnisia? Chciałem się gniewać, chciałem zrazu natychmiast powrócić, ale bieg nadzwyczaj szybki wyczerpał ze mnie wszystkie siły. Nie mogłem dłużej ustać, mimowolnie padłem. W tej chwili zdało mi się, że ujrzał Stańczyka, skaczącego wierzchem murów ze śmiechem djabełskim. To zgniewało mię doreszty. Postanowiłem zrobić figiel za figiel i nie ruszyć z miejsca, choćby mi tam przyszło umrzeć z głodu. I dotrzymałem. Dwa dni z zamku nie wychodziłem, dwa dni żadnego nie wziąłem posiłku. Osłabłem na śmierć. Na drugą noc zawlokłem się do baszty i tam postanowiłem przyjąć, cokolwiek mię spotka. Snu nie miałem, gorączka coraz większa ciągle mię rozbudzała; marzyłem tylko i dlatego widziałem wszystko, co się koło mnie działo. Widzieć nie mogłem, już to dla ścian, już dla nocnych ciemności, słuchem jednak byłem ciągle wśród dziwów owego czasu. Niewyraźnie, prawda, i może nie wszystko słyszałem, bo nieustające burze, wiatry, szum, ulewy, szalały, jakby umyślnem zaklęciem wywołane; ale to, co słyszałem, mogłoby rozsądzić każde ucho. Jakieś gwary, krzyki, jęki, jakiś ruch i krzątanie się całych tłumów, to znowu tętent pojedynczych kroków, to na ziemi, to gdzieś pod ziemią; ale tego wypowiedzieć niepodobna, a jeszcze może niepodobniej w to uwierzyć. Mnie samemu zdawało się czasem, że w tem wszystkim niema nic oprócz gwaru drzew, igraszki wiatrów, jednym słowem, zjawisk powietrza, miotanego zwyczajną burzą; później dopiero przekonałem się, że to była rzeczywistość, o której wtedy nie miałem jeszcze wyobrażenia. Tylko też pamięć na słowa listu pomogła mi przetrwać ów stan nie-

znośny. Wiły się one ciągle pomiędzy wszystkimi myślami, a w miarę tego, jak wracały uporniej, zamieniły się w wiarę i wkońcu zostały jedną myślą wyraźną, skupioną, potężną, która już wtedy zaczęła pokrzepiać moje siły moralne i podnosić ducha nad ciało. Obojętnie począłem na śmierć patrzeć; byłbym już umarł z myślą królewską.

Tak nadeszła chwila, która ostatecznie miała rozjaśnić, co dotąd było jakby niewyraźnem przeczuciem. Spałem, czy nie spałem, tego dobrze nie wiem, kiedy mnie coś gwałtownie za rękę targnęło. Otworzyłem oczy i ujrzałem przed sobą tę samą postać, którą w oknie widziałem, jednym słowem: Stańczyka. Trzymał w ręku latarnię, mocno był pomieszany, lży nawet miał w oczach. — „Wstawaj — zawołał — i chodź czem prędzej. Nie mamy chwili do stracenia. Czeką cię posłuchanie królewskie. Za chwilę zostaniesz królem. — Wstawaj!“

Na te słowa uczułem w sobie znowu dawne siły. Porwałem się równemi nogami; przebiegliśmy szybko dziedziniec zamkowy, kilka pokojów, i stanęliśmy w głównej zamkowej sali. Leży ona dziś w gruzach oddawna. Później, przy sposobności, pokażę ci miejsce po niej. W sali uderzył mnie widok nieznany, niesłychany. Wyobraź sobie zebranych w jeden tłum wszystkich naszych monarchów, począwszy od nieznanego nawet dziejom: z żonami, z dziećmi, z całemi rodzinami, w koronach, w purpurach monarszych, w całym przepychu mocarzy namaszczonej najwyższą władzą, w promiennym blasku tyłu imion wiecznych, w czarodziejskim uroku piękności tyłu królowych. Martwe malowidło podobnego zgromadzenia jużby ci wyrzuciło duszę z kolei zwyczajnego stanu, a dopieroż widzieć to wszystko żywe. Niedziw, że można zwarjować po

takiem widzeniu, nie żał zwarzjować, żeby mieć takie widzenie. Sam to przyznasz.

Wszakże, mimo olśnienia od podobnego widoku, przelotny rzut oka wprowadził mię w niespokojne podziwienie, w stan żalu, pomieszanego z przerażeniem. Wszystko tam było w niezwykajnym ruchu, na niektórych twarzach widziałeś rozpacz; stąd odzywały się męską pierśią przekleństwa, tu słyszałeś łkania kobiet; inne modliły się, klęcząc i łamiąc ręce w milczeniu. Wyobraź sobie dom w pożarze, a mieszkańcy ratują, co mogą i uciekają; albo jeszcze lepiej: dom, napadniony przez zbójców. Tak tam było w owej chwili. Jeden tylko mąż zdawał się panować całemu temu nieładowi. Siedział on w głębi sali, na wielkim głazie, z ponurą, ale męską rezygnacją. — Uzbrojony był dawnym rycerskim obyczajem od stóp do głów. Przy nogach leżał szyszak, otoczony koroną; opierał się na wielkiej szabli, a obok miotelka brzozowa. Białe miał włosy, jak puch białego gołębia, a twarz... podobną widywałem na obrazach Bolesława Chrobrego.

Ku niemu szliśmy prosto. Ukląkłem mimowolnie przy jego kolanach; on z uprzejmym wyrazem położył mi rękę na ramieniu i — pamiętam, jak dzisiaj — w te mówił słowa:

„Wezwaliśmy cię, synu, w ważnej sprawie. Za chwilę porzucimy ten zamek, aby odtąd z innego już świata czuwać nad nim. Cóż robić? Jednak nie rozpaczamy; pozwolono nam zostawić następcę takiego, jakim tylko ty być możesz. I ty nim będziesz, bo naszej miłości wszystko poświęciłeś, nawet swój rozum. Odtąd jesteś królem tego zamczyska.“

Zalałem się łzami uniesienia, chciałem ucałować nogi mówiącego; ale on kazał mi się podnieść i czekać skończenia obrządku koronacji. Tymczasem wymówił imię,

którego ci nie powtórzę, bo jest pod klątwą wiecznego milczenia w mojem państwie; a na to wezwanie wystąpił jeden z tłumu królewskiego, podobny strojem do Stańczyka, i zbliżył się w głębokiem ukorzeniu; na powtórny znak króla-rycerza zdjął z siebie cały ubiór i złożył go na ziemi. Król-patrjarcha zarzucił mi na ramiona serdak, na głowę włożył czapkę, i mówił:

„Oto jest królewski twój ubiór. Masz go w puściźnie po najbliższym twoim poprzedniku. Z tą szatą wkładam na ciebie wszystkie cierpienia hańby; zamień ją w purpurę chwały! W twoje serce zamykam całą boleść tej chwili; czoło namaszczam łzami, które dokola widzisz, ręce uzbrajam tą miotelką mojej łaźni, będzie ona dla ciebie berłem i mieczem; a skronie twoje — mówił, zrywając gałąź rosnącej przy sobie dzikiej róży, — opasuję tym wieńcem, jak koroną, ażeby kolce jego nie dozwalały ci zasypiać na tronie. Twojem państwem — te gruzy; twoją potęgą — wielkość ich przeszłości, zamieniona w boleść; twoje powołanie — pannać przez cierpienie wśród uciechy. Tym tylko sposobem dopełnisz królewskich powinności i zdasz twoje dziedzictwo godnemu następcy.“

Chciał jeszcze mówić, kiedy nagle odezwała się przeraźliwa trąba przed zamkiem; nunie się zdawało, że pastusza, ale się omyliłem, bo na jej odgłos zachmurzył się król-rycerz i zawołał:

„A więc i goniec z ostatnią wiadomością. Wszystko już skończone. Dzieci, w drogę!“

Do mnie zaś tyle jeszcze powiedział:

„Stańczyk wprowadzi cię na królestwo i jest na twoje rozkazy. Żegnaj nam, królu zamczyska, i panuj, jak ci zaleciłem!“

Ledwie mogłem dosłyszeć słów ostatnich, takie narzekania podniosły się w odchodzącym orszaku. Za



chwilę straciłem wszystkich z oczu. Wybiegłem w ich ślady za obręb zamku. Jakiś czas zdawało mi się, że ich widzę, że słyszę bolesne ich pożegnania. Może i tak było, ale wkrótce w miejscu pozostały się tylko skały martwe, drzewa, chwiejące się silnym wiatrem, i różnoglobosy szum wichru. Okropna noc! Mało pamiętam podobnych, a żadnej takiej.

— Działo się to w roku 1815. Cały świat zajęty był rozprawami kongresowymi; nie dziwnego, że tej nocy nie uważał, a ja tymczasem królem zostałem i doświadczyłem pierwszej królewskiej boleści: część zamku upadła. Upadła wtedy właśnie, kiedy wybiegłem za nimi. Rozpoznałem jeszcze w skałach i drzewach oddalający się orszak, kiedy nagle zatrzęsła się ziemia, w głowie zadzwonił grzmot przeraźliwy, jak żeby piorun w ucho uderzył, a całe powietrze zabielało obłokiem pyłu tak gęstym, że ledwie mogłem oddychać.

Długo nie mogłem kroku jednego naprzód postawić. Skoro wiatr przepędził cokolwiek kurzawę, wbiegłem wewnątrz zamku; kilka pokojów zniknęło pod gruzami. Zapłakałem, ale nie byłem winien. Tylko co zacząłem panować. Od tego to czasu jestem królem. Sam teraz osądź, czy mam do tego prawo, czy jestem przywłaszczycielem, królem z przywidzenia, warjatem.

Pierwszemu tobie tak się spowiadam. Z innymi ludźmi nie wdaję się w podobne rozmowy. Nigdyby mnie nie pojęli. Patrzą na ten zamek, a nie widzą, czym on jest; widzą, jak coraz bardziej upada, a nie wiedzą, co to znaczy; zginie zupełnie, a dla nich będzie to wszystko jedno. Ani głowy, ani serca u nich. Cóż robić z takimi ludźmi? Niekiedy dam im uczuć chłostę mojej miotelki; a oni biorą to za fantazję warjata. Do tego stopnia stracili sumienie, że nie czują nawet wstydu;

śmieją się z własnej hańby, z własnej obelgi, najkrwawszej, jaką człowiekowi wyrządzić można. Powiedzą tylko: „Machnicki to złośliwy warjat!” — i na tem kończą. Bywa, że nie mogę się wstrzymać i wołam w żywe oczy: Gdybyście wy mieli więcej czucia i pojęcia, Machnicki nie byłby dla was warjatem, oddalibyście swój rozum za jego obłąkanie. Ale te wszystkie przemówki to groch na ścianę. Niepodobna też wykladać wszystko, jak na łopacie. Zresztą, możeż być wyraźniejsze słowo, jak te gruzy? — Jeżeli one nie mają dla nich znaczenia, czegoż mogę się spodziewać po brzęku słów moich?

Poddałem się więc wyrokowi i sam cały ciężar dźwigam. Sam, własną tylko myślą, podpieram te gruzy, jak mogę. Ale są chwile, w których czuję, że upadnę wraz z niemi. One się powiększają z każdym rokiem, a myśl moja coraz słabsza, coraz bardziej ugina się pod ich ogromem. Każdy kamień pada na nią i robi w niej szczerbę; coraz mocniej cierpię, a coraz mniej jestem w stanie zaradzić złemu. Takie jest moje panowanie, taka moja królewskość!

Posępnie zwiesił głowę i milczał, nagle wstrząsnął dzwonkami, popatrzył wokoło, jakby przychodził do siebie po śnie przykrym, twarz jego wygładziła się uroczystą powagą, w oczach osiadła duma władzy, wyciągnął prawą rękę, jak do rozkazywania:

— Nie! — zawołał — Nie upadnę ja tak łatwo. Jestem jeszcze królem. Cierpię wprawdzie, jak żaden król nie cierpiał; ale też używam, jak żaden król nie używał, wzniosłem się do najwyższej ludzkiej potęgi. Wszedłem w świat duchów, żyję z duchami, rozkazuję duchom. Dla mnie cała przeszłość, jak obecna chwila. Przestrzeń tysiąca mil ogarniam jednym spojrzeniem.

Dla mnie niema nic martwego w obrębie mojego królestwa. Położę rękę na głazie i czuję pod ręką bijące serce, drganie życia poczynającego się w łonie kobiety. Dotknę się ustami listka! — Listek oddaje mi ogniste pocałowanie miłości; gałąź ściska mię, jak dziecię, gdy je matka pieści. Kiedy przechodzę między różami, róże uśmiechają się, jak dziewice, i rzucają mi swoje kwiaty pod nogi; murawa, jak tłum ludu, uchyla głowy na mój widok. Każde źródło zaprasza mię do siebie i rozprawia mi o przeszłości nieskończone dzieje. Przed muzyką moich ptaków, które mię usypiają i budzą, niech milczą wszystkie muzyki, jakie są na świecie. Pojrzyj na te czaszki, kości, szkielety, zbroje, głazy — to mój dwór żywy, wszystko to żywe.

Kiedy, strudzony kłopotami państwa, wchodzę tu na wytchnienie, wszystko to ożywia, garnie się do mnie. Zasiadamy w koło; stare kamienie dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitew, orzeł mierzy oczami drogę do słońca: mam przed sobą całe życie przeszłości i widzę na jej kolanach przyszłość, a dla niej zapominam o obecnej chwili, o obecnym świecie.

Jestem król nad króle. Moje ziarnko rozrośnie kiedyś na świat cały. Dlatego tak głęboko skryłem się z niem pod ziemię. O, gdybyś ty wiedział wszystkie tajemnice tego pałacu.

Korzystałem z kilku chwil milczenia, które po tych słowach nastąpiło, i rzekłem:

— Tajemnice te nie są zapewne dla podobnych mnie; ale sądzę, że mi wolno wiedzieć, co to jest ta jaskinia i jakim sposobem przyszedłeś pan do jej odkrycia?

— Dziwne rzeczy! Wszak prawda, że dziwne? — zawołał Machnicki. — Mogę jednakże dać jeszcze je-

den dowód mojej dla ciebie uprzejmości i uchylić porządku zasłone tych jeszcze tajemnic. Słuchaj więc, jak się to stało:

## VI.

### DALSZY CIĄG HISTORJI MACHNICKIEGO.

Nim przystąpimy do dalszego ciągu powieści Machnickiego, muszę tu zamieścić uwagę, potrzebną, ażeby czytelnik lepiej schwycił charakter jego obłąkania i nie kładł na mój karb wszystkiego, co go może razić w tem opowiadaniu. Dwa stany objawiały się w nim, ile razy mówił, zwłaszcza cokolwiek przydłużej. Czasem odbiegał głównej osnowy, jękał się, mieszał wyobrażenia, łapał wyrazy niewłaściwe; wpadał w powszedniość prozaiczną; było to wtedy, kiedy satyryczna wycieczka do obecnych czasów i ludzi sprowadziła go z toru ulubionych marzeń — gorzki smutek wówczas zwijał niejako skrzydła jego fantazji, zaciemniał jej gwiazdę. Lecz kiedy gnał pełnemi żaglami po zwyczajnym sobie poetycznym świecie, kiedy nie spotykał na drodze żadnego żywiołu, przeciwnego jemu, dusza jego wówczas była muzycznym narzędziem, doskonale wystrojonem, myśl jedną pieśnią, a słowo, zboku rzucone, rozpoczynało tę muzykę z innego tonu, nie psuło harmonji ogółu.

W tem drugiem usposobieniu właśnie się teraz znajdował. Odpowiedział więc na moje zapytanie, jak żeby odpowiedź jego była koniecznym ciągiem tego, co dotąd mówił, jak żeby nie słyszał nawet mojego zapytania.

— Byłem — rzekł — zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo, postawiony przez niego u steru spraw państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojej wszech-

obecności; osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczymi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat, które w nich spędziłem, były jedną królewską ucztą. Myślałem, że tam skończę, pragnąłem skończyć. Stamtąd tak blisko było mi do raju: jeden krok tylko, a byłbym w raj.

— Inaczej się stało. Ostrzegło mnie o tym jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie, prześladowały mnie od jakiegoś czasu bezustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowczą zmianę w mojem życiu. Często wśród burzy olbrzymia głowa, jak chmura, kładła się nad zamkiem i lizała gruzы ognistym językiem, jak błyskawicą; niekiedy wicher wrzucił we środek poczwarną sowę i plątał jej skrzydła w mury; trzeba było widzieć, jak się po nich tłukła, aż cały zamek się wstrząsał, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jej wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś jaszczurki, dłuższe od położów, snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przezroczystą ogień przeziął, jak żeby całe ogniem były wypełnione. Codziennie zjawiały się nowe jakieś gady, potwory. Słyszałeś zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwe robactwo. Powiedziałbyś, że zamek był w podobnej chorobie. Przeczuciałem, bolałem, nie opuszczałem go jednak. W tym stanie doczekałem się września. Niedawno to było, kilka lat temu. Mijały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świtem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa dni trwała. Nie wychodziłem

z zamku na chwilę. Żyłem w nim, jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układałem się do snu za nadejściem drugiej nocy. Ledwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie: „Uciekaj! Uciekaj!“ Obudziłem się i postrzegłem Stańczyka. Szarpał mię za rękę i wołał: „Chodź! Chodź ze mną! Nie możesz tu dłużej zostać!“ — Dlaczego? — zapytałem. — „Za chwilę gruzy spać tu będą.“

Ścisnęło mi się serce, ale zawolałem:

— Nie! Nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! Zginę z niem razem.

Na to Stańczyk odparł:

„Ocal się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe, jak myślisz. Chodź tylko za mną!“

I wyciągnął mię pól gwałtem. Zaledwośmy wyszli, a moja stolica runęła. W moich oczach spuścił się na jej dach ptak olbrzymi, ognistym, jak piorun, wężykiem; widziałem to wyraźnie; słyszałem szum, z jakim usiadł; przygniótł ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze startych gruzów i razem z nią zniknął.

Złamałem rękę, a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwścieklejszym gniewem.

„No, no, uspokój się! — rzekł do mnie z najzimniejszą krwią. — Aby dusza była, znajdzie się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpacz. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź: pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu, ale pilnuj korzenia, tam życie. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz, jak straciłeś. — Chodź za mną!“

I wskazał mi to podziemie. Zczasem przekonałem

się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajdę jego okruszynę, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj; tym sposobem powoli zebrałem i skupiłem całe jego życie.

Wkońcu przyzwyczaiłem wszystkich poddanych do nowej stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie, własną pracą ubrałem to miejsce, jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, że jestem bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłoniiony bok jaskini tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępny, że z tej strony ptaszemi tylko skrzydłami możnaby dolecieć do mnie. Te okna wyglądają nazewnątrz, jak nora sowy: nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnymi przechodami mogę dojść w różne strony, Bóg wie, jak daleko. Niemi to rozpuszczam powoli życie powierzzonego mi ziarnka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

— Tak! Spokojnie umrę. Robię swoje, i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem warjatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełnem sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojej drogi, wypełnia, co mu przeznaczono; a między ludźmi są zimniejsi, nieczulsi, niepożyteczniejsi, jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nic drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepianek, a nie przyłożą się do nowej, wspólnej, choćby jedną cegiełką.



„Co nas to obchodzi? Alboż nie mamy gdzie mieszkać“.

Wołaj do nich: Ratujcie stary zamek! To pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań — oni ci na to odpowiedzą:

„Albo my głupi leżć pod gruzy, żeby nas pogniotły?“

Nikczemnicy! Nie byłoby gruzów, żebyście wcześniej byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: „Niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali!...“

Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pajak muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nic a nic? Wiecie wy o tej tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcają duchowi opiekuńczemu najdroższe czasem głowy. Otóż przeszłość, budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzy, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość! Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dostanie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumieją mię wtedy. Przyznają warjatowi rozum. Słowa warjata będą krążyły, jak pieśń prorocza. Ale biada temu, kto lekceważy niemiłe sobie proroctwa i czeka niewierny z założonemi rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

Przyszłość rozwiąże, tylko, że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żal mi tych ludzi, wielki żal.

Oni musieli ci inaczej o mnie nagadać, bo pewnie

gadali; oni muszą mię uważać jak człowieka, który już nie ma nic wspólnego z ludźmi, najmniejszego dla nich współczucia. Nie wierz temu, oni się myślą. Powiadam ci, że codzień nad nimi płaczę, nawet śmiechem.

— Kiedy wejdę pomiędzy nich, w takie naprzykład zebranie, jakie było wczoraj, kiedy spojrzę na tę młodzież, na te kobiety, na te dzieci, kiedy widzę ich szczerą wesołość, ich taką miłość dla siebie, nadzieje takie promienne, tyle przyszłego szczęścia w marzeniach, a kiedy pomyślę sobie... — nagle stanął, jakby się postrzegł, że miał coś nadto okropnego powiedzieć, mimo to zmienił wyraz rozrzewnienia w wyraz dziwnie gorzkiego szyderstwa i równie zagnął zawołał: — wtedy śmieję się im w oczy, bez żadnego względu. Niech sobie tłumaczą mój śmiech, jak im się podoba! Wszystko mi jedno! Jest to może najwymowniejsze moje słowo. Jeźci i tego jeszcze nie pojmują, nie moja wina. Wyrażne ono dla ludzi, co mają czucie głębsze, jak kołyska, wyższe, jak powała sypialni, przestronniejsze, jak gumno. Wyraźniejszego nie wolno mi użyć.

Na tych słowach zaszła nowa scena, która mię wprawiła w mocne chwilowe zdumienie. Machnicki był w natężeniu uniesienia, ja w natężeniu ciekawości, kiedy nagle ściemniło się; spojrzałem w okno i postrzegłem w niem rzadkiej wielkości puhacza, z rodzaju skalnych, a w tejże chwili usłyszałem kilkakrotnie grobowe jego huknienie. Machnicki porwał się z siedzenia, nawrócił ku ptakowi ucho z niespokojną uwagą i, nie bawiąc, zasunął proporce tak nagle, że nie postrzegłem się prawie, jak znowu sam zostałem.

## VII.

## POŻEGNANIE.

Ptak nie zaraz umilkł, słyszałem kilka razy jeszcze głos jego. Nastąpiła potem głęboka i długa cisza za zasłoną, przerywana tylko odgłosem dzwonek i kroków Machnickiego. Po pewnym czasie zasłona odchyliła się, i Machnicki wyszedł w powszednim już stroju.

— Daruj, daruj, — zawołał, ściskając mi ręce ze szczerą uprzejmością — że tak nagle przerwałem posłuchanie. Sprawy państwa przedewszystkiem, nieprawdaż? Oznajmiono mi ważną naradę, dziś jeszcze, wkrótce. Wszak słyszałeś tego ptaka? Nie bierz mi więc za złe, że się musimy rozstać. Sprawy publiczne przedewszystkiem. Dziś jednak czuję bardziej, niż kiedykolwiek, ich ciężar. Wszakże nie ostatni raz widzimy się? Spodziewam się, że odwiedzisz mnie jeszcze. Przyjdź jeszcze, przyjdź jutro! Wiele, wiele mam jeszcze do powiedzenia. Co słyszałeś, to niczem jest prawie. Daj słowo, że przyjdziesz!

Na całą tę mowę odpowiedziałem z równą szczerością że jestem wyrozumiały na powód rozstania się, że nikt nie mógłby mu wziąć za złe tej gorliwości w dopełnianiu obowiązków, że pożegnanie go w tej chwili jest i dla mnie przykre, wszakże osładza je nadzieja powtórnego widzenia się, że je przyspieszę, o ile będzie to w mojej mocy; nakoniec przyrzekłem, że jutro znowu powrócę. Po tych i podobnych im słowach pożegnania Machnicki zapalił lampę i odprowadził mnie tą samą drogą aż do otworu. Przy otworze miałem jeszcze nowy dowód jego dobrego serca, łatwo lgnącego, kiedy znalazł kogoś po swojej myśli.

— Odpoczniemy tu chwilę, — rzekł — zmordowałem się trochę.

Ja jednak widziałem tylko w tem chęć pochlebną dla mnie dłuższego znajdowania się razem. Usiedliśmy na wschodach. Machnicki wziął mię za rękę i mówił głosem, malującym głębokie rozrzewnienie:

— Jak mi żal! Jak mi żal, że tak krótko jesteśmy z sobą — i łzy stały mu w oczach. — Podobne chwile tak rzadkie są dla mnie; podobne spotkanie prawie nigdy. Wierz mi, mój przyjacielu, że tego dnia nigdy nie zapomnę; wiecześniebym żałował, gdyby miał być jedynym w mojem życiu. To taka rozkosz znaleźć w tym świecie powszednim kogoś, coby cię zrozumiał, któremu całą duszę otworzyć można, bez obawy szyderstwa. Przysiękłeś jednak, że wrócisz. Pamiętaj, wracaj: jutro, pojutrze, kiedykolwiek, tylko wróć! — Pamiętaj, że czekam, a czekanie to cierpienie, i wielkie czasem. Ale jeszcze chwilę możemy być razem.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu; przerwał je znowu Machnicki:

— Jaka szkoda, że musimy się rozstać. Nie wiem, co mię tak przywiewuje do ciebie. Może — kto wie — może ty będziesz moim następcą? Ale ty zapewne śmiesz się w duchu z tych marzeń szalonych i ze mnie.

Zdaje się, że ta uwaga wprowadziła go w przykry stan duszy; umilkł na chwilę, zasępił się; nakoniec, przechodząc w rozrzewnienie coraz głębsze, zawołał:

— Nie śmiej się, przyjacielu, nie śmiej się ze mnie! Przysięgam na najświętsze tajemnice mojej duszy, że w tem wszystkim niema nic śmiesznego.

O, gdybyś ty mógł przejrzeć mię na chwilę, zobaczyć, co to za przepaść smutku, a jakiego smutku! — tu łzy płynęły mu rześistym strumieniem. — Ale ty zstąpisz znowu między ludzi zwyczajnych: słońce mojego królestwa zajdzie dla twojej duszy; owionie cię morowe powietrze zimnego rozumu; usłyszysz znowu

zawszą: „Co to za warjat ten Machnicki, mieć się za króla jakiejś tam kupki gruzów!“ A ja ci powiadam, że każdy z nich w swoim domu jest takim warjatem, tylko że nie mają królewskiej duszy, królewskich moich uczuć.

O, gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnickim na swoim miejscu, wiesz, co by nastąpiło? Powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król — miliony. Zapewne nie słyszałeś jeszcze o tej dynastji? A tymczasem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie byli tylko chwilowymi jej namiestnikami; ale pan prawdziwy to ona: była nim i będzie.

O, będzie. Wiem to dobrze. Ale nie przez tych, których mieszkania widzisz dokoła po dolinach, mieszkania porządne, wykwintne: Nie! Nie przez tych — a sami temu winni; ale sama przez siebie, jak jest Bóg przez Boga. A wtedy kochani moi sąsiedzi, co się dzisiaj ze mnie tak naśmiewają, ubiorą się sami w moją purpurę, w moją koronę, ale za późno: co dzisiaj za sługą, potem będzie karą. Moja i podobnych mnie rola skończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody, nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie stosowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały milionów będzie jego koroną, przy niej reszta będzie wyglądać, jak moja czapka.

A wiesz, kiedy to przyjdzie? Na wszystko są znaki, ostrzeżenia.

Zajrzyj do ewangelji! Chrystus dopiero wtedy zmartwychwstał Bogiem, kiedy ciało jego umarło. Wszak tak? Resztę sam sobie wytłumacz! Ty jeszcze zobaczysz to wszystko. Część tej korony dostanie się i tobie; będzie ona tak wielka, że wszystkie głowy nakryje. Ja skończę w tej, w której cierpiałem. Ja już

tylko na grób pracuję: o grób was tylko proszę. Niechaj nim będzie kupa tych gruzów, ta góra. Nie potrzeba żadnych napisów. Kto popatrzy, zaraz pozna, co w niej leży: gruz olbrzymiej myśli. Z tą myślą umrę spokojny.

Robiłem, co mogłem; nie mogę więcej. Bóg mi świadkiem, że nie mogę. Powiedz-że sam, czy mogę? Może wiesz co jeszcze? Powiedz, a zrobię.

Milczałem, odpowiedziałem łzą serdecznego wzruszenia. I w rzeczy samej, możnaż poświęcić więcej nad to, co Machnicki poświęcił? Możnaż więcej cierpieć?

— Ale ja cię nudzę za długo, a przytem obowiązki moje. Sam przyznasz, że obowiązki przedewszystkiem.

Zegnam cię więc jeszcze raz, dowidzenia. Dowidzenia! Pamiętaj, mój przyjacielu, mój bracie!

Uścisnęliśmy się z całego serca; glaz otworu podniósł się; wyskoczyłem szybko, glaz upadł; usłyszałem jeszcze głuche westchnienie Machnickiego, jak z grobu, potem cichość dokoła i gruzy.

## VIII.

### ZAKOŃCZENIE.

Sam tedy byłem wśród gruzów. Nie byłem sam. Cały czas, przepędzony w podziemiu, zaległ pamięć, stał przed duszą, jak sen wprawdzie, ale jak sen bardzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machnickiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał w uszach; cała mowa jego, wcielona w postacie żyjące, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dziwnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na gruzach, spojrzałem po okolicy, a cała okolica wydała mi się, jak żebym patrzył na

nią okiem Machnickiego, puściejszą, bardziej martwą, jak gruzy, wśród których spoczywałem. Ścisnęło się serce, lzy mimowolne stały w oczach, bolesne szyderstwo lechtało we wszystkie uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O nędzo czasów! — mówiłem do siebie — I taki człowiek jest dla reszty świata niczem więcej, tylko warjatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodku siebie, plwałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości, jak pogardy; już to najmniej, kiedy go ma za nic. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

Oni rozumni, a on warjat! A on jednak pojął myśl, której oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stosuje do niej, i każdy krok jego jest jej koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z tej drogi; logiczność jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż dalej. Obrął sobie zawód, przyjął powołanie i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puhar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinien-że być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? Nie więcej-że on wart od nich? I dla czegoż to wszystko robi? Poco to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? Czy marzy o jakiej nagrodzie osobistej?

Nie! Pełni swoją powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci: — dla drugich, nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata to właśnie jest dowodem obłąkania.

O, gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedynczych rozumów rozerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony bryzgów



jej słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemne ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jej blask i ciepło, które wzajemnem tylko zasilaniem się mogą trwać i działać: odebraliście im cały przymiot ich nadziemskości.

Wy się o to nie troszczycie: wy chcecie, aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejdują bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejdują? Zobaczmy.

Chciałem wyjść na koniec z tak niemiłego stanu i rozpogodzić umysł wycieczką w okolicę; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy; ale świeża nawałnica tak popsuła drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po śliskiem i grząskiem błocie drażnił jeszcze bardziej wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nielepszym. Nie wspomniałem nikomu o mojem widzeniu się z Machnickim, ale zdradzałem się w każdej chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadałem niegrzeczności kobietom, tak dalece nie byłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufalej zmuszona była zawołać: „Czy pan oszalał?”

Nazajutrz zabierałem się do powtórnych odwiedzin zamczyśka. Dzień był piękny, obiecywałem sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczej się stało. Odjechałem w stronę całkiem przeciwną, na zawsze. Po Machnickim wspomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego życziwszy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniej w wyjątkach. Sądząc z tego, co czytałem, z tego,

co wiem o jej twórcy, mogę naprzód zaręczyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezji, a przytem pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazją obłąkańca; bądź co bądź, jedyne w swoim rodzaju.

K O N I E C.

W TATRACH. NAD GŁĘBIAMI.



ADAM ASNYK

# W TATRACH NAD GŁĘBIAMI



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

Tekst opracowała według wydań z roku 1888 i 1894

Dr. Anna Chorowiczowa.

W TATRACH





## WSTĘP.

O matko ziemio, dobra karmicielko!  
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej  
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką  
I promieniami jasności słonecznej,  
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży  
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej.

O matko ziemio! Ty nam, dając ciało,  
Zbudzoną duszę karmisz na swem łonie;  
Dajesz jej poznać świata piękność całą,  
Oprowadzając przez błękitne tonie,  
I po gwiaździstym unosisz przestworze,  
Codzień poranku odnawiając zorze.

Roztaczasz przed nią kształtów nieskończoność  
I coraz nowe przesuwasz obrazy;  
Stroisz się w błękit morza, w łąk zieloność,  
W błyszczące piaski, w niebotyczne głązy;  
Rozwijasz widzeń tęczę malowniczą  
I świeżych wrażeń napawasz słodyczą.

Ty ją przenikasz barw i dźwięków falą,  
Przez zmysły drogę otwierając do niej;  
Rzucasz w nią ogień, co się wiecznie pali  
W obłoku marzeń i kwiecistej woni;  
Podajesz przedzę, którą ona bierze,  
Snując z niej dalej pasma uczuć świeże.

Ty jej swe wszystkie skarby zgromadzone  
Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki;  
Pozwalasz zdzierać z twarzy swej zasłonę  
I coraz nowe zadajesz zagadki,  
Kryjąc w swej dłoni, jako Izys czarna,  
Kwiaty lotusów i pszeniczne ziarna.

Dobra piastunko! Trzymasz nas tak mocno  
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje;  
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,  
A we dnie własne opowiadasz dzieje,  
Nawet prostaczkom dając mądrość wielką,  
Dobra piastunko i nauczycielko!

My się nie możemy oderwać od ciebie,  
Ciężarem ciała z ciałem twem spojeni,  
I, chociaż myślą wzlatujęm po niebie,  
Sny zaświatowe ścigając w przestrzeni,  
Musimy zawsze czuć pod nogą swoją  
Ten grunt, na którym kształty nasze stoją.

Musimy z tobą w zgodzie żyć — inaczej  
Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,  
W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpacz, w  
W sennem omdleniu, lub walce daremnej  
I poza światem pędzi żywot chory,  
Nie mając twardej dla siebie podpory.

Musim żyć z tobą w zgodzie — do mogiły,  
Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy;  
Pragnąc zaczerpnąć świeży zasób siły,  
Każdy z nas musi w walce, którą toczy,  
Tak, jak Anteusz, dotykać się ziemi,  
Bośmy, o matko, wszyscy dziećmi twemi.

Na twoich błoniach wschodzimy, jak kwiaty,  
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki;  
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,  
Swych poprzedników prochy i pamiątki,  
I każdy tylko na swej własnej niwie  
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Tam tylko znajdzie odpowiednie soki,  
Właściwy zakres i warunki bytu,  
Skwarny blask słońca, albo cień głęboki,  
Modrą toń jezior, lub krawędź granitu;  
Tam kształt i barwę właściwą przybiera,  
Na czas dojrzewa i na czas zamiera.

Zna się z burzami swej ojczystej strony  
I z tchnieniem wiosny, która go upieści,  
I od początku idzie uzbrojony  
Na rozkosz życia i jego boleści;  
Więc nic dziwnego, że nad wszystkie inne  
Musi ukochać zagony rodzinne.

To przywiązanie, które ludzie prości  
Czerpią z cichego z naturą przymierza,  
Stwarza ojczyznę jako cel miłości  
I coraz więcej zakres swój rozszerza,  
Aż cały krąg twój obejmie, o ziemio,  
Razem z zmarłymi, co w grobowcach drzemią.

A kto ukochał ciebie sercem swoim  
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,  
Tego pogodnym obdarzasz spokojem,  
Spojrzeniem matki i matki pieśczętą;  
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,  
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do ciebie przybędzie złamany,  
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,  
Ty, dobrotliwa, zagoisz mu rany,  
I spędzisz z duszy palący ból życia,  
I cierpiącego pojednasz człowieka  
Z tem, co już przeżył, i z tem, co go czeka.

I wszystkim, którzy do ciebie się garną,  
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo;  
Młodzieńcom dajesz serca moc ofiarną,  
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą,  
Zadowolenie, co twarz kraszą blada,  
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, o matko, masz dla swoich dzieci  
Zawsze miłością promienne oblicze,  
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,  
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,  
Kiedy zamykasz miłosierne łono  
Nad garścią prochów, prochom powróconą.

### RANEK W GÓRACH.

Wyzłoczone słońcem szczyty  
Już różowo wgórze płoną,  
I pogodnie lśnią błękity  
Nad pogiętych skał koroną.

Wdole — lasy skryte w cieniu,  
Toną jeszcze w mgle perłowej,  
Co w porannem oświeceniu  
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,  
I ta rwie się w chmurek stada,  
Jak pajęcza, wiotka przedza,  
Na krawędziach skał osiada.

A z pod sinej tej zasłony  
Świat przegląda coraz szerzej,  
Z nocnych, cichych snów zbudzony,  
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła  
Pod perlistą, bujną rosą;  
Świerki, trawy, mchy i zioła  
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,  
Coraz głębiej oko tonie —  
Cudowności świat się piętrzy  
W wyłóconej swej koronie.

Góry wyszły, jak z kąpieli,  
I swem łonem świecą czystem,  
W granitowej świecą bieli,  
W tem powietrzu przezroczystem.

Każdy zakręt, każdy załom  
Wyskakuje żywy, dumny;  
Słońce dało życie skałom,  
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,  
Wszystko w oczach przeistacza;  
Gra przelotnych barw i cieni  
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdroj srebrną pianą bryzga,  
Gdy po ostrych głazach warczy;  
Już się żywszy odbłask ślizga  
Po jeziorek sinej tarczy.

Już pokraśniał rąbek lasu,  
Już się wdzięczy i uśmiecha  
Brzeg doliny, a z szalasu  
Dolatują śpiewne echa.

Przez zielone łąk kobierce,  
Dzwoniąc, idą paść się trzody...  
Jakaś rozkosz spływa w serce,  
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma  
I powietrze chciwie chwyta;  
Dusza wybiec chce oczyma,  
Upojona, a niesyta —

Niby lecieć chce, skrzydlata,  
Obudzona, jak z zaklęcia,  
I tę całą piękność świata  
Chce uchwycić w swe objęcia.

## MORSKIE OKO.

### I.

Ponad płaszczami borów, ściśnięte zaporą  
Ścian olbrzymich, co wkoło ze sobą się zwarły,  
Ciemne wody rozlewa posępne jezioro,  
Odzwierciedlając w łonie głazów świat zamarły.

Stoczone z szczytów bryły, mchu pokryte korą,  
Po brzegach rumowisko swoje rozpostarły;  
Na niem pogięte, krzywe, kosodrzewu karły  
Gdzie niegdzie nagą pustkę w wianki swe ubiorą.

Granitowe opoki, wyniesione w chmury,  
Rzadko tam żywsze blaski słoneczne dopuszczają...  
I tajemnicze głębie kryje cień ponury.

Cisza; tylko woddali gdzieś potoki pluszczą,  
Lub wichry, przelatując nad zmartwiałą puszczą,  
Swym świstem grozę dzikiej powiększą natury.

## II.

Tu myśl twórcza straszliwą pięknnością wykwita:  
Pięknnością niezmierzonej potęgi i siły,  
Co, gromami na skałach rozdartych wryta,  
Świadczy dziś o przewrotach w łonie ziemskiej bryły.

Dziki zamęt! Głazami zasłane koryta  
Zdają się placem boju, gdzie niegdyś walczyły  
Północne groźne bogi i krew ofiar piły  
Z czary, która w jezioro upadła, rozbita.

Wszystko tu do ostrego tonu się nagina:  
Poszarpane gór grzbiety, wody, co czernieją,  
Skały, wiszące śniegi, zarośla, mgła sina...

Wszędzie surowa wielkość, przed którą maleją  
Sny człowieka, co staje, jak mała dziecina,  
Przed skamieniałą dawnych bogów epopeją!



## III.

Słońce, gdy na zachodzie złotą tarczę skłoni,  
Purpurą zdobi jeszcze skał korony wierzchnie,  
Tysiąc tęczyowych światel po szczytach się goni,  
Tu zsinieje... tam ogniem zaświeci... znów zmierzchnie...

A wdole, na jeziora zamałconej toni,  
Odbity blask zakrwawia drżących wód powierzchnię,  
Póki skrwawionej fali płaszczy mgły nie osłoni,  
I ostatni rumieniec wieczoru nie pierzchnie.

Wszystko zgasło... świat cały napelniony mrokiem...  
Granitowe olbrzymy majaczeją wdali;  
Rosną w bezmiar i kształty zmieniają przed okiem...

Mgła pokryła przepaści szarym swym obłokiem,  
I jezioro zniknęło... lecz słyszać szum fali,  
I z gór lecący potok wymowniej się żali...

## IV.

Noc króluje: na głowę kładzie gwiazd diadem;  
Przez błękity przesiąka niepewna i drżąca  
Jasność jeszcze skrytego dla oczu miesiąca;  
Mgły ulatują wgórę śnieżnych chmurek stadem.

Wszystko topnieje w świetle niebieskiem i białem,  
I ciemność nad otchłanią chwieje się wisząca.  
Księżyc przez skał szczelinę wstał nad wodospadem,  
Srebro leje i w przepaść wraz z falami strąca.

Zwolna cała kotlina z śpiących wód topielą  
Wynurza się, jak obraz czarodziejskiej księgi...  
Wybrzeża przeraźliwym odbłaskiem się bielą,

Jakby pokryte zmarłych śmiertelną pościelą;  
Czarne wody w płomienne rysują się pręgi,  
Przypominając piekiel dantejskie okręgi.

## V.

O wielki poemacie natury! Któż może  
Iść wśląd za twych piękności natchnieniem wieczystem?  
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę  
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże?  
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?  
Srebrne chmurki zawiesi w szafirów przestworze  
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! Ciebie tylko można  
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,  
Gdy, pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna

W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,  
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna  
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

## KOŚCIELISKA.

Oto tatrzańska sielanka  
Łagodną wabi ponętą,  
Jak dziewczę, co uśmiechniętą  
Twarzyczką wita kochanka.  
Przez skał rozdartych podwoje  
Przegląda wąwozu łono,

Gdzie szumią srebrzyste zdroje  
Melodję głazom nuconą;  
Przez skał rozdartych podwoje  
Świerk zwiesza konary swoje,  
I słońca blask się przeciska:  
To Kościeliska!

Zielona skacze dolina  
Przez strumień z brzegu do brzegu,  
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu,  
Na góry łączką się wspina  
I postać przybiera sielską,  
Strojąc się w trawę i zielsko  
I kwiaty do swego wianka  
Wplatając ręką niedbałą...  
A dołem, skryta pod skałą,  
Z marmurowego wciąż dzbanka  
Czysta Najada swe fale  
W przejrzystym sączy kryształ  
I strąca potok z urwiska:  
To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały  
Iglami świerków się jeżą,  
W ciemną się zieleni ubrały,  
Lecz w balsamiczną i świeżą,  
Z której gdzieś niegdzie szczyt biały  
Kamienią wytryśnie wieżą,  
Lub nagie wapienia ostrze  
Szeroko pierś swą rozpostrze.  
Za każdym drogi zakrętem  
Cały krajobraz się zmienia;  
Jakby w królestwie zaklętem  
W głaz zamienione marzenia,

Dziwaczne fantazji gmachy  
Z wejrzeniem coraz to nowem,  
Wiszące ściany i dachy  
Tłoczą się ponad parowem,  
Lub uciekają w lazury,  
Ręką marzącej natury  
Wypchnięte z ziemi ogniska:  
To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,  
Oprawne w zielony szmaragd  
Mchów, rozesłanych na skałach,  
I drobnolistnych paproci;  
W powietrzu pełno wilgoci  
I chłód rzeźwiący w upałach;  
Zwalone kłody i mosty,  
Łomy, strącone z wierzchołków,  
Rdzawe na głazach porosty,  
Co woń roznoszą fiołków,  
Żywiczne świerków oddechy,  
Błękitnych niebios uśmiechy  
I spokój dla duszy słodki;  
I zawieszzone wysoko  
Nad niedostępną opoką  
Gwiazdziste srebrne szarotki —  
Wszystko się srebrzy, lub złoci,  
W kropelkach świeżej wilgoci  
Tęczową barwą połyska:  
To Kościeliska!

### NOC POD WYSOKĄ.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową  
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,

I wciąż się zdawał oddalać na nowo  
Wierzchołek, w słońca promieniach kąpany;  
Więc trzeba było myśleć o noclegu,  
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą  
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom,  
Wciśnięta między dwa ramiona góry,  
Kotlina, pełna granitowych łomów,  
Które zdaleka sterczały, jak mury  
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.  
Była to naga, posępna kotlina,  
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid  
Pokryta. W głębi toń jeziorka sina  
I mchu na głazach zielony aksamit.  
Zresztą ni trawki, ni krzewu; jedynie  
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże,  
Między zwalone bryły granitowe,  
By obrać sobie ciche na noc leże  
I mech jedwabny podesłać pod głowę  
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone  
Od nocnych wichrów dawały osłonę.  
Na niebie jeszcze dzień panował biały,  
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,  
Barwiło w szczytach wyżębione skały  
Złotem, purpurą albo fioletem.  
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem  
Tuż nad zmrózonem jeziorka zwierciadłem,  
Co, z brzegów w śniegi oprawne i lody,  
Wdali marszczyło czerniejące wody.  
Patrzałem, jako w pracy nieustannej  
Fala srebrzystą powłokę podmywa,

Aż tafla lodu, dźwięk wydając szklanny,  
Pęka i dalej z szelestem odpływa;  
Patrzałem, jako na posępnej toni  
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,  
Jak jedna drugą potraça i goni,  
Na trud próżnego skazana obiegu.  
I żałowałem, że się próżno kręci,  
Przypominając sobie ludzką dołę,  
W której, ach, nieraz wszystkie dobre chęci  
W zaklętym muszą obracać się kole.

Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,  
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą,  
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,  
Pobladł i barwę przyjął popielatą.  
Wraz z znikającą jasnością promienną  
Ostatnie życia uchodziły ślady;  
Mrok zwiększył martwość pustkowiecia kamienną,  
I obszar zastygł, posępny i blady,  
I swym strasliwym przytłoczył ogromem  
Myśli, zbłąkane w państwie nieruchomem.  
Genjusz tych wyżyn, surowy i groźny,  
Powstał z przepaści, mierzając mnie oczyma;  
Swego oddechu słał mi powiew mroźny  
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,  
Rozpościerając dokoła nade mną  
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną  
I tę samotność zamarłego świata,  
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata —  
Samotność, w której milczącym ogromie  
Człowiek swą słabość poznaje widomie  
I chce się cofać przed nieznaną mocą,  
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,  
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,

Przed niezblaganem, bezlitosnem prawem,  
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,  
Przed nieświadomem... tajemem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,  
Między zaciszne powróciłem ściany,  
Gdzie towarzysze legli już strudzeni  
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;  
I sam złożyłem głowę na posłaniu,  
W półsennej teraz pograżon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;  
Nawet błękity niebios przeźroczyste,  
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,  
Stały się więcej ciemne, przepaściste,  
I tylko ową błękitną ciemnotę  
Gdzie nigdzie gwiazdy przetykały złote.  
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie  
I wyrównała wnętrza gór podarte;  
Zostało jedno wielkie rusztowanie,  
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,  
Ponad którymi dwie wierzchołka wieże,  
Dwa wyniesione ostrokęgi cieniu,  
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze  
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.  
Cisza; a jednak w tej pozornej ciszy  
Wsluchane ucho ciągle wrzenie słyszy,  
Szmer nieustanny, na który się składa  
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:  
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,  
I fal powietrza szelest tajemniczy,  
I pękających głązów łoskot głuchy,  
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.

Czasami skała, u szczytu wisząca,  
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem  
O najeżone ściany się roztrąca;  
Huk długo echa powtarzają potem,  
Aż rozsypany gład na drobne części  
W wąwozie gradem kamieni zachrząści.

I znowu wszystko wraca do spokoju;  
Tylko, jak dawniej, szepczą z sobą góry  
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;  
I znowu płynie cicha pieśń natury  
W gwiazdziste sfery, w przestrzeń nieskończoną,  
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,  
I tam się wiąże, i zlewa, i brata  
Z całą harmonją zaziemskiego świata.

Wślad za tą pieśnią myśli moje biegły,  
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.  
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,  
Duch mój wstępował na gwiazdziste wozy,  
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile  
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,  
I zapominał o swojej obroży  
I o boleści, co go we śnie trwoży.  
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywym,  
Poruszającem wielkie koło bytu;  
Uczuł się jednym łańcucha ogniwnem,  
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;  
On znalazł wspólne ognisko żywotów  
I związek z całym ogromem stworzenia,  
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów  
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia —  
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy  
Już opuszczenia nie czuł i niemocy



I mógł się poddać, jako drobny atom,  
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,  
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,  
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

### LETNI WIECZÓR.

Już zaszędł nad doliną  
Złocisty słońca krąg;  
Ciche odgłosy płyną  
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,  
Daleki słyhać śpiew  
I cichy szelest rosy  
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana  
Topnieje w sinej mgle,  
A świeży zapach siana  
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,  
Z gasnącym blaskiem zórz,  
Cicha poezja światów  
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią  
Podnoszą widma gór;  
Nocnymi mgłami dymią,  
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,  
Podarty kryjąc stok,

Jak senne malowidła,  
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny  
Oświeśla obraz ten...  
Ludzie w zadumie rzewnej  
Gonią piękności sen.

### PODCZAS BURZY.

Dołem wichher ciężkie chmury niesie,  
O skaliste roztrąca urwiska;  
Burza huczy po szerniałym lesie  
I gromami w głąb wąwozów ciska;  
A tam wgórze, gdzie najwyższe szczyty,  
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.

Ach, tak samo na drogach żywota  
Nieraz burza szaleje nad głową,  
Wicher nami nad przepaścią miota,  
A grom ciemność oświeśla grobową;  
Jednak wyżej widać błękit nieba...  
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

### LIMBA.

Wysoko na skały zrębie  
Limba iglastą koronę  
Nad ciemne zwiesiła głębie,  
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,  
Prawie ostatnia już z rodu,  
I nie dba, że wrzące fale  
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żalobą  
Chyli się ponad urwisko  
I widzi wdole pod sobą  
Tłum świerków, rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,  
W ściśniętym krocząc szeregu,  
Z dawnych ją siedzib wyparły  
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze  
Pełzają dalej na nowo!  
Ona się w chmurach kołysze,  
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,  
O życie walczyć nie będzie;  
Wciąż tylko wznosi się wyżej  
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu  
Na tryumf rzeszy poziomej;  
Woli samotnie z błękitu  
Upaść strzaskana przez gromy.

### WODOSPAD SIKLAWY.

Jakaż to prządka snuje białe nici,  
Które wśród głązów migają tak żywo,  
Że je zdaleka ledwie wzrok pochwyci?  
Jakaż to prządka rozpierzchnie przedziwo  
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń,  
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przedzie,  
I przez granitów przewiesza krawędzie,  
Nucąc wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy  
Zagarnia wkoło śnieżne ścieki gór;  
Na nić swą czarne nawiązuje stawy  
I wiedzie głośny z kamieniami spór.  
To potok wzbiera siatką wód pajęczą,  
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,  
I znika w ciemnej gardzieli otworze,  
Kończąc krajobraz wodospadu tęczę.

Skromny to potok! A jednak w swym biegu  
Tyle piękności naszych gór jednoczy:  
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu,  
I gonią za nim czarnych stawów oczy.  
Za nim piętrami spadających wzgórz  
Ciągną się gruzem zasłane rozdroża,  
Jak falujące, a zastygłe morza,  
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

Skromny to potok! Lecz tak wdzięcznym rzutem  
Zamyka wąwóz na błękitów tle,  
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutem,  
Znikając w tęczach, albo w sinej mgle.  
Skromny wodospad! Nie ma w świecie sławy,  
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,  
Gdy na wiatr wstęgi srebrzyste rozpuści  
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

### ULEWA.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,  
Na sinej ich krawędzi  
Króluje w mgłach świszczący wiatr  
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz  
I rosę z chmur wyciska,  
A strugi wód z wilgotnych paszcz  
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór,  
Zasłony spadły sine,  
W deszczowych łzach granitów gmach  
Rozpłynął się w równinę.

Nie widać nic: błękitów tło  
I całe widnokregi  
Zasnute w cień, zalane mgłą,  
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień, i noc, i nowy wschód  
Przechodzą bez odmiany:  
Dokoła szum rosnących wód,  
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz, i świszczce wiatr,  
Głośniejsze się potok gniewa;  
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr,  
Mrok szary i ulewa.

### MACIEJOWI SIECZCE

PRZEWODNIKOWI W ZAKOPANEM.

Mój przewodniku! Tyś mnie wiódł przez góry,  
Dając mi poznać ich poezję świeżą,  
Nagą, dziewiczą piękność tej natury,  
Nie zeszepeconą mdłych legend odzieżą,  
Nie rozdrobnioną na powszednie rysy,  
Zdawkowe słowa, zdawkowe opisy.

Tyś ją pojmował swoim sercem prostem  
Wiernie, jak staje wyciosana z gładów;  
Nie pociągałeś fałszywym pokostem,  
Co kryje nicość bezmyślnych obrazów,  
Ale umiałeś jędrne znaleźć słowo,  
Aby jej wielkość wyrazić surową,

Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,  
Bez wykrzykników i przenośni bladej,  
I w dzikich formach, które ona sklepi,  
Nie szukać natchnień niemieckiej ballady,  
Lecz na nią okiem spoglądać górala,  
Co wszystkie wierchy rozpoznaje zdala.

Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie,  
Nie brać przyborów romantycznej muzy  
I na klasycznym nie stąpać koturnie  
Przez naszych żlebów kamieniste gruzy,  
Ale wesoło, bez zawrotu głowy,  
Mijać głęboko wycięte parowy.

Pamiętam, nieraz, siedząc na upłazku,  
Rzeźbiłeś słowem Tatr skalisty wątek;  
Każdy szczyt w wiernym schwytałeś obrazku,  
Każdej doliny koniec i początek  
I piętr górzystych oznaczałeś biegle  
Trawiaste kopy i lesiste regle.

Umiałeś kształty każdego olbrzyma  
Z gór zębatego grzebienia wydostać,  
Wskazać, jak drugich ramieniem się trzyma,  
Jaką przybiera z każdej strony postać,  
I na swych palcach przedstawiałeś żywo  
Każde odrębne łańcucha ogniwo;

Ukazywałeś ciemne wód lusterka  
W wgłębieniach, w śniegu błyszczące oprawie,  
Siklawy, w przepaść skaczące z piąterka,  
Wnętrza wąwozów, splątanych ciekawie,  
Kierunek dolin i strumieni koryt,  
Wszystkim właściwy nadając koloryt.

Wszystko, coś mówił, miało więcej wdzięku,  
Niż romantyczna daje opisowość,  
Bo, mówiąc, miałeś pierś natury w rękę,  
A każde słowo dziwną miało nowość,  
Świeżą poczęę górskiego powietrza,  
Dla której rymów i porównań nie trza.

I nie prawileś mi spłowiałej bajki  
O dziwożonach, lub zaklętych skarbach,  
Lecz, dym puszczając z swej króciutkiej fajki,  
Juhasów w żywych malowałeś farbach,  
Życie w szalasach i życie na hali,  
Dolę-niedolę pasterskich górali.

Ich ciemne twarze i kozuszki smolne,  
Zgrzebne koszule, ciupagi i pałki,  
Więcej mi serce rozgrzać były zdolne,  
Niż wszystkie gnomy, ondyny, rusałki,  
Co w Tatr poważnych wyniosłym łańcuchu  
Tak wyglądają, jak kwiat przy kozuchu.

Żadne się bowiem widmo nie przyswoi  
Tej wyniesionej pod niebo pustelni,  
Gdzie tylko jeden duch na straży stoi  
Bez kształtów, w które chcą go wprząć śmiertelni:  
Duch wszechświatowy, duch wód i kamieni,  
Co się w milczącej unosi przestrzeni.

Przy nim już niema dla fantazji tworów  
Odpowiedniego miejsca wśród tych wyżyn;  
Wielka symfonia turni, hal i borów,  
Nie znosi ludzkich trefień i postrzyżyn,  
Nie znosi skrzydeł przyprawnych z tektury,  
Gdy sama cała wzlatuje do góry.

Ty czuleś dobrze, że wielkość przyrody  
Nie potrzebuje bielidła i różu,  
Że miło patrzeć na schodzące trzody,  
Gdy z gór pędzone w szarym skaczą kurzu,  
I że tatrzańskiej polany nie szpeci  
Wkoło szałasów chwast na stosach śmieci.

Tyś czuł, że prawda piękna, chociaż naga,  
Gdy jest odczuta silnie a głęboko;  
Że tracić musi dzika gór powaga,  
Gdy fantastyczną okryć ją powłoką,  
I że nie trzeba robić z skał posągów,  
Ani wytwarzać różnych dziwolągów.

Tyś czuł, że każda z okolic mieć musi  
Swoją wdzięk właściwy i wyraz odrębny,  
Że Tatrom trzeba bydła, a nie strusi,  
Że zapatrzone w niebo wiejskie bębny  
Piękne są, tworząc harmonję pastuszą,  
Do której trzeba dostroić się duszą.

Twa estetyka prosta, domorośla,  
Znała jednakże widnokregi szersze,  
I, choć nie byłeś poetą z rzemiosła,  
Co mierzy swoje uczucia na wiersze,  
Choć nie gonileś w laur zmienionej Dafne,  
Poczucie piękna zawsze miałeś trafne.



I realizmu powszedniego mistrze  
Nie mogą ciebie w swej zamieścić szkole,  
Boś kochał wszystko jaśniejsze i czystsze  
I nie lubiłeś pozostawać wdole,  
Lecz rozumiałeś, że ludziom potrzeba  
Piąć się, by wyrzeć oczami do nieba.

Dobrze więc było mnie pod twoją wodzą  
W królestwie głazów dni pogodne przeżyć,  
Chwytać wrażenia, jak same przychodzą,  
Piersi nieznanem uczuciem odświeżyć  
I w samym źródle piękności i czarów  
Ożywczą rosę z śnieżnych pić wiszarów.

Dobrze mi było, idąc za twym śladem,  
Zdobywać z trudem mało znane szczyty  
I z rączych kozic spotykać się stadem,  
Przeskakującym granitowe płyty,  
I na najwyższym ostrej turni zębie  
Ogarniać wzrokiem nieprzejrzone głębie.

A chociaż czasem deszcz lał, jakby z cebra,  
I trzeba było zmoczonym do nitki  
Umykać na dół z skalistego żebra,  
By gdzie w szczelinie czas przeczekać brzydki...  
Tyś miał w zapasie zawsze myśl wesolą,  
Co rozchmurzała zasępione czoło.

I słodko było gwarzyć z tobą potem,  
Po całodziennym spoczywając znoju  
Pod rozpostartym błękitów namiotem,  
Ponad brzegami jeziorka, lub zdroju,  
Gdzieśmy budzili krzykiem echa dolin  
I chleb chwyтали, głodni, jak Ugolin.

A gdy ostatnie gasły zórz kolory,  
Wtedy i nasze przycichły gawędki...  
Bośmy słuchali, co szumiały bory,  
Co na kamieniach szemrał potok prędkiej.  
Myśmy milczeli... a gwarzyły skały...  
I tak wśród marzeń dzień nadchodził biały.

To wszystko jeszcze w mych myślach się kręci,  
I wszystkie twoje starania i prace  
We wdzięcznej u mnie zostały pamięci.  
Więc dług wdzięczności wspomnieniami płacę,  
Które, jakkolwiek spelzły na papierze,  
Jednak gór tchnienie przechowują świeże.

### GIEWONT.

Stary Giewont na Tatr przedniej straży  
Głową trąca o lecące chmury;  
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,  
Czasem brwi swe namarszczy ponury,  
I, jak olbrzym w poszczerbionej zbroi,  
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło  
I wysuwa pierś swą prostopadłą,  
Patrząc zgóry na wieśniacze sioło,  
Co pokornie u nóg jego siadło.  
Przez ciąg wieków straż swą nad nim trzyma  
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiastował już pokoleń wiele,  
Które wieczny związek z nim zawarły,  
Z nim złączyły swe losy i cele,

Przy nim żyły i przy nim pomarły,  
Nawet myślą z pod jego opieki  
Nie wybiegłszy nigdy w świat daleki.

Wypiastował cały ród górali:  
On ich widział, gdy dziećmi radośnie  
U stóp jego, bawiąc się, pełzali;  
Widział młodzieź, jak mu w oczach rośnie,  
Jak się krząta koło swego plonu;  
Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki;  
W ciasnem kółku zamknięte nadzieje,  
Ich radości, pragnienia i smutki,  
Co ich boli, co im piersi grzeje;  
Zna zabiegi i spory gorące  
O kęs ziemi na polach, lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim  
I był sędzią już niejednej sprawy;  
Nieraz w nocy rozegrał się przed nim  
Jaki dramat posepny i krwawy;  
Widział różne skryte ludzi czyny,  
Widział cnoty, widział także winy.

Lecz, choć czoło chmurami powleka,  
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,  
Bo zna dolę biednego człowieka,  
Który, idąc naoslep, zabłądzi  
I o głodzie wzrok obraca chciwy  
Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuje dla tej biednej rzeszy  
Wielką litość w piersi swej kamiennej;

Od kolebki bawi ją i cieszy,  
Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,  
Przed jej okiem stroi się i wdzięczy,  
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,  
Którą zwolna zrzuca z ramion we dnie,  
Dla niej w wieczór cały ogniem płonie  
I szarzeje, mroczy się i blednie,  
Zawieszając księżyc w swojej szczerbie,  
Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! Troszczy się o ludzi,  
Co się jego powierzyli straży;  
Śpiące dusze z odrętwienia budzi,  
I piękności poczuciem je darzy,  
I rozrzuca nad dzieciństwa nocą  
Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak, jak w baśni: kocha się w pasterce  
Dobry olbrzym i dobiera kluczy,  
By otworzyć nawpół dzikie serce;  
Tak, jak w baśni: swych tajemnic uczy,  
Uczy znosić ciężkie losu brzemię,  
I miłować swą rodzinną ziemię.



NAD GŁĘBIAMI



## I.

Zmiennego bytu falo ty ruchliwa,  
Co nas unosisz po wszechświata toni.  
Daremnie wzrok nasz za tem wszystkim goni,  
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa!

Choć nam w błyskawic blasku się odsłoni  
Głęb niezmierzona, ciemna i straszliwa,  
Trudno nam dotrzeć spojrzzeniami do niej  
Przez pianę zjawisk, co po wierzchu plywa.

Próżno, nad głębią schyleni, jej ciemnic  
Obraz chwytamy, gdyż ruchliwa fala  
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic

Własną twarz naszą ukazuje zdala,  
I nasz widnokrąg cały się powleka  
Rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka.

## II.

Wieczne ciemności, bezdenne otchłanie,  
Co otaczacie tajemnicą życie,  
Próżno was ciągle pytamy: milczycie,  
Głuche na nasze skargi i wołanie!



Próżna ciekawość! Próżne serca bicie!  
Nikt odpowiedzi od was nie dostanie;  
Chyba nam echo odrzuci pytanie,  
Przywłóży myśli, tkwiącej w piersiach skrycie.

I nieraz, biedni, za prawdę bierzemy  
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,  
Sądząc, że słyszym tajny głos natury —

Lecz wszechświat stoi tak jak przedtem niemy,  
I otchłań póty milczeniem nas drażni,  
Póki nas w mrok swój nie wciągnie ponury.

### III.

Łudzaca Maja otworzy ci oczy,  
Migając widzeń różnobarwną tęczą,  
Splotami wrażeń zmysłowych otoczy  
I siecią złudzeń usidli pajęczą.

Widzisz tłum zjawisk, co się wkoło tłoczy,  
Słyszysz melodie, co ci w uszach dźwięczą,  
I śnisz sen smutny, chwilami uroczy,  
W którym cię widma zagadkowe dręczą.

Ścigając próżno przynęty zwodnicze,  
Co się wciąż z twojej usuwają dłoni,  
Pragniesz rozpoznać więzy tajemnicze

I swej piastunki zakryte oblicze;  
Lecz ledwie rękę wyciągnąłeś do niej,  
Łudzaca Maja oczy ci zasłoni.

## IV.

Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną,  
Bez przerwy ciągną w dal przestrzeni siną,  
I, horyzontu granicę widoczną  
Raz przekroczywszy, gdzieś bez śladu giną —

Tak pokolenia w nieskończoność mroczną  
Nieprzerwanemi łańcuchami płyną,  
Nie wiedząc nawet, skąd wyszły, gdzie spoczną,  
Ani nad jaką wznoszą się krainą.

W chmurach i burzy, lub w blasku promieni,  
Podległe skrytych instynktów wskazówce,  
Lecą, badając wąski szlak przestrzeni,

Który im znaczą poprzedników hufce,  
I tę przelotną grę światła i cieni,  
Jaką w swej krótkiej zobaczą wędrówce.

## V.

Gdy nas ciemności otaczają wszędzie,  
W swej zaciężnionej zatrzymując sieci,  
Wzrok nasz nie sięga za drogi krawędzie  
I nie pytamy, co za nią, jak dzieci.

Lecz niech kto światło na drodze roznieci,  
To choć wzrok szerszy widnokrąg posiędzie,  
Dokoła miejsca, które blask oświeci,  
Otchłań ciemności jeszcze większą będzie.

Wraz z blaskiem wiedzy zdobytej płomienia,  
W miarę, jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,  
Wciąż obszar mroków nieprzebytych rośnie...

I to, co dostrzec możemy, jest niczem  
Przed tem nieznanem, skrytem, tajemniczem,  
Co nam mrok wieczny zasłania zazdrośnie.

## VI.

Na falach swoich toczy słońc miljony  
Wieczny Ocean bez dna i wybrzeży,  
Którego nawet goniec uskrzydłony  
Przestrzeni — promień świetlany nie zmierzy;

Ani fantazji młodej polot świeży,  
Ani błysk myśli, na zwiady rzucony,  
Do krańców jego nigdzie nie dobieży  
I tajemniczej nie przedrze zasłony.

Nieskończoności łańcuch wyciągnięty,  
Biegnąc przez mroczne przestrzeni odmęty,  
Wśród bezbrzeżnego znika nam ogromu,

Niemocą myśli przedwcześnie ucięty.  
A z drugiej strony — ginie pokryjomu  
Gdzieś w nieskończonej małości atomu.

## VII.

Rzucone w przestrzeń złotych gwiazd kagańce,  
Te wirujących światów zbiorowiska,  
Skupione bytów chwilowych ogniska —  
Ten cały ogrom, za którego krańce

Nie mogę sięgnąć, przygodni mieszkańce,  
Z nieskończoności toni bez nazwiska

Wzniósł się, podobny wirującej bańce,  
Która na fali tęczy i pryska.

Niesie go z sobą ta nieznana fala,  
Co, poza bytem będąc, byt okala,  
I wszystko z łona swego wyprowadza,

I nowe słońca w przestrzeniach zapala,  
Gdy nią poruszy kierująca władza,  
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

### VIII.

Noc, noc wieczysta, głuszą przedbytową  
Otacza kręgi drgające istnienia,  
Noc i pierwotny eter bez skupienia,  
Bez związku z światów fizyczną budową,

Swą jednolitą nicość rozprzestrzenia,  
Z której dopiero falę światów nową,  
Wirami mgławic skłębionych pierścienia,  
W przyszłości twórcze wprowadzi słowo.

Noc, noc wieczysta! W jej bezwładnej czczości  
Żaden istnienia odblask nie zagości;  
Nic się nie zmienia, nie drga, nie posuwa

I nic nie mierzy tej pustej wieczności,  
Tylko Duch świata bezustannie czuwa  
I przyszłych istnień z siebie nic wysnuwa.

### IX.

Nieśmiertelności nie poszukuj w próchnie,  
Albo w czynnikach, co się wnet rozpręgna —

Nieśmiertelnemi nie są kość i ścięgno,  
Ni żądz płomyki, które śmierć zadmuchnie.

Te dumne myśli, co się w głowie lęgną,  
Pójdą na pastwę bladej przemian druchnie,  
Jeśli za zlepek znikomy nie sięgną,  
I osobistej sławy oddźwięk zgłuchnie.

Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,  
Co przypadkowe, ulomne i liche,  
Co nosi zachceń osobistych znamię,

Choć się przystraja w odrębności pychę —  
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,  
Na dno przepaści opadając ciche.

## X.

Tylko treść, która z całością się splata,  
To, czego żaden trąd nie upośledza,  
Czego nie dzieli egoizmu miedza  
Od wszystkich ogniów duchowych wszechświata;

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza,  
I z życiem przyszłych pokoleń się brata;  
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,  
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata

I wszędzie siebie znajduje świadomie  
W minionych zmierzchach, w mgłę przyszłych stuleci,  
W sercach współbraci i światów ogromie

I w każdym życiem drgającym atomie —  
Ta jedna, z czasu wyplątana sieć,  
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

## XI.

Ileż to zgonów i narodzin ile  
W krótkim dni naszych przechodzimy zakresie!  
Tłum nowych pędów wciąż do życia rwie się,  
Gdy to, co przedtem w pełnej kwitło sile,

Spada, jak liście obumarłe w lesie...  
Szybko mkną w przeszłość niepochwytne chwile,  
A każda cząstki oderwane niesie  
Z naszego wnętrza... i składa w mogile.

Wciąż coś przybywa i coś nam ucieka;  
Myśli, uczucia rodzą się i giną;  
Każdy dzień stwarza świeży kształt człowieka,

Który nad dawną wyrasta ruiną...  
I tylko pamięć wiąże w całość jedną  
Mgliste obrazy, co w przelocie błędą.

## XII.

Wzniosłe dążenia, szlachetne pobudki,  
Rozpaczne walki, zgłiszczą i cmentarze,  
Róże miłości, uczuć niezabudki,  
I ukochanych jasne przedtem twarze —

We mgłach przeszłości nikną, jak sen krótki...  
A czas powoli w pamięci zamaże  
Najdroższe rysy i najcięższe smutki  
I echa wspomnień zgłuszy w dziennym gwarze.

Napróżno serce chce zatrzymać w głębi,  
Gdy szron jesienny kurczy je i ziębi,  
Wdzięczne obrazy błogości dziecięcej;

Próżno chce wskrzeszać bieg minionej chwili,  
I tych, co z nami wspólnem życiem żyli:  
To, co już przeszło, nie powraca więcej!

### XIII.

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko,  
W dawnej postaci — jednak nie umiera:  
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko  
I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera  
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,  
A grób proroka, mędrca, bohatera  
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi  
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;  
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława, istnienie nam krasi;  
A z naszych czynów i z naszej zasługi  
Korzystać będą znów następcy nasi.

### XIV.

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,  
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;  
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki —  
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa,

Który zasila coraz dalsze wieki...  
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,  
Jako strumienie, mieszają swe ścieki  
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą:  
Umarli, żywi, wielcy, czy też mali,  
Wrogowie, bracia, dalecy lub bliscy,

Jedni od drugich nawzajem zależą,  
Odpowiadając, na wypadków fali,  
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy!

## XV.

Na dzieci spada win ojcowskich brzemię,  
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza;  
Każde, gwałcące sprawiedliwość, plemię  
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza, wlot obiega ziemię...  
A czy na sobie łachman ma nędzarza,  
Czy też w książęcym kroczy diademie,  
Zatrutem tchnieniem cały świat zaraża.

Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie,  
Nikt ujść nie może złych wpływów przekleństwa;  
Każdemu w dziele część winy przypadnie

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;  
Bo każdy nosi w duszy swojej na dnie  
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

## XVI.

Dzień, w którym jeden z grzesznych braci koła,  
Najświętsze prawa zdeptawszy niegodnie  
Rozpali krwawą pożarów pochodnię,  
Widziadło mordów na ziemię przywoła



I zaćmi światła narodów przewodnie —  
Dzień ten jest klęską dobrego anioła,  
I ludzkość cała, chyląc kornie czoła,  
Winna za syna pokutować zbrodnie;

Winna obchodzić we łzach i żałobie  
Grzech, który nową klątwą ją obarczy  
I zwróci z drogi ku jaśniejszej dobie...

Powinna szukać przeciw złemu tarczy,  
Poznaniem prawdy potęgując w sobie  
Miłość, co środków zbawienia dostarczy.

## XVII.

Co złość zniweczy, co występек zburzy,  
To miłość z gruzów napowrót postawi.  
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,  
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi;  
Myśl, która dobru powszechnemu służy,  
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,  
Jak łańcuch w niebo lecących zórawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca  
I serc szlachetnych dobroć promienista  
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca

I, coraz głębiej przenikając, czysta,  
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,  
Z którego każdy czerpie i korzysta.

## XVIII.

Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą:  
I ci, co czynem ewangelję głoszą,  
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą —  
Dzielią się plonem i spadek dziedziczą;

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,  
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,  
Który napawa bólem, lub rozkoszą  
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardy obowiązek,  
Zależność losów i współnictwo winy  
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałęzek

Utrwała wielki religijny związek,  
Łączący członków rozpierzchłej rodziny  
W Duchu, co wszystko ożywia jedyny!

## XIX.

Dopiero w związku z wszechświata ogromem  
Człowiek granice istnienia rozszerza;  
Na mocy swego z naturą przymierza  
Już się nie czuje bezsilnym atomem,

Tonącym w wnętrzu nicestwa łakomem;  
Lecz odzyskuje odwagę żołnierza,  
Co wie, że za nim stoi armja świeża  
I że świat cały jest dla niego domem.

Jako cząsteczka tej wielkiej potęgi,  
Co się rozciąga w nieskończoność wszędzie,  
Może ogarniać wszystkie widnokręgi,

Odczuć się w światów niewstrzymanym pędzie  
I na tle czasu wijącej się wstęgi  
Żyć w tem, co było, co jest i co będzie.

## XX.

W nieprzerwalności zbiorowego bytu  
Duch, współistnienia wieczystego świadom,  
Może z spokojem z jasnego błękitu  
Swego pochodu przyglądać się śladom:

Częstkowym zgonom, pozornym zagładom,  
Burzliwej fali ciemnemu korytu,  
Lecącym w otchłań stuleci kaskadom,  
Pomrokom nocy i jutrzeńkom świtu.

Jemu nie wydrze błokiego spokoju  
Ziemskich męczarni małoduszna trwoga,  
Nie wprawi w rozpacz dziki zamęt boju,

Ani dziejowej klęski noc złowroga;  
Gdyż mu widnieje pewna w przyszłość droga,  
Gdzie śmierć jest stopniem wyższego rozwoju.

## XXI.

W coraz to wyższe przeradza się wzory  
Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży;  
Ledwie się w cieniu śmiertelnym pograży,  
Wnet go z martwości świt rozbudzi skory.

Śmierć — to ciągłego postępu chorąży  
Który na nowe świat prowadzi tory,  
Wschodzącym kielkom usuwa zapory  
I z rzeszą istot w nieskończoność dąży!

Z jego opatrzonej, choć surowej łaski  
Świat nie zastyga pod próchnem i pleśnią —  
Ale młodości wciąż przebrzmiewa pieśnią,

I w coraz nowe przystraja się blaski,  
I, coraz dalej mknąc na fali chyżej,  
Po stopniach przemian posuwa się wyżej.

## XXII.

Naprzód i wyżej! Przez ból i męczarnie,  
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje,  
Przez szereg istnień padających marnie,  
Lecą bez końca tłoczące się roje.

Senne zarodki, tkwiące w swoim ziarnie,  
Głazy, zakute w bezwładności zbroję,  
Czekają tęsknie na zbudzenie swoje,  
Gdy je dreszcz życia przejmie i ogarnie.

Naprzód i wyżej! W gwiazdziste ogromy  
Prąd życia coraz przyśpieszonym ruchem  
Porywa z głębi bezwiedne atomy...

I w to, co było i martwem, i głuchem,  
Rzuca blask myśli, sam siebie świadomy,  
Przenika światłem i wypełnia duchem.

## XXIII.

Choć w praw niezmiennych poruszasz się kole,  
Jeśli rozpoznasz twórcze ich zamysły,  
I ten ich związek z dobrem świata ścisły,  
I cel ich wieczny w swoją wcielisz wolę —

Wtedy swobodne masz do czynu pole:  
Opadło jarzmo, więzy twoje prysły,  
I jako czynnik chętny, niezawisły,  
W rozwoju świata grasz świadomą rolę.

Lecz, gdy chcesz działać ku powszechnej szkodzie,  
Gwałcić istotne zadania człowiecze,  
Trudem Danaid wszelka twoja praca;

Jarzmo niewoli kark ci wtenczas bodzie,  
Wyższa potęga przemocą cię wlecze  
I przeciw tobie czyny twoje zwraca.

#### XXIV.

Przez chwilę możesz ślełą być zaporą,  
Niszczącą siłą, jadowitym lekiem,  
Którym natura leczy ludzkość chorą,  
Tamą, rzuconą przed strumieni ściekiem,

Ażeby w wielkie rozlały jezioro,  
A którą zaraz, z jutrem niedalekiem,  
Wezbrane wody skruszą i zabiorą —  
Tylko już wolnym nie będziesz człowiekiem!

Z wolności wieczne prawa cię wywłaszczą,  
A tych nie zwalczysz żadną ziemską władzą,  
Ni żądłem zmii, ni tygrysa paszczą;

Choć tryumf zgubnym twym dążnościom dadzą,  
Z chwilą, gdy tajne cele przeprowadzą,  
Wraz z tobą dzieło twoje zaprzepaszczą!

## XXV.

Jako cząsteczka wszechświata myśląca,  
Szukam w nim celu i o celu myślę, —  
Bo ten się wiąże z mem pojęciem ściśle,  
Tak, jak odczucie światła, lub gorąca.

Znam tylko bowiem jedną z form tysiąca  
Natury, w moim odbitej umyśle,  
Sądzę ją z tego, co mi sama przyśle  
I czem o władze mi dane potraça.

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa,  
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie, —  
Więc wiecznym prawom, co w swem łonie chowa,

I konieczności, co nas wszystkich łamie,  
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,  
Na ludzki język tłumacząc jej słowa.

## XXVI.

Pierwotną białość słonecznych promieni  
Ziemski widnokrąg rozszczepia i łamie  
Na chmurach, w tęczy różnobarwnej bramie;  
I fala światła inaczej się mieni

W błękitach morza, w żywej łąk zieleni,  
W złocistych łanach i zórz krwawej plamie...  
I każdy z kwiatów innej barwy znamię  
W grze malowniczych odbija odcieni.

Podobnie światło prawdy w ziemskiej sferze,  
Przez mgły spływając, w tęczę się rozwionie,  
Gdy ludzkim duszom niesie blaski świeże:

Każda z nich w siebie inne barwy chłonie,  
Każda za całość jedną cząstkę bierze —  
Tę, którą sama w swem odbija łonie.

## XXVII.

Smutny jest schyłek roku w mgieł pomroce,  
Gdy wiatr jesienny zwiędłym liściem miota,  
Ostatnie kwiaty, ostatnie owoce,  
Straça i grzebie pod całunem błota.

Smutniejszy koniec bezsilny żywota,  
Osamotnienie starości sieroce  
I długie, ciemne, pełne cierpień noce,  
W których się ludzka rozprzęga istota.

Lecz najsmutniejszy jest duchowy schyłek  
Zamierającej powoli epoki,  
Gdy wniwecz poszedł pokoleń wysilek,

Strawiwszy wszystkie żywotniejsze soki,  
A w spadku szereg błędów i pomyłek  
Na dni ostatnie rzuca cień głęboki!

## XXVIII

Ci, którzy jasność zegnają zniknioną,  
Gdy burza całe zniweczyła żniwo,  
Nad spustoszoną rozpaczając niwą,  
Myślą, że wszystko ciemności pochłona,

Dalszych rozkwitów mroząc siłę żywą.  
Tymczasem pod tą ciemności osłoną,  
Pod dobroczynną martwością pokrywą,  
Tysiącem kielków drży już ziemi łono,

Ręką natury rozrzuconych skrzętną. —  
W spowiciu nocy, w zimowej zamieci,  
Bijące wewnątrz nie ustaje tętno.

I życie w głębi walką wre namiętną,  
By się wydobyć, kiedy je oświeci  
Brzask nowych wiosen, lub nowych stuleci.

## XXIX.

Póki w narodzie myśl swobody żyje,  
Wola, i godność, i męstwo człowiecze,  
Póki sam w ręce nie odda się czyje  
I praw się swoich do życia nie zrzecze —

To ani łańcuch, co mu ściska szyję,  
Ani utkwione w jego piersiach miecze,  
Ani go przemoc żadna nie zabije  
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.

Zginać on może z własnej tylko ręki:  
Gdy nim o władnie rozpacz senna, głucha,  
Co mu spoczynek wskaże w grobie miękkiej,

I to zwątpienie, co szepcze do ucha,  
Że jednym tylko lekarstwem na mękę  
Jest dobrowolne samobójstwo ducha.

## XXX.

Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły,  
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie;  
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,  
Na którym teraz robactwo się pasie,



Musisz zatracić niejeden rys miły,  
I wdziek, w dawniejszym uwielbiany czasie...  
Lecz nową postać wziąć, i nowe siły,  
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu widmem bladym,  
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,  
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem;

Lecz, przystrojona w królewski diadem,  
Musisz do życia wkroczyć życia bramą;  
Musisz być inną! choć będziesz tą samą!

# ALBUM PIEŚNI



ADAM ASNYK

# ALBUM PIEŚNI



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”.

Tekst opracowała Dr. Anna Chorowiczowa.

# CZĘŚĆ I



## PRELUDJUM.

Już niejeden obraz miły  
Ciemne widma zasłoniły  
I niejeden ślad zatarły,  
Ślad przeszłości obumarłej.

Łzy, uśmiechy, kwiatów wieńce,  
Pragnień ognie i rumieńce,  
Sny miłości, szczęścia, chwały  
Już się w drodze rozsypały...  
Pozostały za mną wtyle  
Na rozdrożach lub mogile.

Lecz, choć wszystko pierzchło, znikło,  
Serce kochać nie odwykło;  
I młodzieńczych natchnień chwila  
Jeszcze duszę wciąż zasila,  
Jeszcze czystym światłem błyska  
Przez mgły ciemne i zwaliska  
I w ten życia wieczór szary  
Rzuca wspomnień cudne mary.  
Wciąż młodości wiara żywa  
Pozrywanych snów ogniwa  
W idealny wieniec splata  
I wskazuje piękność świata.



Więc znów oczy mam zwrócone  
Na jaśniejszą życia stronę,  
Znów odczuwam to, co piękne,  
Znów przed śpiewnym głosem miękne  
I swych wspomnień mary blade  
Znów z miłością na pierś kładę,  
A gdy serce drży boleśniej,  
To przerabiam lzy na pieśni.

### NAJPIĘKNIEJSZE PIOSNKI.

Najpiękniejszych moich piosnek  
Nauczyła mnie dziewczeczka,  
Mistrzem bowiem były dla mnie  
Harmonijne jej usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze  
Jakąś piosnką świeżą, nową,  
Każdy uśmiech był melodją,  
Śpiewem było każde słowo.

Wszystko, o czym serce śniło,  
Wszystko, o czym nawet nie śni,  
Odbijało się w jej oczach  
I płynęło w słodkiej pieśni.

Więc mnie zawsze przy jej boku,  
Wpatzonego w jej oblicze,  
Kołysały śpiewne mary,  
Czarodziejskich brzmień słodczye.

Czegom uchem nie dosłyszał,  
Czegom wzrokiem nie doczytał,  
Tom z usteczek koralowych  
Sam ustami swemi chwycił.

## W ZIMOWEJ NOCY.

Idzie z piosenką na ustach  
Przez śniegu zaspy zimowe  
I nie wie, gdzie mu wypadnie  
Na nocleg położyć głowę.

Choć noc już ziemię pokrywa,  
A wszędzie pustka wokoło,  
On w swej samotnej wędrowce  
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrożone,  
Na cieniem pokryte drzewa,  
I nie przerywa piosneczek,  
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

„Tyś mi nie straszna, o nocy,  
Chociażeś mroki rozsiała  
Tak gęste, jakbyś na zawsze  
Nad światem panować miała —

„Bo wiem, że musisz niedługo  
Przed słońcem uciec w otchłanie,  
A dla tych, co się obudzą,  
Zabłyśnie nowe świtanie.

„Ty mi nie zmroisz, o zimo,  
Serdecznych moich nadziei,  
Choć ziemię pokrywasz martwą  
Całunem śnieżnej zawiei.

„Pomimo groźnej twej władzy,  
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,  
Jeżeli nie mnie, to innym  
Znów świeże kwiaty wyrosną.

„Ty mnie nie zwiedziesz tak łatwo  
Pozornym chłodem, o miła,  
Choć mnie odpychasz za życia,  
Choćbyś mnie wżgardą zabiła —

„Bo wiem, że prędzej, czy później  
Chwile niechęci przeminą:  
Po śmierci kochać mnie będziesz,  
Moja ty piękna dziewczyno!

„Wy także, ludzie, przede mną  
Próżno uczucia kryjecie:  
Nie dam się złudzić pozorom,  
Że serc zabrakło na świecie.

„Jak tylko tchnienia cieplejsze  
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,  
Po śmierci kochać mnie będziesz,  
Ty chłodna, milcząca rzeszo!”

### ROZŁĄCZENIE.

Ujrzał ją znowu po latach  
Z krzyżykiem w ręce...  
Jak spała cicho na kwiatach  
Po życia skończonej męce;  
Ujrzał, gdy każde swe słowo,  
Każde spojrzenie łaskawsze,  
Uniosła w ciemność grobową  
Na zawsze.

Jak obcy przyszedł tu do niej  
W dzikiej rozpacz, —  
Wiedząc, że główki nie skłoni,  
Nie wstanie i nie przebaczy;

Więc boleść piersi mu targa,  
I stoi blady, jak chusta,  
I straszna tłoczy się skarga  
Przez jego usta;

I mówi: „Już leżysz w trumnie,  
Nic cię nie wzruszy,  
Nie spojrzysz litośnie ku mnie,  
Nie zdejmiesz ciężaru z duszy.  
Nikt losów moich nie zmieni  
I klątwy nikt nie odwoła,  
Nie sięgnie w morze płomieni  
Ręka anioła.

„Nie dojdzie do twego ucha  
Moje wołanie,  
Przestrzeń przegradza nas głucha,  
Wieczyste, ciężkie rozstanie.  
Na zawsze pomiędzy nami  
Ciemna się przepaść rozwarła...  
Mnie czoło występek plami,  
A tyś umarła!

„Dla innych nadzieją błyska  
Grobowca łono,  
Bo wiedzą, że duch odzyska  
Miłość, na ziemi straconą;  
Dla innych rozstania chwile  
Szybko uniesie czas rączy,  
I znów kochanków w mogile  
Wieczność połączy.

„Lecz mnie zgon również, jak życie,  
Od ciebie dzieli:  
Obcą mi będziesz w błękicie,

Jak tu na zmarłych pościeli.  
Przedział otworzy daleki  
Ta śmierć, co innych przybliża...  
Bo nas rozdziela na wieki  
Znak krzyża!"

### ŁABĘDZI ŚPIEW.

Łabędzi slyszalem śpiew.  
Było to letnim wieczorem:  
Przy bladym świetle miesiąca,  
Wpośrodku płaczących drzew,  
Ponad przejrzystym jeziorem,  
Stała wybladła i drżąca,  
Łabędzi zawodząc śpiew.

Na cichej powierzchni fal  
Łabędzie pieśni słuchały,  
Myśląc, że jeden z ich grona  
Przedśmiertny wylewa żal,  
Gdyż ona, jak łabędź biały,  
Co z pieśnią, zraniony, kona,  
Śpiewała wśród cichych fal.

Dziś dla niej ostatni dzień,  
W którym do śnieżnych słuchaczy  
Swobodnie przemawiać może  
Wśród serca gwałtownych drzeń,  
I głosem śpiewnej rozpaczy  
Płynąć po modrem jeziorze,  
Żegnając ostatni dzień.

Gdyż jutro wykopią grób  
Dziewiczej życia piosence,  
Pogrzebią sen ideału:

Jutro nastąpi jej ślub,  
I zwiążą na zawsze ręce,  
Bez serc żywszego udziału  
W małżeński położą grób.

Nie miły weźmie ją mąż —  
Tak każą względy rodowe,  
I domu wysokie związki —  
Te słowa słyszała wciąż...  
Więc poddać musiała głowę  
Pod cierń mirtowej gałązki,  
Pod łańcuch, co włoży mąż.

I musi, rzucając dom,  
Pójść za nim, jak niewolnica,  
Po stracie wszystkich swych marzeń  
Ku ciemnym, nieznanym dniom,  
Przywołać uśmiech na lica,  
Gdy sama, pełna przerażeń,  
Porzuca rodzinny dom.

I nie wie, jaki jej byt  
Zgotuje ręka człowieka,  
Którą ma ująć ze łzami;  
Czy boleść, rozpacz, lub wstyd,  
W ciemnej przyszłości ją czeka?  
Czy białych skrzydeł nie splami  
Ten nowy, posępny byt?

I nie wie, na jaki ład  
Obca ją wola popędzi...  
Wie tylko, że bez miłości,  
Bez pociech odejdzie stąd  
I już wśród białych łabędzi  
Nie stanie w dawnej czystości,  
Na obcy stąpiwszy ład.

Więc bólem dobyty śpiew  
Rzuca, w łabędzia postawie,  
Tej rzeszy słuchaczy bratniej  
Z pod wieńca płaczących drzew;  
Ptaki słuchają ciekawie,  
Bo wiedzą, że to ostatni,  
Prawdziwy łabędzi śpiew!

### UCISZ SIĘ, SERCE!

Ucisz się, serce — swoich strat  
Już nie oplakuj, stroskane,  
Ale wschodzący pozdrów świat  
I jego jutrznie różane!

Błogosław nowym życia dniom,  
Temu, co wschodzi i rośnie,  
Świeżym nadziejom, świeżym snom,  
Świeżej młodości i wiośnie!

Pozdrów pokoleń przyszły ród,  
Ich myśli, pragnienia, cele,  
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,  
Na naszym wzrosły popiele!

Pozdrów kłos złoty nowych pól,  
Nowych kochanków zachwyty,  
Nowe tęsknoty, nowy ból  
I wiecznie nowe błękity!

Pozdrów tych wszystkich wiernych sług  
Co twardą pracą i znojem  
Płacą ludzkości święty dług,  
O szczęściu nie myśląc swoim!

I tych, co będą światło nieść  
Do chat, gdzie ciemni i głodni,  
Co będą walczyć, aby zgnieść  
Widziadło nędzy i zbrodni!

Witaj ich wszystkich w blasku zórz,  
Który zaledwo widnieje,  
W ich ręce swoją wiarę złoż,  
Swą miłość i swą nadzieję!

Szczęście, za którym dzisiaj ty  
Naprawdę tęsknisz i czekasz,  
I nieziszczone wszystkie sny,  
Wszystkie pragnienia — im przekaż!

Wzleć ponad własnej drogi kres  
Z błogosławieństwem dla świata,  
Co w pasmo błędów, walk i łez  
Szlachetne dążenia wplata!

A snuć się będzie złota nić,  
Chociaż ty spoczniesz w mogile...  
I będziesz nowem życiem żyć,  
W młodzieńczej barwie i sile.

Wszędzie coś z swoich znajdziesz snów,  
Z uczuć straconych i rojeń,  
I z kochankami będziesz znów  
Pić słodycz świeżych upojeń.

Będiesz, gdzie ludzkiej myśli zdrój  
W niepowstrzymanym rwie biegu...  
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,  
W walczących staniesz szeregu.

Gdzie płynie skargi rzewny głos,  
Tam będziesz; i będziesz z temi,



Co chcą polepszyć ludzki los  
I przynieść szczęście tej ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat,  
Uczucia budzić nieznane...  
Więc nie oplakuj swoich strat!  
Pociesz się, serce stroskane!

### DLACZEGO WICHER TAK WYJE?

Dlaczego wicher tak wyje  
I z jękiem leci ku niebu?  
Czy skargi roznosi czyje?  
Czy pieśń zawodzi pogrzebu?

Różne są nędze na ziemi:  
Są jedne, co litość budzą,  
I ma kto płakać nad niemi  
I boleść utulić cudzą.

Są inne jakby przekłète  
Od świata, ludzi i Boga...  
Gdzie serca, rozpaczą wzdęte,  
Otacza pustka złowroga.

Nikt się nad niemi nie żali...  
Obca im wszelka pociecha...  
I przepadają gdzieś wdali  
Samotnie, bez łyzy, bez echa.

Tylko wiatr niesie ku niebu  
Brzemienne klątwą rozpacze  
I wyje pieśni pogrzebu,  
W ciemnościach jęczy i płacze.

## MGLAWICE.

Rozsiane w światów przestrzeni,  
Kosmiczne spływają mgły,  
W smugi przejrzystych pierścieni,  
W obłoczek wiążą się mdły.

Pośród gwiazdzistych łabędzi,  
Gwiazdzistych węzów i lir,  
Moc wieczna w przyszłość je pędzi,  
W powszechny wprowadza wir.

Świetlanym zwojem się wznosi  
Tych nikłych cząsteczek rój.  
Szukają wspólnej swej osi,  
By obrót rozpocząć swój.

I tak się męczą i chwieją  
I lotny skupiają pył,  
By zbić się z czasów kolejną  
W szeregi ognistych brył.

Przez długie męczą się wieki,  
Chcąc zdobyć wewnętrzny ład;  
Dzień jeszcze bardzo daleki,  
Gdy nowy z nich wyjdzie świat.

Lecz będą kolebką jasną  
Nowych żywotów i sił,  
Gdy nasze słońca pogasną,  
W kosmiczny zetrą się pył.

W ludzkiego ducha przestworzach  
Podobnie wiąże się mgła,  
Rzucona w odległych zorzach,  
Na niebios błękitne tła.

Mgły marzeń płyną po niebie,  
Do nikłych podobne smug,  
Szukają kształtów dla siebie,  
Szukają dla siebie dróg.

Chcą tkankę swoją pajęczą  
W ciał szereg promienny zbić:  
Chwieją się, ważą i męczą,  
By mogły w przyszłości żyć.

Przez wieki cienie tych mgławic  
Skupiają cząsteczki swe  
I czasem światłem błyskawic  
Zgęszczoną oświecą mgłę.

Przez wieki krążą tak marnie,  
Czekając na przyszły świt,  
Który za wszystkie męczarnie  
Słoneczny nada im byt.

I przyjdzie czas ten, gdy one,  
Po długim upływie lat,  
Zastąpią dawne, zburzone,  
I nowy utworzą świat.

### DAREMNE ŻALE.

Daremne żale, próżny trud,  
Bezsilne złorzeczenia,  
Przeżytych kształtów żaden cud  
Nie wróci do istnienia!

Świat wam nie odda, idąc wstecz,  
Zniknionych mar szeregu;

Nie zdoła ogień ani miecz  
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,  
Po życie sięgać nowe,  
A nie w uwiedłych laurów liść  
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!  
Nic skargi nie pomogą!  
Bezsilne gniewy, próżny żal!  
Świat pójdzie swoją drogą.

### ZACZAROWANA KRÓLEWNA.

Zaczarowana królewna  
W mirtowym lasku drzemie;  
U nóg jej lutnia śpiewna  
Zsunęła się na ziemię.

Niedokończona piosneczka  
Uśmiechem lśni na twarzy;  
Drżą jeszcze jej usteczka,  
O czymś rozkosznem marzy.

Marzy o jednym z rycerzy,  
Że, idąc przez odmęty,  
Do stóp jej tu przybieży  
I przerwie sen zaklęty.

Lecz rycerz, co walczył dla niej,  
Ten męstwo swe przeceniał:  
Zabłąkał się w otchłani...  
I zwątpił... i skamieniał.

## ZA MOICH MŁODYCH LAT...

Za moich młodych lat  
Piękniejszym bywał świat,  
Jaśniejszym wiosny dzień!  
Dziś niema takiej wiosny,  
Posępny i żałosny  
Pokrywa ziemię cień.

Za moich młodych lat  
Wonny miłości kwiat  
Perłowym blaskiem lśnił!  
Dziś blaski te i wonie  
Napróżno sercem gonię:  
Czarny je obłok skrył.

## BÓL ZASNAŁ...

Ból zasnął we mnie już zcicha,  
Jak dziecię, krzykiem zmęczone;  
Łzy na dno duszy kielicha  
Spływają niepostrzeżone.

Wszystkie żywota gorycze  
Zamknąłem w sercu, jak w grobie;  
Niech drzemią w niem tajemnicze,  
Nie mówiąc światu o sobie.

Lecz jeszcze męczarnia cudza  
Łzę wydobywa z pod powiek:  
Do gorzkiej myśli pobudza  
Przybity rozpaczą człowiek.

Jęk, który w ciemnościach słyszę,  
Pałaca nędzarzów skarga,

Jeszcze przerywa mi ciszę  
I żalem pierś moją targa.

A nie tych żal mi najbardziej,  
Co cierpią niezasłużenie:  
Ci, jako rycerze twardzi,  
Znieść mogą każde cierpienie;

Ci, chociaż los ich przygniata,  
Chociaż nieszczęścia dłoń kruszy,  
Mają współczucie od świata  
I spokój własnej swej duszy.

Lecz żal mi tych, którym cięży  
Poczucie spełnionej winy,  
Co w sercu noszą kłęb węży  
I cierpią z własnej przyczyny.

Takiej boleści posępnej  
Najsilniej wstrząsa mną echo:  
Gdyż w mrok ich duszy występnej  
Nie można zstąpić z pociechą.

### JEST-ŻE TO PRAWDĄ?

Jest-że to prawdą, że nad mą kołyską  
Dzieckiem niebiańskie widziałem zjawisko,  
Anioła, który, schylony nade mną,  
Zwolna mi z duszy noc odganiał ciemną  
I, rozpostarłszy blasków swych koronę,  
Miłością poił serce przebudzone,  
A chociaż skrzydła otwierał do lotu,  
Słodką nadzieją żegnał mnie powrotu?

Jest-że to prawdą, że zniknął przedwcześnie,  
Zaledwie sercem przeczuwany we śnie,

I że już odtąd napróżno na ziemi  
Za jego ślady goniłem jasnymi,  
Aż zbłąkanemu nad ciemne otchłanie  
Coraz mniej dawne jaśniało świtanie,  
I w duszy cudne zatarły się lica,  
I ta powrotu słodka obietnica?

Jest-że to prawdą, że mi teraz znowu  
Wolno zawierzyć anielskiemu słowu  
I śnić, że dusza stęskniona przywoła  
Wracającego z błękitów anioła?...  
Jest-że to prawdą, że mi teraz dano  
Powitać widzeń jutrzeńkę różaną  
I pod jej skrzydeł opiekuńczych dwoje  
Znowu w opiekę oddać serce swoje?

### BARKAROLA.

Noc taka jasna!  
Gwiazdami płonie,  
Światłem okala  
Przejrzyste tonie.

Noc taka jasna!  
Jasna i cicha...  
Zaledwie fala  
Szemrze i wzdycha.

Łódka, jak ptaszę,  
Po wodzie zlekka  
Wzlatuje z nami  
I wdał ucieka.

A serca nasze,  
Pełne zachwytów,

Wybiegły łzami  
W morze błękitów.

W światłał powodzi  
W niebo się wznoszą,  
Miłością drżące,  
Senne rozkoszą.

Płyn więc, o łodzi,  
Choćby na wieki,  
Przez wody śpiące,  
W obszar daleki...

A gdzieś w przestrzeni  
Zginie w oddali,  
W półcieniach jasnych  
Na srebrnej fali.

A roztopieni  
W cichym błękiecie,  
Tylko serc własnych  
Usłyszym bicie.

### NA POCZĄTKU.

Na początku nic nie było,  
Tylko przestrzeń ciemna, pusta;  
Wtem jej czarne błysły oczy  
I różowe, świeże usta.

Od jej spojrzeń, od rumieńca  
Zajaśniała światła zorza,  
A gdy pierwsze rzekła słowo,  
Ziemia wyszła z głębi morza.



Gdy przebiegła ziemię wzrokiem,  
Śląc jej uśmiech, rój skrzydłaty  
Wzleciał ptaków i motyli,  
A z pod ziemi wyszły kwiaty.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek,  
Tylko martwa gliny bryła;  
Aż nareszcie swym płomiennym  
Pocałunkiem — mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia  
W cudowności jasnym kraju,  
Lecz mnie również tak, jak innych,  
Wypędzono z tego raj.

### SZCZĘŚLIWA MŁODOŚĆ.

Szczęśliwa młodość!... Nawet smutki  
Zaprawne ma rozkoszą;  
Dzień szczęścia długi, żalu krótki;  
Łzy ulgę jej przynoszą.

Szczęśliwa młodość!... Swe boleści  
W słowiczym odda śpiewie,  
I echem własnych skarg się pieści,  
I o swem szczęściu nie wie!

### MIŁOŚĆ, JAK SŁOŃCE...

Miłość, jak słońce, ogrzewa świat cały  
I swoim blaskiem ożywia różanym;  
W głębiach przepaści, w rozpadlinach skały,  
Dozwala kwiatkom zakwitnąć wiośni.

I wyprowadza z martwych głazów łona  
Coraz to nowe na przyszłość nasiona.

Miłość, jak słońce, barwy uroczemi  
Wszystko dokoła cudownie powleka:  
Żywe piękności wydobywa z ziemi,  
Z serca natury i z serca człowieka,  
I szary, mglisty widnokrąg istnienia  
W przędzę z purpury i złota zamienia.

Miłość, jak słońce, wywołuje burze,  
Które grom niosą w ciemnościach spowity,  
I tęczę pieśni wiesza na łez chmurze,  
Gdy rozplakana wzlatuje w błękity  
I znów z obłoków wyziera pogodnie,  
Gdy burza we łzach zgasi swe pochodnie.

Miłość, jak słońce, choć zajdzie w pomroce,  
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca  
Powraca smutne rozpromieniać noce  
I przez ciemności przedziera się drżącą,  
Pełna tęsknoty cichej i żałoby,  
By wieńczyć śpiące ruiny i groby.

### W WIECZNY CIEŃ.

Spadła śmierci już zasłona  
Na żywota grzeszny dzień,  
Idzie dusza potępiona  
W wieczny cień.

Idzie w ciemność tak leniwo,  
Na rzucony patrząc świat,  
Gdzie występków smutne żniwo  
I zbrodniczy został ślad.

Widzi każdą myśl swą czarną,  
Jak jej zniszczyć nie mógł zgon,  
I szkodliwe widzi ziarno,  
Jak obfity daje plon.

Złe na gorsze się przemienia:  
Błędy ojca bierze syn,  
I z pokoleń w pokolenia  
Spada ciężar dawnych win.

Więc, przekłete widząc koła  
I występku tajną moc,  
O zatrutą własną wołą,  
O nicestwa głuchą noc

I, przez ognia idąc rzeki,  
Straszną rozpacz niesie w dal:  
Chce się ukryć gdzieś na wieki  
W płomienistych głębi fal,

Chce, by płomień wyżarł z łona  
Nieśmiertelny bytu rdzeń...  
Idzie dusza potępiona  
W wieczny cień!

### NIEŚMIERTELNI.

Przez mgły czasu, w otchłań wieków  
Zaglądając, widać w dali  
Pośród mętnych plemion ścieków,  
Wśród burzliwej ludów fali,  
Nieśmiertelnych, co przetrwali  
Długą kolej pierzchłych wieków.

W próchnie ziemi, w dziejów pyle  
Rozjaśnione twarze świecą;

Ku nieznanej ich mogile  
Duchy nowych mężów lecą,  
By wyprosić światła nieco  
Na jutrzejszą świtań chwilę.

Na świeczniku z trupich kości,  
Niegryzieni pleśnią rdzawą,  
Stoją żywcem wśród ciemności  
Nad przebrzmiałą życia wrzawą  
I płomieniem swym jaskrawo  
Oświecają twarz ludzkości.

Każdy w swego wieku łonie  
Całą jego myśl zawiera:  
Ster przyszłości biorąc w dłonie,  
Nową jutrznię rozpościera,  
A zaczęta przezeń era  
Nieśmiertelne wieńczy skronie.

### PANIENECZKA.

Panieneczka, panieneczka  
Czesze złoty włos,  
Śpiewną piosnką brzmią usteczka,  
Nuci sobie w głos —

Białe lilje cicho drzemią.  
Otulone w cień,  
Kołysane ponad ziemią  
Falą chłodnych tchnień.

Noc zamyka im kielichy,  
Strzegąc czystych szat,  
W niewinności pozór cichy  
Stroi biały kwiat

I powiada: „Śpijcie w cieniu!  
Śpijcie, póki czas!  
Gdy zaświta, w swym płomieniu  
Słońce spali was.

Nie wzdychajcie, ach, przedwcześnie  
Do skwarne go dnia:  
Wymarzone szczęście we śnie  
Krótco potem trwa!“

Ale lilje, choć stulone,  
Nocny piją chłód,  
Już w słoneczną patrzą stronę,  
Na różowy wschód.

Oczekują tęsknie chwili,  
Gdy z pieszczotą już  
Biały kielich im odchyli  
Blask promiennych zórz.

I daremnie noc na straży  
Swych udziela rad:  
O miłości dziewczę marzy,  
A o słońcu kwiat.

### GDY OSTATNIA RÓŻA ZWIĘDŁA.

Gdy ostatnia róża zwiędła,  
Rzekłam chłopcu: „Idź!“  
Zerwała się złota nić,  
Którą miłość przędła.

Poskoczyłam jak najprędzej  
Świeży wątek wzięść,  
Chciałam złotą nitkę prząść,  
Lecz zabrakło przędzy.

Zakwitnęły róże znowu,  
Nić się nie chce snuć;  
Próżno wołam: „Luby, wróć!”  
On nie wierzy słowu.

## KOPCIUSZEK.

W gniewie zaklęła ją wróżka —  
I odtąd biedna królewna  
Przybrała smutną postać kopciuszka,  
W lichej odzieży  
Na rozkaz bieży  
I nosi wodę i drewna.

Napróżno w jej czystem łonie  
Skarbów zawiera się mnóstwo,  
I w niewidzialnej próżno koronie  
Jej piękność świeci,  
Gdyż ziemskie dzieci  
Dojrzały tylko ubóstwo.

Nieraz w jej państwie zaklętem  
Rycerski stanął królewic,  
Lecz na jej odzież spojrział ze wstrętem,  
I poszedł dalej,  
I z złotej sali  
Wziął jedną z poślednich dziewic.

## ASTRY.

Znowu wędną wszystkie zioła,  
Tylko srebrne astry kwitną,  
Zapatrzone w chłodnych niebios  
Toń błękitną.

Jakże smutna teraz jesień!  
Ach, smutniejsza niż przed laty,  
Choć tak samo żółkną liście,  
Wiedną kwiaty.

I tak samo noc miesięczna  
Sieje jasność, smutek, ciszę,  
I tak samo drzew wierzchołki  
Wiatr kołysze.

Ale teraz braknie sercu  
Tych upojeń i uniesień,  
Co swym czarem ożywiały  
Smutną jesień.

Dawniej miała noc jesienna  
Dźwięk rozkoszy w swoim hymnie,  
Bo anielska, czysta postać  
Stała przy mnie...

Przypominam jeszcze teraz  
Bładej twarzy alabastry,  
Krucze włosy, a we włosach  
Srebrne astry...

Widzę jeszcze ciemne oczy  
I pieszczotę w ich spojrzeniu;  
Widzę wszystko w księżycowym  
Oświeceniu...

### TYM, KTÓRZY SMUTNI...

Tym, którzy smutni, tym, którzy zgębieni,  
W milczeniu tylko i cierpią i giną,  
Tym dla serc trzeba jaśniejszych promieni,  
Nad idealną świecących krainą.

Im zimne słowa mędrców nie wystarczą,  
I praw koniecznych bezwzględna powaga  
Nie będzie dla nich osłoną ni tarczą,  
Gdy serce gwałtem szczęścia się domaga.

Trzeba im pociech, których nie da życie,  
Trzeba anielskich uśmiechów w błękiecie,  
Trzeba litosnej nad światem opieki,  
Trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej.

### DAŁAM CI MOC.

Dałam ci moc nad sercem ludzi,  
Moc, której próżno przeczą,  
Gdyż ona łączy i zachwyt budzi,  
Wstrząsając pierś człowieczą.

Piękności czar, ten nie przeminie,  
On wieczną jest potrzebą;  
I ludzki duch wciąż za nim płynie,  
W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar, ten zawsze będzie  
Nad światem dzierżyć władzę,  
I swoją woń rozsiewa wszędzie  
Kwiat każdy, co zasadzę.

Niechaj więc chłód i cisza głucha  
Wśród świata cię nie ziębi:  
Najlepszy siew twojego ducha  
W serc cichej wszędzie głębi.

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę,  
Niepamięć nie pogrzebie;  
Lecz, choćbyś dał swą całą duszę,  
Nie żądaj nic dla siebie!



Nie żądaj nic od biednej rzeszy,  
Zmęczonej życia znojem!  
Ty rzucaj blask, co ją pocieszy,  
I sercem nakarm swoim!

Idź sobie w grób, nieznany światu,  
Bez żądzy sławy próżnej,  
Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,  
Bez bratnich łez jałmużny!

Ziszczenia snów, owoców trudu,  
Nie pragnij tu oglądać:  
Dałam ci moc nad sercem ludu,  
Nie możesz więcej żądać!

### DZIEJE PIOSENKI.

Narodziła się w duszy poety  
W łez mroku,  
Wywołana miłością kobiety,  
Jako tęcza na marzeń obłoku;  
Śpiewnych dźwięków odziana sukienką,  
Drgnieniem serca dobyta z nicości,  
Przyszła na świat naiwną piosenką  
Miłości.

Upajała melodyjnym tchnieniem  
Pierś młodą  
I nad starców rozwianem marzeniem  
Słodkich wspomnień jaśniała pogodą;  
Wzgórza brzmiały jej rozkosznem echem,  
Przedrzeźniali ją faunowie leśni,  
Płocze nimfy wtórzyły z uśmiechem  
Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej  
I krasy:  
Nikt się teraz różami nie wieńczy,  
Wchodząc z troską codzienną w zapasy;  
Nie słuchają już nimfy na łące  
I nie wtórzą piosnkom w wieczór letni;  
Zagłuszyły dziś burze huczące  
Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,  
Wciąż wraca!  
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka  
Chmurne niebo nad ziemią wyłaca,  
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,  
Pełna dziwnej, niespożytej siły  
I roztacza wkoło woń miłosną  
Z mogiły.

### NIE MÓW.

Nie mów, chociażbyś miał ginąć z pragnienia,  
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:  
Tyś gonił pustyn piaszczystych złudzenia,  
A minął strumień na zielonej łące!

Nie mów, chociażbyś umierał z tęsknoty,  
Że niema czystej miłości na ziemi:  
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,  
Za ognikami zdążając błędnymi!

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał  
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą!  
Zdrój czystych uciech będzie innym szumiał  
I inne serce poił swą słodyczą.



## CZEŚĆ II



## MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO.

Między nami nic nie było,  
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych,  
Nic nas z sobą nie łączyło,  
Prócz wiosennych marzeń zdradnych;

Prócz tych woni, barw i blasków,  
Unoszących się w przestrzeni,  
Prócz szumiących śpiewem lasków  
I tej świeżej łąk zieleni;

Prócz tych kaskad i potoków,  
Zraszających każdy parów,  
Prócz girlandy tęcz, obłoków,  
Prócz natury słodkich czarów;

Prócz tych wspólnych, jasnych źródeł,  
Z których serce zachwyty piło,  
Prócz pierwiosnków i powojów,  
Między nami nic nie było.

## ZWIEDŁY LISTEK.

Nie mogłem tłumić dłużej  
Najsłodszych serca snów:  
Na listku białej róży  
Skreśliłem kilka słów.

Słowa, co w piersiach drżały,  
Nie wymówione w głos,  
Na listku róży białej  
Rzuciłem tak, na los!

Nadzieję, którą pieścił,  
I smutek, co mnie truł,  
I wszystkom to umieścił,  
Com marzył i com czuł.

Tę cichą serca spowiedź  
Miałem jej posłać już,  
I prosić o odpowiedź  
Na listku białych róż.

Lecz, kiedy me wyrazy  
Chciałem odczytać znów,  
Dojrzałem w listku skazy,  
Nie mogłem dostrzec słów.

I położył listek wiotki,  
Zatarł się marzeń ślad;  
I zniknął wyraz słodki,  
Com jej chciał posłać w świat!

### POSYŁAM KWIATY.

Posyłam kwiaty: niech powiedzą one  
To, czego usta nie mówią stęsknione,  
Co w serca mego zostanie skrytości  
Wiecznym oddźwiękiem żalu i miłości!

Posyłam kwiaty: niech kielichy skłonia,  
I proszą srebrną rosą, jak łezkami!  
Może uleci z ich najczystsza wonia  
Wyraz, drżącemi szeptany ustami;

Może go one ze sobą uniosą  
I rzucają razem z woniami i rosą.

Szczęśliwe kwiaty! Im wolno wyrazić  
Wszystkie pragnienia i smutki i trwogi;  
Ich wonne słowa nie mogą obrazić  
Dziewicy, choć jej upadną pod nogi;  
Wzgardą im usta nie odpłacą skromne,  
Najwyżej rzekną: „Słyszałam — zapomnę“.

Szczęśliwe kwiaty! Mogą patrzeć śmieje  
I składać życzeń utajonych wiele,  
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...  
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej.

### JA CIEBIE KOCHAM!

Ja ciebie kocham! Ach, te słowa  
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią!  
Miałaby wrócić wiosna nowa  
I zbudzić kwiaty, co w niem śpią?  
Miałbym w miłości cud uwierzyć,  
Jak Łazarz z grobu mego wstać?  
Młodzięczy, dawny kształt odświeżyć,  
Z rąk twoich nowe życie brać?

Ja ciebie kocham! Czyż być może?  
Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc?  
Ach, nie, bo jasną widzę zorzę  
I pierzchającą widzę noc!  
I wszystko we mnie inne, świeże,  
Zwątpienia w sercu stopniał lód,  
I znowu pragnę, kocham, wierzę,  
Wierzę w miłości wieczny cud!



Ja ciebie kocham! Świat się zmienia,  
Zakwita szczęściem od tych słów,  
I tak, jak w pierwszych dniach stworzenia,  
Przybiera ślubną szatę znów.  
A dusza skrzydła znów dostaje,  
Już jej nie ściga ziemski żal,  
I w elizejskie leci gaje  
I tonie pośród światła fal.

## SONET.

Kiedym cię zegnał, usta me milczały,  
I nie wiedziałem, jakie słowo rzucić,  
Więc wszystkie słowa przy mnie pozostały,  
A serce zbiegło i nie chce powrócić.

Tyś powitała znów swój domek biały,  
Gdzie ci słowiki będą z wiosną nucić,  
A mnie przedziela świat nieszczęścia cały,  
Dom mój daleko i nie mogę wrócić.

Tak mi boleśnie, żem odszedł bez echa,  
A jednak lepiej, że żadnem wspomnieniem  
Twych jasnych marzeń spokoju nie skłócę,

Bo tobie jutrznia życia się uśmiecha,  
A ja z gasnącym żegnam się promieniem  
I w ciemność idę — i już nie powrócę.

## ŻYCZENIE.

Minęła wiosna, minęło lato,  
I smutna jesień już mija;  
Każdy dzień nową żegna mnie stratą  
I resztę łez mych wypija.

Skończy się jesień, nadejdzie zima, •  
Pajęcza zerwie się przedza,  
Serce chwil jasných w locie nie wstrzyma...  
Zostanie rozpacz i nędza.

I zima minie, i świat na nowo  
Przybierze postać wiośnianą;  
Lecz mnie nie zbudzi miłości słowo:  
Umarli z grobu nie wstaną!

Na godach życia duchem i ciałem  
Inni już będą przytomni...  
Lecz niech ta, którą tyle kochałem,  
Czasami jeszcze mnie wspomni!

### ACH, POWIEDZ!

Ach, powiedz, powiedz, jaki Bóg  
W nadziemskie ubrał cię szaty,  
Abyś w piękności zbrojna łuk  
Zburzyła promienne światy?

Ach, wobec ciebie niema nic!  
Ty łamiesz prawa odwieczne,  
I przed jasnością twoich lic  
Promienie gasną słoneczne.

Niebiosa, ziemia, błękit wód,  
Wszystko przepada i ginie,  
Gdy ty, w piękności zbrojna cud,  
Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy  
Białością swojego łona,  
Rozkoszy dreszczem ziemia drży,  
Kiedy obnażysz ramiona.

Z ust twoich pijąc słodycz róż,  
Z pragnienia umrzećby trzeba:  
Ich ogień wstrząsa światem dusz  
I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść  
Twą piękność w całym rozkwicie?  
Kto może oddać tobie cześć  
I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,  
Twych włosów bawić się splotem,  
Kto pić namiętą może woń  
I jeszcze nie umrzeć potem?

Tak, jak konwalji biały kwiat  
Usycha na twojem łonie,  
Tak każdy zginać byłby rad  
Z uśmiechem szczęścia przy zgonie.

Lecz widząc ciebie, odejść znów  
W samotne ziemi obszary...  
Na te męczarnie niema słów,  
I niema straszniejszej kary!

Więc powiedz, powiedz, jaki Bóg  
Zrobił cię światów królową?...  
Bo ja chcę umrzeć u twych nóg,  
Byś mnie wskrzesiła na nowo!

### TY CZEKAJ MNIE!

Ty czekaj mnie, dziewczeczko cudna,  
Pod tą wysmukłą topolą!  
Przysięgam ci, choć to rzecz trudna,  
Że wrócę... gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!  
Będzie to wielką zasługą,  
A jak się znajdzie dla ciebie mąż...  
Nie każ mu wdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu,  
Dopóki serca ci stanie,  
I wierzyć chciej mojemu słowu,  
Że to ci skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szal,  
Czekaj mnie pod tą topolą!  
Chociażbym z grobu powstać miał,  
Powrócę... gdy mi pozwolą.

### REZYGNACJA.

Wszystko skończone już pomiędzy nami,  
I sny o szczęściu pierzchły bezpowrotnie;  
Wziąłem już rozbrat z tęsknotą i łzami,  
I żyć i umrzeć potrafię samotnie.

Dziś nic z mej piersi skargi nie dobędzie,  
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą:  
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,  
Pęknięte struny zadrzeć już nie mogą.

Niema boleści, coby mnie trwożyła,  
Bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzę;  
Ogniowa próba dla mnie się skończyła,  
I do cierpiących więcej nie należę.

I żadne szczęście ziemskie mnie nie zwabi,  
Żebym się po nie miał schylić ku ziemi...  
I żaden zawód sił mych nie osłabi:  
Przebytą męką panuję nad niemi.

Światowych uczuć nicość i obluda  
Już mnie nie po wie swym chwilowym szaleń;  
Przestałem wierzyć w te fałszywe cuda,  
Więc i zwątpieniu ulegać przestałem.

Z całego tłumy zmyślonych aniołów,  
Połyskujących tęczą swoich skrzydeł,  
Została tylko szara garść popiołów  
I wiotkie nici porwanych już sideł.

Dziś jeden tylko duch mi towarzyszy,  
Co rezygnacji nosi ziemskie miano;  
On wszystkie burze na zawsze uciszy  
I da mi zbroję w ogniu hartowaną.

W tej zbroi przejdę przez świat obojętnie,  
Surowe prawdy życia mierząc wzrokiem,  
Ani się gniewem kiedy roznamiętnię,  
Ani się ugnę przed losu wyrokiem.

Patrząc się zdala na klaniliwe rzesze,  
Na ich zabiegi o błyskotki próżne,  
Kamieniem na nie rzucić nie pośpieszę  
I pobłażania jeszcze dam jałmużnę.

Niech się więc kończy owa sztuka ładna,  
Co się zwie życiem, w cieniu cichej nocy,  
Bo żadna rozpacz i nadzieja żadna  
Nad mojem sercem nie ma już dziś mocy!

### POWRÓT PIOSENKI.

Piosnka, którą ukochana  
Zwykła była mi nucić,  
Piosnka dawno zapomniana  
Przyszła sen mój zakłócić.

Jej melodia staroświecka,  
Zapomniana oddawna,  
Miała w sobie uśmiech dziecka,  
A w łzę była oprawna.

Skąd się wzięła dziś na nowo  
W sercu mojem, któż zgadnie?  
Ale słyszę ton i słowo,  
Co mi dźwięczy tak ładnie.

Jeśli piosnki, jak skowronki,  
Odlatują z jesienią,  
A wracają znów na łąki,  
Gdy się z wiosną zielenią;

To piosenki tej przybycie  
I jej tchnienie miłosne  
Może wróżyć nowe życie,  
Przebudzenie i wiosnę.

Jeśli piosenki są, ach, tylko  
Własnym cieniem człowieka,  
Co, tak duży ranną chwilką,  
Z biegiem słońca ucieka,

A do dawnej wraca miary,  
Kiedy słońce już nisko —  
To ten powrót piosnki starej  
Może wróżyć noc bliską.

### TĘSKNOTA.

Obłoki, co z ziemi wstają  
I płyną w słońca blask złoty,  
Ach, one mi się być zdają  
Skrzydłami mojej tęsknoty.

Te białe skrzydła powiewne  
Często nad ziemią obwisną,  
Łzy po nich spływają rzewne,  
Czasem i tęczę zabłąsną.

Gwiazdy, co krążą w przestrzeniach  
Po drogach nieskończoności,  
Są one dla mnie w marzeniach  
Oczami mojej miłości.

Patrzą się w ciemne odmęty  
Te wielkie ruchome słońca,  
I ja, miłością przejęty,  
Patrzę i tęsknię bez końca.

### ANIELSKIE CHÓRY.

Anielskie śpiewają chóry  
W gwiaździstym błękitów morzu,  
Wśród nocnej ciszy, przy łożu  
Sennej natury.

Śpiewają tej biednej ziemi,  
Co wiecznie w świeżej żałobie,  
Jak matka, płacze na grobie  
Za dziećmi swemi.

Śpiewają ludziom, co dyszą  
W codziennym a krwawym trudzie,  
Lecz biedni, zmęczeni ludzie  
Pieśni nie słyszą.

I tylko ci, którzy toną  
W wielkiej miłości pragnieniu,  
Ci słyszą w serc swoich drzeniu  
Tę pieśń natchnioną!

## BEZ GRANIC.

Potoki mają swe łoża,  
I mają granice morza  
Dla swojej fali;  
I góry, co toną w niebie,  
Mają kres dany dla siebie:  
Nie pójdą dalej!

Lecz serce, serce człowieka,  
Wciąż w nieskończoność ucieka  
Przez łzy, tęsknoty, męczarnie,  
I wierzy, że w swoim łonie  
Przestrzeń i wieczność pochłonie  
I niebo całe ogarnie.

## PŁACZĄCEJ.

Ty płaczesz, dziewczę? Łez twoich szkoda!  
Na te łzy gorzkie jeszcześ za młoda.  
Otrzyj swe oczy:  
Świat tak uroczy,  
Na niebie jasna pogoda!

Wszak, najpiękniejsze z wszystkich niebianek,  
Młodość i wiosna wiją ci wianek...  
A ty w łzach przecie,  
Niedobre dziecię,  
Jak chmurny maja poranek?

Jakaż to boleść czoło ci chmurzy?  
Możesz się pączkiem ukuła róży?  
Lub pragniesz skrycie  
Gwiazdki w błękicie  
I nie chcesz czekać już dłużej?



Może ci wietrzyk przyniósł majowy  
Szept podsluchanej kwiatów rozmowy?...  
    Utul się w żalu,  
    Na ust koralu  
Niech uśmiech zabłyśnie nowy!

Możesz na kogo dziś się zgniewała,  
I stąd ta chmurka przebiegła mała?  
    Chmurka się zmieni  
    W siatkę promieni  
I tęczą będzie jaśniała.

Choćby cię większa dotknęła strata,  
Przyszłość dla ciebie w uśmiech bogata...  
    Prędko się zgoi  
    Ból w piersi twojej,  
Łzy schowaj na dalsze lata!

### DZIWNY SEN.

Dziwny sen miałem z wieczora,  
Trwał jakby przez wieczność całą:  
Tyś była falą jeziora,  
Ja byłem nadbrzeżną skałą.

Nie żałowałem tej zmiany,  
Żem skałą, a nie człowiekiem,  
Marzyłem, żem jest kochany...  
A wiek przemijał za wiekiem.

Nie żałowałem, że głuchy  
Głaz nic powiedzieć nie może...  
Mówiły ze sobą duchy,  
Jam niebo widział w jeziorze.

Tyś zawsze padała drżąca  
Na moje piersi z granitu,  
Złączona wśród lat tysiąca  
Węzłami wspólnego bytu.

Kruszyłaś kamienne łono,  
A jam się cieszył z zniszczenia,  
Bo przeczuwałem spełnioną  
Dolę zimnego kamienia.

Wiedziałem, że, gdy do końca  
Zamiary przywiedziesz zdradne,  
Żegnając gwiazdy i słońca,  
W objęcia twoje upadnę.

### IDŹ DALEJ!

Wzywałem ciemności: niech wstanie  
I niech mnie pograży w noc ciemną!  
Wzywałem milczące otchłanie,  
By łona zawarły nade mną!

Wzywałem straszego anioła:  
Niech ślad mój zagłodzi na ziemi,  
Niech wszystkie dni moje odwoła,  
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,  
Jak inni przede mną wzywali...  
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,  
Co wołał: „Idź dalej, idź dalej!”

### NA ŚNIEGU.

Białą się pola, oj, białą,  
Zasnęły krzewy i zioła

Pod miękką śniegu pościelą...  
Biała pustynia dokoła.

Gdzie była łączka zielona,  
Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,  
Drzew obnażone ramiona  
Sterczą z pod zasy py śniegowej.

Opadła weselna szata,  
Zniknęły wiosenne czary,  
Wiatr gałązkami pomiata,  
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk zawsze ponury,  
W tym samym żałobnym stroju,  
Wśród obumarłej natury  
Modli się, pełen spokoju.

Więc drzewa, obdarte z liści,  
Na jego ciemną koronę  
Patrzą się okiem zawiści,  
Głowami trzęsą zdziwione...

Próżno głowami nie trzęście,  
Wy nagie, bezlistne gaje!  
Przemija rozkosz i szczęście,  
Boleść niezmienną zostaje.

### UWIELBIENIE.

Umarły jeszcze będę wielbić ciebie  
I nie zapomnę pod ziemią, czy w niebie,  
O twojej jasności!  
Boś ty mi była nie próżnem marzeniem,

Nie bańką zmysłów tęczowej nicości,  
Lecz byłaś ducha ożywczem pragnieniem  
Wiecznej miłości!

Nie otoczyłaś mnie pieśzczotą senną,  
Ani też falą spłynęłaś płomienną  
Na pierś stęsknioną,  
Nie wprowadziłaś mnie na róż posłanie,  
Gdzie tylko ciała w upojeniu toną,  
Lecz mi piękności dałaś pożądanie, —  
Moc nieskończoną.

### MYŚLAŁEM, ŻE TO SEN...

Myślałem, że to sen, lecz to prawda była:  
Z nadziemskich jasnych sfer do mnie tu zstąpiła,  
Przyniosła dziwny blask w swoich modrych oczach,  
Przyniosła kwiatów woń na złotych warkoczach;  
Podała rączkę swą, szliśmy z sobą razem,  
Przed nami jaśniał świat cudnym krajobrazem.  
Pośród rozkosznych łąk i gajów mirtowych,  
Wiecznie zielonych wzgórz i wód szafirowych  
Szliśmy, nie mówiąc nic, a mnie się wydało,  
Żem życia mego pieśń wypowiedział całą,  
Że z jej różanych ust, jak z otwartej księgi,  
Czerpałem tajny skarb wiedzy i potęgi.  
Wtem nagle przyszła myśl dziwna i szalona,  
Żeby koniecznie dojść, skąd i kto jest ona?  
I gdy zacząłem tak i ważyć i badać,  
Kwiaty zaczęły schnać, a liście opadać,  
I nastał szary mrok... a ja w swoim biegu  
Stałem w gęstej mgle na przepaści brzegu.  
Strwożony zmianą tą, zwróciłem się do niej.  
Niestety, już jej dłoń nie była w mej dłoni.

Słyszałem tylko głos, ginący w ciemności:  
„Byłam natchnieniem twem, marą twojej młodości!”  
I pozostałem sam, i noc świat pokryła...  
Myślałem, że to sen, lecz to prawda była!

## SPIS RZECZY.

	Str.
CZĘŚĆ I	
Preludjum . . . . .	7
Najpiękniejsze piosnki . . . . .	8
W zimowej nocy . . . . .	9
Rozłączenie . . . . .	10
Łabędzi śpiew . . . . .	12
Ucisz się, serce! . . . . .	14
Dlaczego wicher tak wyje? . . . . .	16
Mgławice . . . . .	17
Daremne żale . . . . .	18
Zaczarowana królewna . . . . .	19
Za moich młodych lat... . . . .	20
Ból zasnął... . . . .	20
Jest-że to prawdą? . . . . .	21
Barkarola . . . . .	22
Na początku . . . . .	23
Szczęśliwa młodość . . . . .	24
Miłość, jak słońce... . . . .	24
W wieczny cień . . . . .	25
Nieśmiertelni . . . . .	26
Panienczka . . . . .	27
Gdy ostatnia róża zwiędła . . . . .	28
Kopciuszek . . . . .	29

	Str.
Astry . . . . .	29
Tym, którzy smutni... . . . .	30
Dałam ci moc . . . . .	31
Dzieje piosenki . . . . .	32
Nie mów . . . . .	33

## CZĘŚĆ II

Między nami nic nie było . . . . .	37
Zwiędły listek . . . . .	37
Posyłam kwiaty . . . . .	38
Ja ciebie kocham! . . . . .	39
Sonet . . . . .	40
Życzenie . . . . .	40
Ach, powiedz! . . . . .	41
Ty czekaj mnie! . . . . .	42
Rezygnacja . . . . .	43
Powrót piosenki . . . . .	44
Tęsknota . . . . .	45
Anielskie chóry . . . . .	46
Bez granic . . . . .	47
Placzącej . . . . .	47
Dziwny sen . . . . .	48
Idź dalej! . . . . .	49
Na śniegu . . . . .	49
Uwielbienie . . . . .	50
Myslałem, że to sen... . . . .	51









